

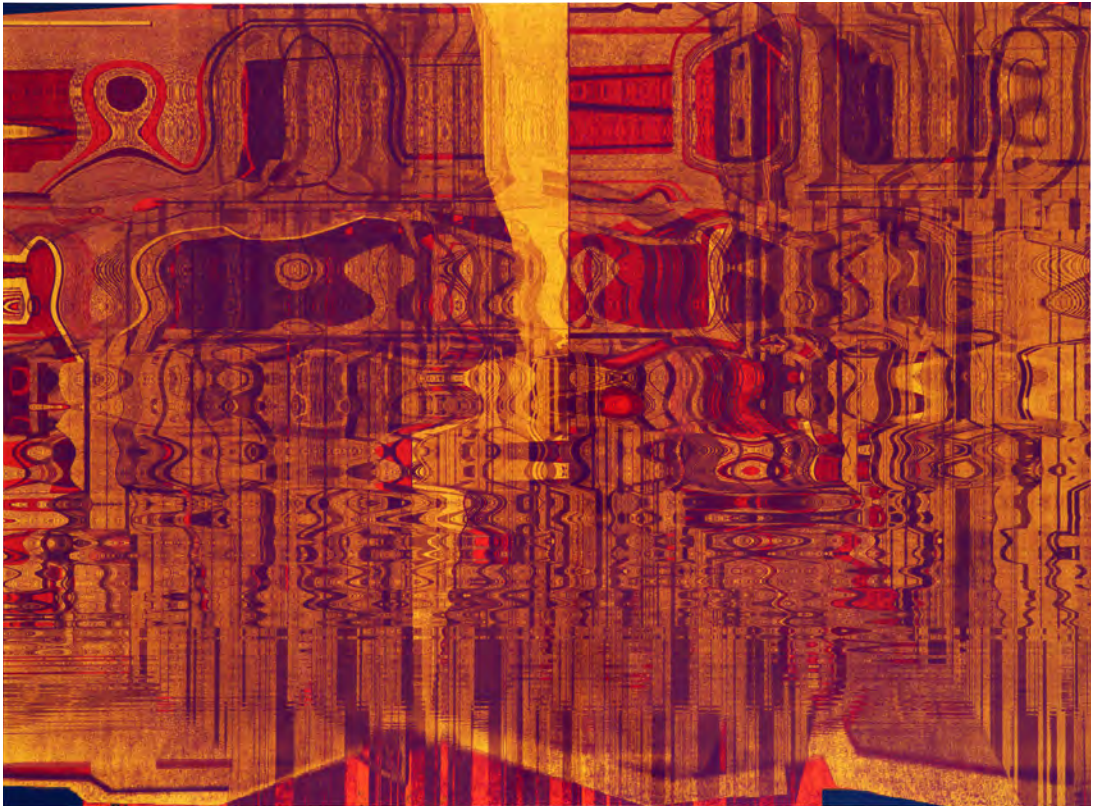
69

ISSN 2449-5328

GALERIA

CZĘSTOCHOWSKI MAGAZYN LITERACKI
Towarzystwa Galeria Literacka

styczeń – marzec 2024



poezja • proza • szkice • recenzje • eseje • felietony • humoreski • fraszki • satyra



Aleksandra Jakubczak, „Podświetlenie-pochłanianie 01”, lightbox - litografia na folii, 50x20 cm, 2022



Aleksandra Jakubczak, „Podświetlenie-pochłanianie 09”, lightbox - litografia na folii, 50x20 cm, 2022

SŁOWO OD REDAKCJI

Bogdan Knop, Barbara Strzelbicka, *Numery, świat cyfrowy i opowieści* 3

WYDARZENIA

Kalendarium: styczeń–marzec 2024 r. 4

Barbara Strzelbicka, *Galeria z Ludmiłą Marjańską* 6

POEZJA

Marian Zygmunt Piątek, *Wiersze* 9

Tadeusz Luterek, *Rymy pogodne (wybór)* 11

Joanna Szymańska, *Anioły na każdy stan ducha (wybór)* 13

Zbigniew Szpruta, *Polska B rozmawia z Polską A;*
*święta święta i już po świętach, *** (można delikatnie..)* 15

Anna Jędryka, *Jeżeli* 17

Andrzej Ostalowski, *Metafora wspomnień* 19

Małgorzata Franc, *Miniatury wiosenne* 21

Jacek Gierasiński, *Słowa* 23

Janusz Strojec, *Rozważania Drogi Krzyżowej w 2024 roku* 25

Wiesława Owczarek, *Ech, życie* 29

Zdzisław Opałko, *nieokiełznany wybryk* 32

Barbara Strzelbicka, *śniłam* 33

PROZA

Jakub Bartecki, *Zwykły przypadek* 35

Janusz Jano Mielczarek, *Ocalona* 40

Małgorzata Franc, *Osobny pokój* 45

Janusz Strojec, *Wizyta i rewizyta* 48

Paulina Wysocka-Morawiec, *Grzybobranie* 50

PRZEKŁADY

Olesia Mamczycz, *Wiersze, przeł. Aneta Kamińska, Konrad Byzdra* 53

Gottfried Benn, *Finis Poloniae, przeł. Bogdan Knop* 57

NA SZTALUGACH

Aleksandra Jakubczak, *O linii, świetle i strukturze –*
– z Aleksandrą Jakubczak rozmawia Andrzej Zembik 58

CONVERSATIO

Co czyni wystawa? Z Barbarą Major rozmawia Andrzej Zembik 63

SZKICE, ESEJE, RECENZJE

Janusz Jano Mielczarek, *Grochowiak i nie tylko* 67

Ida Jadwiga Łubińska, *W poszukiwaniu szczęścia* 69

Tomasz „Aztenty” Barański, *Opera – najabsurdalniejsza ze sztuk*
(ale i największa) 73

CZĘSTOCHÓWA Publikacja dofinansowana ze środków budżetu Gminy Miasta Częstochowy w ramach otwartego konkursu ofert na realizację w 2024 roku zadań publicznych z zakresu kultury i sztuki, dziedzictwa narodowego oraz upowszechniania kultury.

Z NOTATNIKA MAŁGORZATY N-K

Małgorzata Nowakowska-Karczewska, *Hipokryzja* 76

HISTORIA W GALERII

Jarosław Kapsa, *Cyganie ludożercy. Echa procesu koszyckiego w prasie górnośląskiej* 80

REPORTAŻ

Sylvia Oksiuta-Warmus, *Teatr, którego nie było?...* 89

Z PODRÓŻY

Elżbieta Jolanta Gola, *Pod włoskim niebem* 94

WIDZIANE Z GALERII. Subiektywna kronika wypadków kulturalnych

Barbara Strzelbicka, *Wspominamy Andrzeja* 97

Paulina Wysocka-Morawiec, *Witraże w Kaletach* 98

Barbara Strzelbicka, *Katarzyna Maria na salonach* 99

Barbara Strzelbicka, *Joanna od aniołów* 100

Elżbieta Jolanta Gola, *Na ścieżkach życia* 101

Barbara Strzelbicka, *Pogodne rymy Pana Tadeusza* 103

NOTY O KSIĄŻKACH

Tadeusz Luterek, *Rymy pogodne* 105

Joanna Szymańska, *Anioły na każdy stan ducha* 105

Poetyckie witraże 105

O pisarzach lubelskich. Szkicownik 3 106

„Lublin. Kultura i Społeczeństwo” nr 7/2023 106

ZAPISKI GALERJANA

Jan Ciesielski, *Limeryczki damskie* 107

NOTY O AUTORACH

Marian Zygmunt Piątek 10

Olesia Mamczycz 56

Aneta Kamińska 56

Konrad Byzdra 56

Aleksandra Jakubczak 59

Barbara Major 65

Wszystkim członkom i sympatykom Towarzystwa Galeria Literacka,
którzy uczestniczyli w pogrzebie mojej Mamy,
składam podziękowania za udział i wsparcie.

Bogdan Knop – prezes Towarzystwa

◆ Na okładce: Aleksandra Jakubczak, „Prześwietlenie-przeniknie O2”,
druk solwentowy na folii, 63x79cm, 2022

NUMERY, ŚWIAT CYFROWY I OPowieści

W tym roku numeracja „Galerii” przekroczy siedemdziesiątkę, osiem lat mija od początków mojego redaktorowania naczelnego, a jednocześnie od przejęcia wydawania kwartalnika przez Towarzystwo Galeria Literacka. Uzyskaliśmy równowagę – finansową, personalną. Kwartalnik ukazuje się bez większych opóźnień, czego dowodem jest i ten numer. Weszliśmy w świat cyfrowy – strona internetowa „Galerii” jest od jakiegoś czasu aktywna, a przede wszystkim aktualizowana na bieżąco (przy okazji zachęcam do odwiedzania – www.galerialiteracka.pl). Archiwalne numery czasopisma dostępne są w formacie plików pdf.

Następny krok jest bardzo trudny – chcielibyśmy oprócz wersji papierowej wydawać na bieżąco wersję cyfrową do przeglądania na czytnikach e-booków. Wtedy „Galeria” mogłaby być rozprowadzana jako e-czasopismo równoległe z wersją papierową. Z nakładu papierowego nie zrezygnujemy w dającej się przewidzieć przyszłości, bo nie ma ku temu powodów. Rynek papierowych pism literackich nie kurczy się, ale wręcz poszerza – wystarczy zajrzeć na półki Empiku.

Z innych spraw – zaproponuję redakcji, by od numeru 70 utworzyć w „Galerii” stały dział współczesnej literatury ukraińskiej i białoruskiej. Mamy w tym względzie duże możliwości jeśli chodzi o zaprzyjaźnionych autorów i mamy potencjał translatorski.

Oto nasze plany biorące się z wyzwania współczesności. Co się ziści – zobaczymy.

Na razie jednak funkcjonujemy w zasadzie analogowo.

W tym numerze sporo poezji i dwa poetyckie debiuty: Ołesi Mamczycz, którą mieliśmy przyjemność poznać podczas Festiwalu „Poezja Jest Najważniejsza” w 2023 r., kiedy towarzyszyła Irynie Ciłyk, oraz Mariana Zygmunta Piątka. Dziewięćdziesiątą rocznicę urodzin Stanisława Grochowiaka (24 stycznia) upamiętniamy esejem Janusa Jano

Mielczarka *Grochowiak i nie tylko*, uzupełnionym o niezwyklej fotografii.

Na okładkach i w środku numeru prezentujemy prace Aleksandry Jakubczak, z którą rozmowę przeprowadził Andrzej Zembik, a fotografii dołączył – również do wywiadu z Barbarą Major – Piotr Dłubak.

Proza jest silnie nacechowana synkretyzmem. Oprócz opowiadań *stricte* literackich, publikujemy te zdradzające cechy z pogranicza reportażu oraz reportaż: o teatrze, o historii najbliższej (w sensie czasu i miejsca), o podróżach bliższych i dalszych. I tu dochodzimy do sedna: „Galeria” prezentuje opowieści – nie w sensie teoretycznoliterackim, lecz uniwersalnym. Bo czymże, jeśli nie opowieścią, jest wiersz? Czym, jak nie opowieścią, jest biogram? Czym, jeśli nie opowieścią, jest wywiad? Opowieścią jest esej, snujący rozważania na określony temat, jest nią także sprawozdanie z wydarzeń. Wprawdzie te opowieści różnią się formą, ale łączy je istota – chęć podzielenia się tym, co wiemy, co czujemy, co potrafimy i co widzieliśmy, opowiedzenie o nich – innym.

Tym razem zabrakło autorskiego działu Arkadiusza Frani „Wśród wierszy i poetów. Diariusz częstochowski”, jego autor bowiem zakończył pewien cykl swoich literackich badań, których efekt był od kilku lat publikowany w „Galerii” oraz w książkach wydawanych przez Towarzystwo Galeria Literacka. Dziękujemy za tę niezwykle cenną możliwość! Czekamy na nową odsłonę aktywności Arkadiusza Frani, na pewno ściśle związanej z poezją.

Wszystkim Autorom jesteśmy wdzięczni za ich opowieści – rozumiane dosłownie i metaforycznie, tym bardziej, że w sensie dosłownym nie płacimy honorariów. Czytelnikom życzymy, by znaleźli w „Galerii” 69 jak najwięcej ciekawych opowieści.

BOGDAN KNOP, BARBARA STRZELBICKA

KALENDARIUM styczeń – marzec 2024



STYCZEŃ

- 1.01. – zmarła Iwona Śledzińska-Katarasińska, polityczka;
- 5.01. – wernisaż wystawy malarstwa i fotografii Magdaleny Kmieciak – Galeria 4Arte;
- 7.01. – zmarł Frantz Beckenbauer, piłkarz niemiecki;
- 7.01. – zginął na froncie ukraińskim Maksym Krywcow, poeta;
- 9.01. – wernisaż wystawy malarstwa Klaudii Kacprowicz „Rytm wielolini” – Miejska Galeria Sztuki;
- 9.01. – zmarła Delfina Potocka, śpiewaczka;
- 9.01. – zmarł ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, działacz społeczny, pisarz i publicysta;
- 10.01. – wieczór wspomnień poświęcony Andrzejowi Piechockiemu oraz promocja jego książki *Uporczywa konstatacja* – Muzeum Częstochowskie, Ratusz;
- 10.01. – zmarł Janusz Majewski, reżyser;
- 11.01. – wernisaże wystaw: Uli Dzwonik „Homo sentiens”, Marty Olejniczak „Kompleksy” i zbiorowej „Qunszt. Ceramika i szkło” – Miejska Galeria Sztuki;
- 12.01. – wernisaż wystawy malarstwa Grażyny Węgielskiej – OPK „Gaude Mater”;
- 12.01. – wernisaż V Wystawy Fotografii Członków Jurajskiego Fotoklubu Częstochowa – ROK;

- 12.01. – wernisaż wystawy rzeźby Artura Szoldry – Konduktorownia;
- 12.01. – koncert Katedry Muzyki UJD (w repertuarze m.in. koncert fortepianowy Romualda Twardowskiego) – Filharmonia Częstochowska;
- 13.01. – zmarł Romuald Twardowski, kompozytor i pedagog;
- 15.01. – projekcja filmu dokumentalnego Krzysztofa Kasprzaka „Częstochowa lata 1939-1945 – II wojna światowa” – DKF Rumcajs, Klub „Politechnik”;
- 17.01. – „Wieczór z Galerią”: obchody 100. rocznicy urodzin Ludmiły Marjańskiej i promocja Częstochowskiego Magazynu Literackiego „Galeria” nr 68 – Muzeum Częstochowskie, Ratusz;
- 19.01. – spotkanie autorskie z Katarzyną Bodziachowską – OPK „Gaude Mater”;
- 19.01. – zmarła Ewa Podleś, śpiewaczka;
- 20.01. – AR(T)chitektura – spotkanie na wystawie „Poza realnością. Adam Patrzyk – malarstwo” – Muzeum Częstochowskie, Pawilon Wystawowy;
- 22.01. – spotkanie autorskie z Igorem Brejdygantem – Arche Hotel;
- 25.01. – Turniej Jednego Wiersza – Pub „Szała Gra”;
- 28.01. – 32. Finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

LUTY

- 2.02. – zmarł Marian Pilot, pisarz;
- 5.02. – projekcja filmu Krzysztofa Kasprzaka „Marek Perepeczko” – DKF Rumcajs, Klub „Politechnik”;
- 10.02. – premiera spektaklu „Seks dla opornych” – Teatr im. A. Mickiewicza;
- 13.02. – wernisaż wystawy malarstwa słuchaczy Uniwersytetu Trzeciego Wieku UJD – ROK;

- 16.02.** – zginął Aleksiej Nawalny, rosyjski opozycjonista;
- 16.02.** – spotkanie autorskie z Joanną Szymańską i promocja tomiku *Anioły na każdy stan ducha* – OPK „Gaude Mater”;
- 16.02.** – wernisaż wystawy fotografii Karoliny Kapsy „Tęsknię za sensem” – Miejska Galeria Sztuki;
- 16.02.** – wernisaż wystawy prac Michała Kastrogo „La Terre Est Un Homme” – Konduktorownia;
- 17.02.** – wernisaż wystawy malarstwa Moniki Sawionek – OPK „Gaude Mater”;
- 21.02.** – wernisaż wystawy poplenerowej 36. pleneru miejskiego ZPAP „Jest takie miejsce” – Muzeum Częstochowskie, Pawilon Wystawowy;
- 23.02.** – wernisaż wystawy 10. Międzynarodowego Salonu „Martwa natura w fotografii” – Miejska Galeria Sztuki;
- 23.02.** – zmarł Rafał Węgrzyniak, historyk teatru;
- 29.02.** – Turniej Jednego Wiersza – Pub „Szafa Gra”.
- 13.03.** – wernisaże wystaw: Tomka Sikory i Artura Wolskiego „Obraz i słowo” oraz Michała Szumlasa „Diagnoza dynamiki” – Miejska Galeria Sztuki;
- 14.03.** – wernisaż wystawy poplenerowej 49. Ogólnopolskiego Pleneru Malarzkiego „Jurajska Jesień” – Miejska Galeria Sztuki;
- 14.03.** – zmarł Jerzy Wołk-Łaniewski, tłumacz;
- 15.03.** – zmarł Tomasz Łubieński, pisarz, dramaturg i eseista;
- 16.03.** – prapremiera spektaklu „Urok likwidacji” – Teatr im. A. Mickiewicza;
- 17.03.** – zmarł Ernest Bryll, poeta;
- 19.03.** – wernisaż wystawy malarstwa MJ Junko „Spacer” – Miejska Galeria Sztuki;
- 21.03.** – I Festiwal Horroru – OPK „Gaude Mater”;
- 21.03.** – spotkanie z Anną Kaszubą-Dębską – Biblioteka Publiczna, Filia nr 9;
- 21.03.** – Nagrodę im. Karla Dedeciusa otrzymali: Urszula Poprawska i Lothar Quinkenstein;
- 22.03.** – wernisaż wystawy fotografii Andrzeja Zembika „Zabawy z kamieniami” – Wojewódzki Dom Kultury w Kielcach;
- 22.03.** – Koncert Dyplomantów ZSM im. Żebrowskiego – Filharmonia Częstochowska;
- 22.03.** – Wieczór autorski: Aleksandra Wierzbicka i Mikołaj Milcke, *Kalina Jędrusik. Opowieść córki z wyboru* – Arche Hotel;
- 23.03.** – zmarł Leszek Długosz, poeta i pieśniarz;
- 23.03.** – wernisaż wystawy Magdaleny Snarskiej „Pejzaże mojej pamięci” – Muzeum Częstochowskie, Ratusz;
- 24.03.** – Koncert pasyjny – kościół Parafialny św. Stanisława Kostki, organizator: Filharmonia Częstochowska;
- 26.03.** – zmarł Leszek Bugajski, pisarz, eseista i publicysta.

BARBARA STRZELBICKA

Barbara Strzelbicka

GALERIA Z LUDMIŁĄ MARJAŃSKĄ



SETNĄ ROCZNICĘ URODZIN LUDMIŁY MARJAŃSKIEJ, poetki urodzonej w Częstochowie 26 grudnia 1923 r., Towarzystwo Galeria Literacka obchodziło wspólnie z Muzeum Częstochowskim 17 stycznia 2024 r. Pretekstem do spotkania w Sali Reprezentacyjnej Ratusza była premiera 68 numeru Częstochowskiego Magazynu Literackiego „Galeria”, zawierającego materiał poświęcony Poetce, czyli:

- niepublikowane teksty Ludmiły Marjańskiej: ****(14 lutego 2002, Sopot); ***(jeszcze żyję); ***(jestem tylko uchem naczynia)* oraz listy i pocztówki z domowego archiwum;
- Arkadiusza Frani *O poezji Ludmiły Marjańskiej. Wypisy i zapisy* oraz *Wybrana bibliografia tekstów częstochowian o Ludmille Marjańskiej i jej twórczości*;
- Iwony Skrzypczyk-Gałkowskiej *Głosy o poezji Ludmiły Marjańskiej w latach 1958–2005*;
- Tadeusza Luterka wiersz *Światłocienie*.

Gościem specjalnym spotkania była Maria Marjańska-Czernik, córka poetki, której zawdzięczamy archiwalne teksty i dokumenty. Wspomniała, że jej matka czuła się silnie związana z naszym miastem, zwłaszcza pod koniec życia, i chętnie tu przyjeżdżała. Podczas jednej z wizyt – prawdopodobnie ostatniej – powstał film, zapisany na taśmie VHS, którego fragment, przedstawiający poetkę czytającą swoje wiersze, przygotowali do prezentacji Jacek M. Krasucki i Andrzej Chmielewski, dzięki czemu goście spotkania mogli zobaczyć i usłyszeć bohaterkę spotkania. Wcześniej Olga A. Wiewióra przeczytała biogram poetki ze *Słownika biobibliograficznego...* Władysława E. Piekarskiego i Zbigniewa Stańczyka (obecnego na spotkaniu).

Oprócz tego głos zabrali goście spotkania: literaturoznawczyni prof. Elżbieta Hurnik, o swoich badaniach nad poezją Marjańskiej opowiedziała pokrótce Iwona Skrzypczyk-Gałkowska, fragment tekstu nieobecnego na spotkaniu Arkadiusza Frani zaprezentowała Olga A. Wiewióra. Z osobistym wspomnieniem wystąpiła „wnuczka” Marjańskiej Beata Brodowicz-Szymanek,

która również przekazała zebranych pozdrowienia od Pani Marii Nasińskiej, przyjaciółki poetki. Wiersz *Światłocienie*, inspirowany wierszem Marjańskiej *Światło* z tomu *Prześwit*, przeczytał Tadeusz Luterek. (Tak się złożyło, że tom *Prześwit*, wydany tuż po siedemdziesiątych urodzinach Poetki, stał się w pewnym sensie motywem przewodnim spotkania. Sylwia Oksiuta-Warmus, aktorka Teatru im. A. Mickiewicza, zaprezentowała wiersze z tego właśnie tomu, zaś Arkadiusz Frania w swoim tekście poddał analizie wiersz *Motyle*.) Zdzisław Sierpiński, muzyk i poeta, przypomniał o twórczości dla dzieci Ludmiły Marjańskiej.

Ponieważ Maria Marjańska-Czernik wyraziła swój zawód z powodu niewznawiania ksiązek matki, traktując to jako brak zainteresowania jej twórczością, głos zabrała nauczycielka I LO im. Juliusza Słowackiego, którego absolwentką była Ludmiła Marjańska. Przypomniała, że w 2023 roku był realizowany projekt edukacyjny „Epickie kobiety Słowackiego”, organizowany przez Wydział Edukacji Urzędu Miasta Częstochowy, I LO im. J. Słowackiego i Regionalny Ośrodek Kultury, którego bohaterką była Ludmiła Marjańska.

Mamy nadzieję, że również działalność naszego Towarzystwa przeczy temu przeświadczeniu, albowiem nie jest to pierwsza nasza publikacja na temat wywodzącej się z Częstochowy autorki, poświęciliśmy jej wcześniej część „Galerii” nr 38 kwiecień – czerwiec 2016, wydaliśmy także książkę *Podobne, a tak różne życie... Korespondencja Ludmiły Marjańskiej i Wisławy Szymborskiej 1954 – 2003* (Częstochowa, 2018) ze wstępem prof. Elżbiety Hurnik i w opracowaniu naukowym I. Skrzypczyk-Gałkowskiej, specjalizującej się w badaniach nad twórczością poetki. W obydwu numerach „Galerii” prezentowaliśmy fotografie wykonane przez „wnuczka” Poetki, Piotra Dłubaka.

Spotkanie prowadzili Bogdan Knop i Barbara Strzelbicka. Po oficjalnej jego części nadal trwały rozmowy i snuły się wspomnienia przy lampce wina i ciasteczkach.



Od lewej: S. Oksiuta-Warmus, B. Knop, M. Marjańska-Czernik, O.A. Wiewióra, B. Strzelbicka, foto ze zbiorów Muzeum Częstochowskiego



Aleksandra Jakubczak, „Zakłócenie XXIV”, grafika cyfrowa, 2019

Marian Zygmunt Piątek

WIERSZE

samotność bywa nocą
która aż do bólu
skąpi nam ciepła
uczy trudnej ufności
oczekiwania świtu przyjaźni
pogody zrozumienia

Z nadzieją

Z fatamorgan pustynnego światła
oszukana wyobraźnia,
drogi chwilą wydeptane,
przez burze wiatru zasypane.

Wędrownko, wędroweczko,
niech nie oszukuje nas słoneczko,
chcemy iść do prawdy,
potwierdzi to każdy.

Czy to wyobraźni wina,
że drogą staje się pustynia?
– metafora czarna,
fatamorgana paradoksalna.

W paradoksie mgła po rosie.
mówią: prawdy trudno dociec,
a ta wysoko,
nie kłaniajcie się obcym bogom.

Życie metaforą w słonecznym kole,
gra w zielone,
masz nadzieję? – mam,
stąd w zielone dalej gram!

Szczęście

motyl w zapachu kwiatów
jak w świecie słów
ktoś zostawił uśmiech w kąciakach ust
ktoś powiedział słowa dwa
i teraz pachnie cały świat
mówią, że tak pachnie szczęście

Jakże nam z lasem po drodze
w wyobraźni oswojonej
z sielskim znaczeniem,
poprzez cienie, poprzez zieleń.

Niech w ptasim gnieździe
będzie bezpiecznie,
– jako i w naszym,
bez rozpaczy!

W skamielinach ukryte milczenie
amonitów,
rozmowa ciszy bez limitu,
wapien czasu posagiem,
bezbieżne, białe wędrowanie,
chwila oddechu,
czasu Opiekun
pozostał przy nas,
w geologicznych życia opisach,
w ożywczej myśli,
w kosmosie przedziwnym
pośród obliczeń,
pośród zdarzeń.

Chciałem napisać piosenkę,
z refrenem o dobrym świecie,
wiem, że słowa bywają ukryte,
słowa przypuszczeń,
słowa złudzeń,
najtrudniej znaleźć właściwe,
dobremu światu życzliwe,
jak znajdę, zaśpiewam
wędrownym ptakom na rozstanie.
piosenki niekiedy bywają skrzydlate;
ulatują nisko, przyziemność sławią,
czasem ptasim refrenem wracają,
czy wrócą – choć na krótko –
w piękne widoki? nie wiem,
szukam słów o dobrym świecie,
który gdzieś w połowie drogi
nieznanej, dalekiej...

Bogactwo, ach bogactwo!
ulubione słowo – hasło,
przy tym hasła coraz ciaśniej.

Czy w tym tłumie
ktoś siebie zrozumie?

Panie nasz, który błogosławił ziemię
darem barw codziennie
wszystkich odcieni gamą,
by przed Tobą światło śpiewało
w naszym spojrzaniu,
w słońcu i w cieniu.

Święte jest imię Twoje,
święte Królestwo, obdarzone pokojem.
Spraw, by do serc naszych weszło
ego bezgraniczne, ufne ciepło.

Marian Zygmunt Piątek – o sobie:

Urodziłem się w cieniu jasnogórskiej wieży 13 sierpnia 1954 r. Z poezją zapoznałem się po raz pierwszy za pośrednictwem *Elementarza* Mariana Falskiego, gdzie był wiersz Juliana Tuwima *Rzeczka*, którego miałem się nauczyć na pamięć – w domu się to udało, natomiast w szkole przed całą klasą – zapomniałem cały wiersz i trafiłem do „kozy”. Po godzinie, gdy wyrecytowałem wierszyk, zostałem zwolniony. Taki był mój poetycki chrzest bojowy. Więcej walk z poezją nie pamiętam, ale może były, wszak w życiu może się niejedno wydarzyć. I tak – pewnie w ramach rekompensaty – przez trzy lata byłem uczniem Pani Elżbiety Cichli-Czarniawskiej, znanej poetki. Języka polskiego uczyłem się przez czternaście lat, kończąc naukę z prawem do używania tytułu technik elektryk. Przez życie zawodowe przyświecało mi hasło: „Pamiętajcie, ludzie, nie zna życia, kto nie działał w hucie” – działałem w niej jako automatyk przez prawie pół wieku, czyli przez ponad czterdzieści lat. Obecnie posiadam status emeryta.

Inspirujące dla mnie były teksty piosenek czasu mojej młodości: Krzysztofa Klenczona, Czesława Niemena, Ewy

dla Tadeusza Luterka

Nad Nowym Orleanem
jazzową słycać frazę,
to Louis opowiada ochryple,
jak szczęście znalazł w murzyńskim rytmie.

W jazzowej frazie
jak w obrazie
dźwięki nęcą barwą morza;
to wiatr z rytmem serca – to tęsknota.

W jazzowej frazie zabłysła
słońcem Afryki trąbka Louisa.
Tańczą bluesa ze smutku wyzwoleni,
pełni obietnic nowej ziemi.

Pani Barbarze Strzelbickiej

atomowe zegary owinięte cyframi
jak bandażem
w środku pulsuje matematyczne ucho
goniące światło
by nigdy go nie złapać

matematyczne ucho
czułe na pośpiech świata
nie usłyszysz tykania
jest tylko pulsowanie
między tak i nie
ogromna przestrzeń
pulsuje łapiąc Czas
jak wiatr dmuchawce

Demarczyk, Marka Grechuty, „poezja portu, mimozy wspomnień, zapach pachnącego groszku” – dlatego jestem lirykiem. Liryka to dla mnie kolory Mistrza Konstantego oraz „tkliwa dynamika / angelologia i dal”, „Sted” i to, że „Tramwaj na przystanku zakwitł jak róża”, walc Tuwima w kolorze sepia, Herbert z pytaniami Pana Cogito w barwach niderlandzkich mistrzów. Jest wreszcie bliska mi Halina Poświatowska z kolorem odwagi podniesionego czoła.

Tadeusz Luterek

RYMY POGODNE (wybór)

CZYM JEST POEZJA?

Czym jest poezja? Nie znam odpowiedzi,
zapewne w głowie piszącego siedzi.

Jej złoża, warstwy, co w pokładach świata,
nierozpoznane, nieznana ich data.

Chce się wysławić, najpełniej wyrazić,
niedostrzeganym rzeczy wyobrazić.

Odsłonić nowe, ukryte znaczenia,
oczekujące pochwały imienia.

Liryki głosem, pieśnią, poematem;
niewyczerpanym dla pióra tematem.

WIERSZ, KTÓRY PISZĘ...

Wiersz, który piszę, w źródle się obmywa,
toczy jak potok, słów mu wciąż przybywa.

Pieści znaczenia, obrazy, wyznania,
zawiłe myśli ma do przekazania.

Nieraz zatrzyma, nisko się pochyli,
tak jakby szukał utraconej chwili.

Nurtem szerokim płynie znów przed siebie,
gdy celu bliski, czuje się jak w niebie.

Głowę podniesie, w blasku się zanurzy,
aż ktoś mu powie, że to kres podróży.

PISANE NA PIASKU

Gdzie pójdziesz – wieczność nieznana, surowa,
z tyłu historia, ubierana w słowa,

w środku trwa życie – jak morska latarnia,
światła się trzyma, gdy ciemność ogarnia,

gonić chce, chociaż brakuje oddechu,
świat, co oddaje się magii pośpiechu,

nad nim szybują marzeń lotne ptaki,
by klucze wręczyć, tak dla niepoznaki,

do snów, tym wolnym i tym zniewolonym,
głoszącym pokój, jak i poróżnionym.

POEZJO! – W DŁONIACH...

Poezjo! – w dłoniach wiatru rzeczy nieuchwytna
Dotknięta znakiem czasu jak i nowożytna

Podążasz w jasnym locie, gdzie duchowe sfery
Wyraźne przywiązanie żywiąc do litery

W kamieniu mieszkasz, trawie oraz strudze wody
W każdym pociągającym obrazie przyrody

A jeśli imię czyjeś zapamiętasz
Zwykłą codzienność czynisz na kształt święta

W górę unosisz łatwo to, co nieskrzydlate
By piękno zdolne było mierzyć się ze światem.

GDZIE TE POEZJI PROMIENNE PORANKI...

Gdzie te poezji promienne poranki,
przychylny wiatry, zapach macierzanki,

słowa przestrzenne, źródeł wodotryski,
na każdej stronie czyniące zapiski,

wojny Iliady, porty Odysei,
upamiętnione w wersach epepei,

pełne zaskoczeń wewnętrzne dialogi,
improvizacje oraz monologi,

myśli kopalnie i metafor złoza,
nieopisane poruszenia morza,

proste rysunki, mgliste skojarzenia,
kreślone z trudem oraz od niechcenia?

TE KSIĄŻKI MOJE...

Te książki moje, wciąż nieprzeczytane,
stopą nietknięte ziemie obiecane,

stoją w szeregu lub leżą na stosie
pełne zadumy o wzgardzonym losie,

wiedzy pomniki nieco zakurzone,
piękne historie, najzwyczajniej zmyślone,

chcą się rozślawić, dojść wreszcie do głosu
albo wyszumieć, tak jak łany kłosów,

lecz wielka cisza wśród pól zalega,
o tani rozgłos nikt tu nie zabiega.

PRZENOŚNIA

Dojrzałe grona od czerwieni piękne
nim krwią zabarwią serce, kiedy pęknie.

Przenośnia – jak wiesz – sprawuje tu władzę
przewrotną – nic już na to nie poradzę.

Niezmiennie wzywa, aby zmieniać szyki,
skostniałe formy, schematy, nawyki.

Krew jej błękitna, pulsuje jak żywa,
cudowna jakaś czy bardziej prawdziwa?

Nowy świat tworzy i ten dawno znany,
słowem natchniony i ze słów składany.

SŁÓW NIEZATARTE DROGI...

Słów niezatarte drogi, jak przestworza,
nieogarnięte niczym iskra Boża,

poszukujące dla siebie mieszkania
w kręgu myśli, nawykach czy upodobaniach,

skłonne, by opisywać życiowe historie,
ciche dramaty, idylle, wysokości glorie,

aż z przekonaniem wypowiedzą zdanie,
że blaskiem dla nich prawdy zmartwychwstanie,

ciche i mroczne, jasne i płomienne,
cudem niezwykłym, kiedy są zbawienne,

a przed nimi podróże i światy nieznane,
bo oczy tam, gdzie nowe ziemie obiecane.

(Tadeusz Luterek, *Rymy pogodne*, Częstochowskie Wydawnictwo Archidiecezjalne „REGINA POLONIAE”, Częstochowa 2024)

Joanna Szymańska

ANIOŁY NA KAŻDY STAN DUCHA (wybór)

Anioł wyobraźni

przychodzi do mnie
anioł wyobraźni
po cichu za uchem
szepcze
podpowiada
zakwitają pola skojarzeń
znakiem trąconą równowaga
sieje drobną ręką
pomysłów ziarenka
zawsze nieoczekiwanie
zwykle jest zamysłony
klucze wiolinowe brzęczą mu
u boku
dotykem otwiera pytanie za pytaniem
anioł przestrzeń wygładza
na to
czego nie zdążyłam
jeszcze poczuć

Anioł mądrości

aniele mądrości przemień mą niedojrzałość
by się me życie mądrością nasycalo
niech jak dzień się rodzą same myśli złote
do pracy nad sobą daj siłę i ochotę
i czystym darem Ducha Świętego
broń od zachowania nierozsądnego
pomóż tak postępować, bym nie ranił ludzi
przerwij natłok myśli, kiedy zło się budzi
powściągnij i język, kiedy nazbyt ostry
porozstawiaj przede mną cierpliwości mosty
daj poznać ciszy smak oraz znaczenie
i ześlij czasem olśnienie, natchnienie
wszystko pomału układaj
niech darem mym będzie rada
naucz rozumnie postąpić
w czasie zwątpienia nie wątpić
w życiu prostotę wybierać
i czynem pieśni mądrości śpiewać

Anioł cierpliwości

aniele stojący w kolejce,
aniele w codziennej udręce
gdy dziecku tłumaczysz niełatwe zadanie
gdy cierpliwie czekasz, kiedy się cud stanie
aniele oczekujący
o sercu łagodnym i gorącym
patrzysz w dal, modlisz się i czekasz
tolerancyjny dla zwykłego człowieka

Anioł na przejście

Poważny aniele w cienkich szatach w bieli
Czyżby wszyscy przy tobie posnęli?
Czemu tę kobietę trzymasz tak w ramionach
Jakby to była owca zagubiona?
Czemu nic nie mówisz, gdy pytam się ciebie
I co ma oznaczać ta rysa na niebie?

Aniele, przewoźniku na niebieską stronę
Kiedys złożę przed tobą z uczynków koronę
Wszystko inne zostawię co nieużyteczne
Popłyniesz ze mną w podróż po życie wieczne

Anioł snu

skrzydła układa na kształt kołyski
ostatnich myśli nocnych przebłyśki
na ołtarzu składa pod powiekami
by się objawiły spokojnymi snami
nic już nie rozprasza ich bieli
anieli na pointach posnęli

Anioł miłości

Anioł miłości ciągnie ciebie w górę,
 Choć z zakochania szczytu już spadasz
 W garść zbiera twoje dni ponure
 A gdy ci smutno – psalmy opowiada
 Anioł miłości jest taki zwyczajny
 Jak stary sweter, co lubisz go wkładać
 Jest jak lekarstwo, jak kwiat miododajny
 Łatwo wybacza, kiedy ranę zadasz
 Chroni łaskawie, gdy wieje w twą stronę
 ufa, znosi niedostatki, szuka prawdy
 rany serca opatrzy nowe i znajome
 on wszystko przetrzyma doprawdy
 i jest jak dobra wiadomość
 jak ciepły szal w chłodniejsze dni
 świętej obecności świadomość
 jak ty i ja złożone w my
 w intencjach pokorny i czysty
 cierpliwy, łagodny, oczywisty

Anioł pogody

Zawsze jest jakaś pogoda
 Anioł w pogodzie się schował
 W słońcu swym blaskiem zaświecił
 A nocą gwiazdy rozkwiecił
 W deszczu zapłakał nad nami
 W smutku się skrył za chmurami
 We mgle się kąpał w swej bieli
 W gniewie go w burzy widzieli
 W szronie zadumał się chwilę
 A w wietrze nie zostawał w tyle
 Śniegiem się przykrył i czeka
 Na prośby zwykłego człowieka

Anioł od łez

Aniele, co płaczesz w ukryciu
 Nad kruchym losem człowieczym
 I myślisz o smutków obmyciu
 We łzach, co płyną, co leczą
 Aniele, już strumień przejrzysty
 Z tych pereł niebiańskich się tworzy
 By z łęków powstać, by ożyć
 Łzy ludzkie zbierasz do ręki
 W ogrodach rozrzucasz je potem
 By w rosy kropelkach maleńkich
 Ożywcze wydały owoce
 Aniele, czasem we łzach tonę
 Łzy kąpią ponuro jak deszcz
 Weź mnie w anielską obronę,
 A łzy delikatnie zbierz
 Gdy mi się wydaje
 Że życie ze mnie drwi
 Tam, gdzie życiowe rozstaje
 Aniele od łez, pomóż mi

Anioł narysowany

Narysuję dla ciebie anioła,
 a ty go proś i błagaj i wołaj
 z wnętrza siebie, z niepewnej otchłani
 i do serca go sobie przygarnij

(Joanna Szymańska, *Anioły na każdy stan ducha*, Częstochowa 2023.)



Zbigniew Szpruta

POLSKA B ROZMAWIA Z POLSKĄ A

Polska B rozmawia z Polską A

liszaje biedy na ścianach starych ruder
marzenia o fortepianie białych zębów – dobrze wygląda na tik toku!
(dentysta daleko i niedostępny finansowo)
wilgoć i zacieki w kuchni w której nie ma wyspy gościnnie zapraszającej telewizję śniadaniową
zapach pleśni zniechęcającej kolegów którym nie zaprezentujesz z dumą fotela gamingowego
asortyment gier też nie zadowoli wybrednych

Polska C przemoc i patologia
bimber i tanie proszki

zebrać mirabelki żeby przerobić na kompot i nic się nie zmarnowało
sprawdzić czy babcia dycha bo jak zabraknie renty żeby lepiej nie zdechła ta stara kurwa

Polska B rozmawia z Polską A

wsiurskie ciuchy z second handu nie sprzedają się na Facebooku
źle odżywionej skóry nie przykryją najlepsze filtry Instagrama
poczucie wartości wprost proporcjonalne do zawartości portmonetki
i stanu konta lajków
lekcja rwie się na teamsie bo jak tu pokazać brudne ściany?

utkany z marzeń świat w powieści Łukasza Barysa
smutek prowincji na fotografiach Jacentego Dędko
kurz biedy

życie walczące o uznanie prestiżu
nie miało
nie śmiało
nie dbało
nie dało

ŚWIĘTA ŚWIĘTA I JUŻ PO ŚWIĘTACH

święta święta i już po świętach
mówiłem to po każdym Bożym Narodzeniu
i każdej Wielkanocy

denerwowało to moją Mamę

Ona wiedziała
że każde kolejne święta
przybliżają do świąt wiecznych

do wigilii Paschy
ból odrzucenia zmęczonej skorupy
trudu poszukania Boskiej energii
niewidzącymi już oczami
żeby podążyć za Światłem
milisekund niepewności a potem już wiecznego spokoju

we mnie też pozostawała jakaś nostalgia
nie wiem tylko czy za lepszym jedzeniem
zastawą wyjmowaną dwa razy do roku
niecodzienną serdecznością
i świątecznym byciem lepszym

a może jak Matka podświadomie czuję
że będą to ostatnie obrazy
gasnące na ekranie oczu?

Można delikatnie obrócić głowę.

Patrzyć na chlupot
wypływającej krwi.

Czekać na karetkę:
15–20–25 minut.

Pierwsza syrena straż.
Czemu nie pogotowie?

Podnieść źle zapięty kask.
Odleciał na długość 20 metrów.

Zatrzymać brata w szkole,
błady.

Dotknąć włosów, tylko tak,
żeby nie bolały.

Słuchać krzyku matki. Nie ma
wosku, który wchłonąłby rozpacz.

Stanąc pod krzyżem VIII Stacji:
Pan Jezus pociesza płaczące niewiasty.

Jezu zasyp piaskiem ślady krwi.
Zasyp łzami rany łez.

Któryś za nas cierpiał z nami.

Anna Jędryka

JEŻELI

Jeżeli jesteś chmurą – przemień się w słońce,
Jeżeli jesteś złością – przemień się w dobroć,
Jeżeli jesteś krzykiem – przemień się w ciszę,
Jeżeli jesteś smutkiem – przemień się w radość,
Jeżeli jesteś kłamstwem – przemień się w prawdę.

Jeżeli jesteś nocą – zmień się w poranek,
Jeżeli jesteś pychą – zmień się w pokorę,
Jeśli jesteś chorobą – przemień się w zdrowie,
Jeśli jesteś brzydotą – przemień się w piękno,
Jeśli jesteś zwątpieniem – zmień się w nadzieję,

Jeżeli nienawidzisz – naucz się kochać...

22.01.2024 R.

PIOSENKA O SMUTKACH

Smutki, moje smutki
Odpłyńcie daleko,
Skryjcie się za górą,
Skryjcie się za rzeką.

Odpłyńcie za bory,
Odpłyńcie za morze,
Gdzie się skrywa nocka,
Gdzie się kryją zorze.

Troski, moje troski,
Co nie macie końca,
Dajcie mi wytchnienie,
Złoty promyk słońca.

Przynieście mi ulgę,
Przynieście radości,
Niech zawita spokój,
Niech uśmiech zagości.

Troski, moje troski,
Smutki, moje smutki,
Odejdźcie ode mnie,
Bo żywot jest krótki.

23.01.2024 R.

TWÓJ OBRAZ

Zamienię twoje słowa na kwitnące kwiaty,
ubiorę każde słowo w perły i w szkarłaty;
przypomnę sobie wiosny odziane młodością,
spowite w bzy, jaśminy, nabrzmiałe radością.

Zabiorę moje myśli na spacer wiosenny;
odtworzę każdy uśmiech zwyczajny, codzienny;
zatrzymam miłe gesty, miękki dotyk dłoni –
tak bardzo delikatny, niczym kwiat jabłoni.

Odnajdę niespokojne twego serca bicie
i głębię twoich oczu patrzących w zachwycie.
Twój obraz pod powieką znów u mnie zagości,
bo pragnę wziąć go z sobą – choćby do wieczności...

17.02.2024 R.

POPLĄTANE MYŚLI

Poplątane moje myśli krążą nocą ciemną,
Spoglądają w moje oczy, nie chcą zasnąć ze mną.
W środku nocy mnie obudzą, by snuć opowieści,
Nieraz miłe, nieraz przykre – różnobarwnej treści.

I nie sposób ich odpędzić, bo mocno tkwią w głowie,
Wspominają dnia rozmowy – tak słowo po słowie,
Po raz drugi przeżywają przebrzmiałe już chwile,
Jakby chciały wstrzymać w locie wędrowne motyle.

Myśli smutne lub wesołe drażnią nocy senność,
Zawłaszczają czas mój cenny, kradną mi codzienność,
A nad ranem pozwalają zamknąć senne oczy,
By wieczorem znów powrócić i burzyć sen w nocy.

4.03.2024 R.

Andrzej Ostałowski

METAFORA WSPOMNIEŃ

Metafora wspomnień

zimną skorupę codzienności
rozkruszył
uwolnił serce
spętane
jak dzikie konie

przez szczeliny rozbłyły
promienie wolności
ukazały dziki świat
niezmierzony

zrzucił mizerne
tożsamości szaty
zniewolone talenty
wyzwolił

skąpany w ukropie wzruszenia
oczom patrzeć w słońce
pozwoił

łzy szczęścia uroniły
odrętwiały usta
uwiodły wersami

zmysły przytomność straciły
harfy zaśpiewały strunami
poezja złamała ducha rozumu
uwolniła nierealne marzenia
umysł dojrzały upływem lat

w wierszach w metaforę
przyodział wspomnienia

W komisie starości

pod powłoką czasu
w ciasnym gorsecie
starości
jak w komisie
rzeczy oddanych
za marne grosze
dawne uczucia
wzajemne troski
zasuszone róże
dawnej miłości
na nowego właściciela
czekają

może kupi
radością obdaruje
zdmuchnie kurz zwątpienia
ciepłym dotykiem ręki
więź wspólnoty odbuduje
oczy rozpali nadzieją
w sercu dzwony zabiją
„Ody do radości”
dźwięki

Okrakiem

przez życie już idziesz
okrakiem
noga na wschodzie
noga na zachodzie
po soczystej zieleni
po rdzawej liści suchości
pod białymi obłokami
złożonymi słońcem
pod pociemniałą chmurą
spowitą mrokiem

wyznaczony czas
krętą rzeką pamięci
płynie
czystość źródlanej wody
mąci bólem

między brzegami
jak tęczowa kładka
stajesz okrakiem
chcesz przyszłość
z przeszłością zbratać
chcesz wierny do końca
pozostać sobie

prosisz więc jaskółki
by pozbierały daty
i z życia utworzyły
sonet skrzydlaty

Poczucie sensu

życie ma sens
choć dopatrzeć się
trudno
ukryty dla świadomości
w zbiorowisku
przypadkowych zdarzeń

całe życie szukasz
grzebiez tworząc nowe
z konieczności trwania
i realizacji marzeń
na koniec łączysz
ogniwa nonsensów
sympatycznym atramentem
odpowiedź pisząc

ona nie ma sensu
póki nie odkryjesz
prawdy która mówi
życie ma sens
dopóki żyjesz

Radość poety

chciał coś napisać
zebrał myśli pokłócone
rozblęzło
zagrzmiało
zalało umysł
pomysłów deszczem

każda kropla krzyczy
chce coś przekazać
na kartce papieru
stawia treści ślady
palcem po piasku
pisze
puszcza wersów
bańki mydlane

wezbrana woda myśli
jak powódź
ich trwałość utopi
poezie zrosi potem
rozpalone czoło
wena uśmiechnie się mile
radość z twórczości
trwała chwilę
było wesoło

Wylizać resztki

chwytasz w dłonie każdą chwilę
uciekają jak motyle
liżesz z miski życia resztki
zostawiając tylko grzeszki

rozbijałeś boscie nogi
a gdzie buty i ostrogi
dni z sakiewki wybierałeś
w nocy często mało spałeś
teraz dni w noc się tulą
przyodziane w lat koszulę
gwiazdy kuszą wciąż na niebie
ale już nie ciebie

tylko dusza ciągle marzy
snem pożółkłych kalendarzy
słońce dalej grzeje
w środę piątek i niedzielę
nikt nie zgadnie
ile kartek jeszcze spadnie

Małgorzata Franc

MINIATURY WIOSENNE

Na powitanie

Na powitanie
ślicznej Wiosny
nawet kamień
tak połyskuje
jak jakiś liść
i łatwiej po nim
lekką iść gdy
nas zakłuje
w stopy obie
bo kamień
przecież nic
nie powie
na powitanie.

Pierwiosnki

Piękne są
te wiosenne
pierwiosnki
kolorowe i jasne
jak tęcza i nikt
też ich nie
wyręcza gdyż prym
wiodą prymule
nieustannie
w doniczkach
na balkonie
lub ogrodowej
wannie.

Trawy

Trawy potrafią
przetrwać wszystko
gdy nakryte starą miską
są ukryte całkowicie
i przed słońcem
i przed życiem.
Wiosną gdy
pulsuje ziemia
ich ciężki los
się odmienia
bo gliniana misa
pęka i kończy się
traw udręka.

Leszczyna

Pierwsza
jak dama
zakwita na wiosnę
zdobna w delikatnej
bazie niewysoka i
na razie jeszcze
nie ma żadnych
liści jej sen
jeszcze się nie ziścił
o przepysznych
tak w mieście
jak i pod strzechą
orzechach.

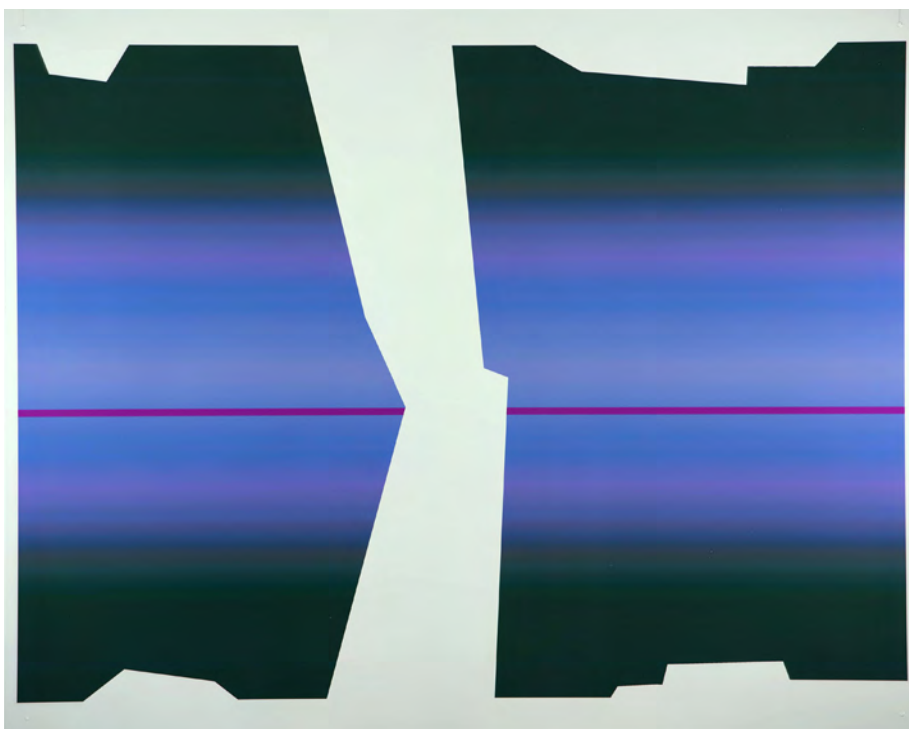
Wśród drzew

Wiosna wita nas
niespiesznie w bogatym
swoim majestacie
pachnącym kwieciami
nagle sypnie tych
przebiśnięgów w białej
szacie i na krokusy też
popatrzy gdy się
kobiercem barwnym
ścielą i czwartek myli się
z niedzielą kiedy znów
słychać ptaków śpiew
wśród drzew.

MARZEC 2024 R.



Aleksandra Jakubczak, „Prześwietlenie-przeniknie 04”, litografia na folii, druk solwentowy na folii, 63x79cm, 2022



Aleksandra Jakubczak, „Prześwietlenie-przeniknie 06”, litografia na folii, druk solwentowy na folii, 63x79cm, 2022

Jacek Gierasiński

SŁOWA

kolana bołą o ciebie
jeszcze nigdy
nie widziałaś płaczącego serca
w pustym spojrzeniu
w ramionach sufitu
uśmiech zawodzi
skrzywione usta
cicha podłoga
kroków twoich

dlaczego?
dlaczego?
dlaczego?...
to jest wiersz
bez odpowiedzi
mając wykręcone ręce
stawia pytania
poderwane do myślenia
i po cichu
nie odpowiada
skulony w kącie
świadomości

miała na imię opera
operatywna w zakochaniu
nosiła majtki w groszki
kiedyś modne i
luźny lekko stanik
nie malowała czystych paznokci
gołe usta dla pocałunków
pachniała „być może”
być może konwalia
a tak w ogóle truskawkami
z cukrem i śmietaną
rzęsy dotykały czoła
pod nimi oczy szelmowskie
była zjawiskiem
opera
taka pięknie beztroska
wyłowiona z jeziora pamięci

powrócimy do tamtych domów
szczeniących uśmiechów
z łożką wspomnień pachnących
chlebem z wodą i cukrem
w krótkich portkach ulicą
pobiegniemy w przeszłość
z dziesięciogroszówką
po cukierka
w zdartych butach
w kafłowym piecu spalonych
jak ta rodząca poezja
w bólach krocza krwawiąca

ona odeszła
 głód serca
 to naprawdę nieporównywalnie
 dziwne uczucie
 wczoraj jeszcze jest
 jutra już nie ma
 niewylizane rany wspomnień
 niezagojone
 noce bez ciebie
 na zimnej poduszce
 te ciche słowa
 do ciebie
 i do mnie
 moja kochana
 kotko
 poetko
 moja królowo
 doznań

cisza też ma
 coś do powiedzenia
 wywlekana na podwórko
 codzienności
 truchleje
 nabiera w usta słowa
 popełniając własną krzywdę
 po omacku odnajduje
 samą siebie
 oddycha pospiesznie
 arytmia serca
 napakowana kłębkami
 niedoskonałości
 rozumianej połowicznie
 cisza...
 skarbnica siebie

a przecież tylko wystarczyło
 ciebie nie kochać
 nie trawić wyobraźni
 wystarczyło ciebie nie spotkać
 w namiastce chwili która
 w znowie
 niespełnionej
 niedokończonej
 nieobecnej
 tablicy Mendelejewa
 miłosnej
 tak niewiele wystarczyło

Zależność

nie pokochasz mnie
 bo nie mam nóg
 brak ręki
 też ci przeszkodzi
 moja ociemniałość
 nie po drodze tobie
 nieme usta
 w konflikcie i
 brak pieniędzy
 w kieszeni
 i te wiersze z serca
 i łzy obwisłe
 na krawędzi
 urwiska przemyśleń

Słowa

miej przemyślane
 miej uspokojone
 ułożone w całość
 słowa mądre i
 skromne
 w powiewach uśmiechu
 bezchmurnych spojrzeń
 słowa na dzisiaj
 na wieki wieków
 dozgonnie

Janusz Strojec

ROZWAŻANIA DROGI KRZYŻOWEJ W 2024 ROKU

Wstęp:

na drzewach leżały
zrzucone w pośpiechu śniegi
mróz skuł płatki
pulsujący sens
melodii zawiesił księżyc
boję się pierwszej gwiazdy
trzej królowie pogubili kierunki
łzy pierwszego śniegu
grobem dla tych co wracają
z frontu w workach foliowych
dziś Betlejem ma drzwi zamknięte
dziś Betlejem Golgotą

Stacja I

Pan Jezus skazany na śmierć

tłumie bezlitosny
zaopatrzonej w myśliwce
z bronią jądrową
tłumie krwawy
z dronami równającymi z ziemią
tłumie milczący
tłumie karłowaty
opakowany w materializm
skazujesz
tłumie grzeszny
mordujesz swych braci
tłumie pełen granatów
przybijasz

Stacja II

Pan Jezus bierze krzyż na swe ramiona

Belko nazareńska
belko budująca
stawiasz miasta
które zmieniają w gruz
belko krzyżu
matki opłakującej śmierć

niemowlęcia
belko nie do udźwignięcia
drżą wody w korytach
rzeki zmieniają kierunek
a piasek kamienieje
belko krzyża
topnieją lodowce a
twe gwoździe ocalają

Stacja III

Pan Jezus pod krzyżem

tłumie szydzący
tłumie gardzący
wymyślasz nowe systemy
wciąż budujesz nowe wyrzutnie
twa precyzja sięga Zenitu
Jezusie upodlony
Jezusie bezsilny
kolejne miasto zamienione w pył
staruszka na gruzowisku
bez wody i chleba z różańcem
twoje kolana kruszeją

Stacja IV

Pan Jezus spotyka Matkę Bolesną

Matko Wybrana
Matko Niepokalana
Twoje dzieci rzucone
w pożary płoną
Matko Litościwa
pluton egzekucyjny
strzela w potylicę
Matko Opatrzności
idą narody na kolanach
w poniewierze w schronie
w piwnicy
Matko pełna łez
tysiące matek zakrywa
twarz obok Twój Syn
nadzieja

Stacja V
Szymon z Cyreny pomaga
Panu Jezusowi dźwigać krzyż

skrusz duszę swoją
 skrusz twardą
 Szymonie
 odrzuć kolejne obszary
 bogactw ropy podróży kosmicznych
 tablic Mendelejewa
 gdzie żywność obfituje
 zabijaniem
 Szymonie
 kruchy człowieka
 z Syrii Jemenu Gazy
 czy Ukrainy
 niesiesz drzewo krzyża
 czujesz jego ciężar
 w tych sądnych dniach
 pomóż ocalić świat

Stacja VI
Święta Weronika
ociera twarz Panu Jezusowi

cierpi Jerozolimka
 Ukrainka Jemenka Afganka
 Libanka Etiopka
 Sudanka Palestynka Izraelitka
 Angolka
 widząc twarze zakrwawione
 próbują przemyć je łzami
 bez wahania
 narażając własne życie
 w nalocie myśliwców
 wśród dymu pożarów i
 wybuchów rakiet na lądzie
 cierpiące
 w kieszeni z fotografią
 jedyną pamiątką
 jak chusta z twarzą Pana

Stacja VII
Pan Jezus po raz drugi
upada pod krzyżem

po raz drugi pod ciężarem
 belki
 upadasz
 by się dźwignąć
 zapisana na twardym dysku
 pamięci
 płacze ubrana w kamuflaż
 wyobraźni gdzieś na cudzej ziemi
 wśród bliskich ludzi
 wedle miary liczby i wagi
 takich jak my
 Boża dziecina

Stacja VIII
Pan Jezus spotyka
płaczące niewiasty

o córki jerozolimskie
 o matki żony
 podążając za Pitagorasem
 w kolejny kwadrat promienia
 stratosfery w trzeci wymiar nieba
 podążam
 w przepisie na jesień
 chowam dojrzałe jabłonie
 w czereśnie maliny i orzechy
 czy pomidory ogórki i kapustę
 kwaszone marchewką i solą
 w pokrzywy mięte i rumianek
 mnie nie trzeba trwogi
 zadbajcie o tych którzy
 mają przyjść do mnie

Stacja IX
Pan Jezus po raz trzeci
upada pod krzyżem

uwierają mnie
 gwoździe w białe
 w czoło w ręce i nogi
 lubimy patrzeć
 i ronić łzy
 wzruszamy się oburzamy

gdy lecą rakiety bomby
 pilnie śledzimy
 czy jeszcze nie na nas
 jest miasto
 było miasto
 jest człowiek
 był człowiek
 dźwiga Jezus zemdlony
 drzewo srogie
 po raz trzeci
 upadł pod krzyżem

Stacja X **Pan Jezus z szat obnażony**

napoileś mnie piółunem
 i octem
 odarłeś z szat
 wiszę nagi
 oswojony bez skrzygnięcia
 w krzyżach pamięci
 w dom wiejski wspomnieniem
 ulepiony a to w krzyże
 przydrożne narodowe powstańcze
 a to w te leśne w pomruku
 historii
 pod parasolem z chmur
 lękam się bardzo
 ja Bóg – Człowiek
 krwawiący

Stacja XI **Pan Jezus do krzyża przybity**

krzyżu bezlitosny
 oddaję ducha mego
 i lękam się bardzo
 bardzo się lękam
 oto osiemdziesiąt siedem
 milionów ludzi zginęło
 podobną trajektorią
 zmienia wiek XXI
 wśród szczęśliwych ludzi
 szczęśliwego kraju
 dziecko otulone w krople deszczu
 tęskni za świętym spokojem
 zaciska sznur na szyi

w świecie w którym
 trzeba być naj
 krzyżu zimny
 nieczułe drzewo
 bez śladu zeszyłych liści

Stacja XII **Pan Jezus na krzyżu umiera**

Boże
 czemuś mnie opuścił
 czemu
 ostatni wdech bez
 wydechu
 serce staje
 i przez cztery minuty
 obumiera mózg
 krzyk natury
 z atrapami ptaków i
 gwiazd
 w izolatoriach
 przez które przeszedł
 huragan
 strącając ostatni oddech
 jak woskowe krople
 do krainy cieni
 w bezdechu milionów
 zwiędłych kwiatów
 wydartych światu
 nie rozpaczaj Matko Moja
 i Ty Jezusie
 Boże
 czemuś mnie opuścił
 czemu

Stacja XIII **Pan Jezus z krzyża zdjęty**

zimne
 zastygłe
 obolałe
 złożone na Twoich rękach
 Maryjo
 siedemnaście i pół tony
 ludzkich prochów
 półtora miliona
 ludzkich istnień

ich dusze unoszą się
w gęstniejącym powietrzu
rzeźbią koryto Soły
równają doły i zagłębienia
Auschwitz
budują drogi
tego krzyża
nie udźwigniesz
cierpiąca Maryjo

Stacja XIV

Pan Jezus do grobu złożony

Józef z Arymatei użyczył miejsca
Matka Bolejąca obmywszy
Ciało Jezusa łzami
otuliła je w słońce
owinęła w obłok i
złożyła do grobu
tysiące ciał w okopach
w kołdrze czarnej ziemi
z nokturnem szpadli
zasypywanych w rowach
porozrzucane użyźniają glebę
Maryja z czcią
złożyła Jezusa do grobu

Stacja XV

Panie
czy to jeszcze ja
Panie
czy to jeszcze ja
Panie
to ja

Zakończenie:

Ojcze nasz
Chlebie nasz
Zachowaj nas
Ocal nas

Wiesława Ovczarek

ECH, ŻYCIE...

ŻYCIE

życie
nie jest dla nas
zbyt uprzejme
kłamie
nie mówi co tak naprawdę
z nami będzie
kręci, lawiruje
daje i zabiera
obiecuje i nie spełnia

czasem rzuci coś w prezencie
miłą chwilę, pieniądź, miłość
szybko o tym zapomina

nie przepuści nas w kolejce
nie ustąpi miejsca w tramwaju
bo samo bardzo zmęczone
a niekiedy ot, tak sobie
podstawi nogę, kopnie leżącego

ale bądźmy sprawiedliwi
potrafi wręczyć wygrany los
na loterii
w końcu
i tak zabije

może życie
zbyt cierpi samo w sobie
by mogło być dla nas
tylko dobre?

do końca
nie wiadomo

PODRÓŻ

w tej poczekalni, którą zwiemy życiem
wciąż siedzimy, bilet mnąc w kieszeni skrycie
i czekając, aż pociąg nadjedzie

który nas wyrwie z tej pułapki, z matni
i nieważne, że przed chwilą odjechał ostatni
wciąż żywimy tę samą nadzieję

bo za pięć sekund albo minut dwieście
pociąg ten kiedyś przyjedzie nareszcie
rozkład jazdy nas nigdy nie zwiedzie

i cóż z tego, że po takiej podróży
która bardziej cieszyć musi niż nużyć
gdy już w innym będziemy mieście

w jakiejś poczekalni usiądziemy znowu
i nie przyznamy się nigdy nikomu –
nie do tego pociągu wsiedliśmy pośpiesznie

NIE AŻ TAK

być cieniem
na ścianie jaskini
nie wiedzieć
co poza nią
wypali się ogień
i teatr cieni
zgorzeje w popiół
do końca, do cna

lub żyć
we śnie olbrzyma
który to wszystko śni
bo to jest jak sen
który się kończy
gdy on oczy otwiera
i znowu w ciężkie sny zapada
a nas w nich nie ma

a może
być elementem
pionkiem gry
komputerowej
zamieszkać w chmurze
zanurzyć się na zawsze
w cyfrowej mgłę

nie być naprawdę
nie kochać aż tak

TOAST

Jesteś motylem, który
na skrawku planety na chwilę przysiadł,
i chociaż drzenie obojga skrzydeł
świata nie wzruszy, nie wpisze się w pamięć,
ty wbrew ulotności i zimnym gwiazdom,
których spojrzenie do lotu nagli,
ten toast wznies o szarej godzinie
za wieczór spokojny
i za muzykę z oddali

Gdzie odfruniemy? I w którą stronę
lot przeznaczony jest nam odgórnie?
Kolory skrzydeł jak barwne witraże
światło wchłaniają, nie chcą być szare.
Ty wbrew nijakości i w pędzie donikąd,
który zgonione serce chce strawić,
ten toast wznies o szarej godzinie
za wieczór spokojny
i za muzykę z oddali

STWORZYŁEŚ MNIE

Stworzyłeś mnie
bym budowała
zamki na lodzie
zamki na szkle

i cóż, że powstały
budowle, które
wieżami nocą
gwiazd dotykały

choć były śliczne,
przecież wiedziałeś
mój dobry Boże
że runą wszystkie

KRES

dostałam już wszystko
 dostałam to
 co dostać miałam
 i nie dostałam
 czego otrzymać
 nie miał mój los

choć tak błagałam
 aby mi dano
 tylko to jedno
 za czym płakałam
 tego jednego
 nie dano mi

gdzie jest ta miara
 którą odmierzą
 którą odsypią
 co się należy
 i nic ponad to
 nic
 ponad nas

.....

Depresjo
 siostrze wszystkich smutków

nie przytulaj mnie tak mocno
 nie zabijaj swą miłością
 daj mi chwilę, daj mi uciec
 przecież wiesz, że zawsze wrócę

pozwól uśmiech wziąć mi z sobą
 i założyć suknię modrą
 zostań w domu, nie idź za mną
 sprzątnij myśli, które ranią

liść przyniosę ci srebrzysty
 tylko nie mów o mnie wszystkim
 nie wyciągaj do mnie ramion,
 odejść. zostaw mnie. na zawsze.
 samą

POŻEGNANIE Z PLANETĄ

żegnaj
 planeto Ziemi
 rzucona w czarne przestrzenie
 hojnymi rękami Boga
 kulo bilardowa
 rajski ptaku
 w błękitnej aureoli powietrza

w twoich ogrodach
 wydeptywałam ścieżki
 nie zawsze proste
 w szorstkich trawach
 kołam to, co boli
 echem z twoich dolin
 powracał do mnie to płacz
 to śmiech

karmiłaś mnie mlekiem i miodem
 i ssałam twoją żyzną pierś
 Ziemi

kiedy odejdę
 spoglądać będę ku tobie
 z czarnych otchłani Kosmosu
 niewidzącymi oczami
 i do ciebie wyciągać
 przezroczyście dłonie

żegnaj, kołysko, domie
 mój ziemski śnie

Zdzisław Opałko

Nieokiełzany wybryk

Organizm człowieka to dopiero wybryk natury!
kosmos i zaścianek dramat i kabaret
w jednym

Na przykład taka krew
nie wie za kogo jest przelewana w imię czego i po co
bez sensu kapie i kapie próbuje przekazać poza ciało
swoje życiodajne składniki
rozlewa się byle gdzie

Uszy nie nastawiają się na słuchanie wyłącznie słusznych treści
cytaty z ważnych pism świętych ksiąg obchodzą je tak samo
jak odgłosy puszczone bąków
słyszają wszystko co się nawinie

Oczy nie przyjmują do wiadomości
że tkwią już w ściętej głowie
szeroko otwarte lub półprzymknięte
beźmyślnie wpatrują się w jakiś punkt

Bitą dręczoną rozrywana skóra
nie potrafi się wyrzec tęsknoty za czułością
zawzięta i milcząca odnawia się i zabliznia
z nadzieją na lepsze jutro

Jądra nie mają zielonego pojęcia
że ich właściciel przyjął celibat
dalej złośliwie i podstępnie produkują spermę

Każda komórka ciała niestrudzenie robi swoje
kpi sobie z doktryn i dogmatów
nieustępliwie i bezczelnie praktykuje materializm

Drgania syki popiskiwanie i bulgoty
wciąż zakłócają subtelną muzykę duszy
duch choć pojawił się później – rozpada się pierwszy
serce cichnie ostatnie

Mimo powagi całej sytuacji
co rusz słysząc oddechy szepty śmiechy
nieustraszone wolne istnienie tańczy kankana
wśród gęstych chmur złudzeń i absurdów strach pomyśleć
co jeszcze wymyśli życie

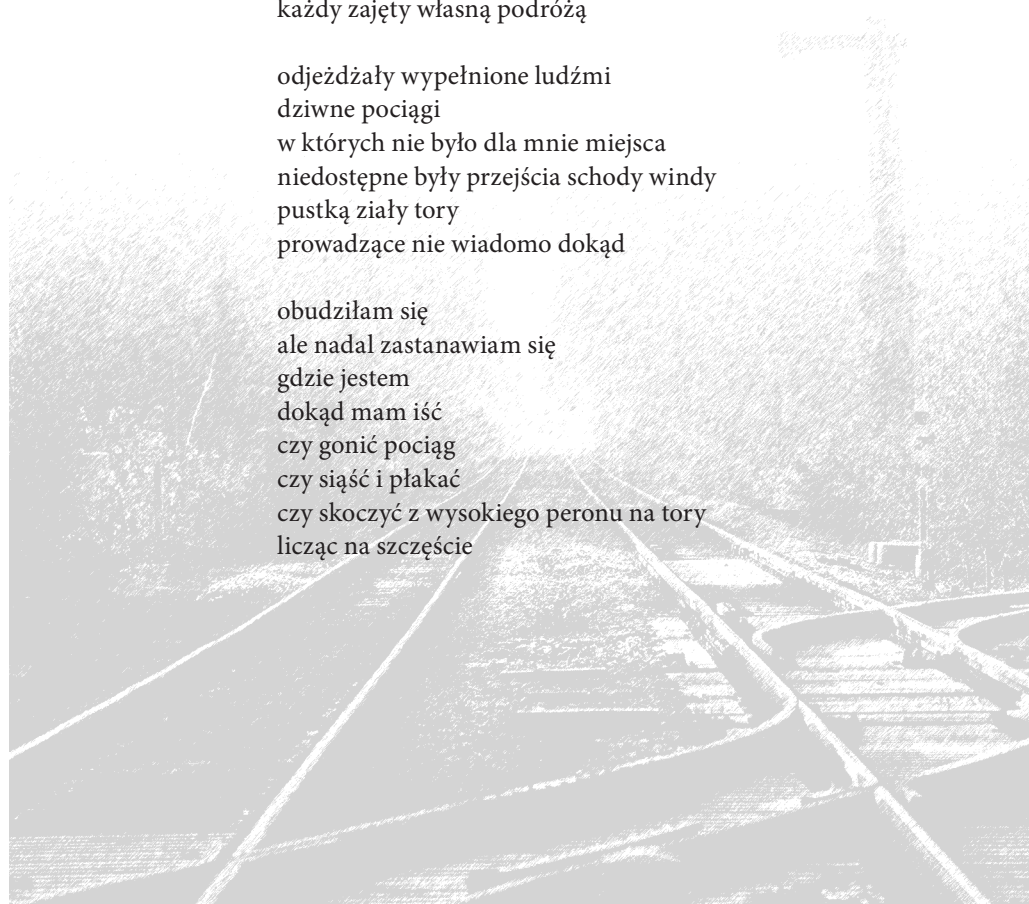
Barbara Strzelbicka**Śniłam**

śniło mi się już rano
że wysiadłam z pociągu na pośredniej stacji
postój miał trwać ponad dwie godziny
przyczyny nie pamiętam
nie była tragiczna

chciałam wykorzystać czas
nie wiem na co
zostałam bagaż to wiem
a potem
nie potrafiłam wrócić
wszystko się zmieniło
gdy byłam odwrócona
dworzec perony
i nikt nie mógł mi pomóc
każdy zajęty własną podróżą

odjeżdżały wypełnione ludźmi
dziwne pociągi
w których nie było dla mnie miejsca
niedostępne były przejścia schody windy
pustką ziały tory
prowadzące nie wiadomo dokąd

obudziłam się
ale nadal zastanawiam się
gdzie jestem
dokąd mam iść
czy gonić pociąg
czy sięść i płakać
czy skoczyć z wysokiego peronu na tory
licząc na szczęście





Aleksandra Jakubczak, „HA USE cz-n-z”, litografia na papierze, 57,1x77,2 cm, 2022



Aleksandra Jakubczak, „RA UNE r+-z”, litografia na papierze, 57,2x77,1 cm, 2022

Jakub Bartecki

ZWYKŁY PRZYPADEK

(Niektóre fragmenty przetłumaczono z języka śląskiego, gdyż mimo że społeczeństwo w całej metropolii śląsko-dąbrowskiej dość mocno się już wymieszało i polski słyszy się w większych miastach zdecydowanie częściej niż śląski, to wciąż istnieją miejsca, w których mówi się w odwrotnej kolejności, a nie ma nic gorszego dla tzw. pisarza zaangażowanego, niż gdy nieudolnie udaje język, który poznał zaledwie pobieżnie).

– ... rzeczywiście trochę mnie zaskoczyło, że ten pojazd zaczął się rozkładać wczoraj z samego rana. Wie pan, ja lubię robić zakupy zaraz po tym, jak wstanę... Nie, nie tylko w sobotę, codziennie jak wstanę, to idę na zakupy. Najświeższe produkty są zawsze tuż po otwarciu targu. Staram się być jedną z pierwszych, żeby mi sąsiedzi nie wykupili najlepszych kąsków... Tutaj nie ma wielkich mieszkań, wszyscy mają podobny metraż. To jedyny wieżowiec na Halembie, więc wszystkich się tutaj zna. Ja tutaj mieszkam z mężem od samego początku, bo on pracował jako ślusarz na kopalni, zresztą jak jego ojciec i dziadek... Tak, proszę pana, mogło być chwilę po siódmej lub ósmej, nie patrzyłam na zegarek. Tak jak już powiedziałam, zdziwiło mnie, że ci panowie zaczęli rozkładać swoją ciężarówkę tak wcześnie i to w sobotę. Podeszłam do nich, bo wie pan, tyle się mówi o tych naszych firmach i budowlańcach, że nie pracują i nic, tylko piją... Wiem, że to trochę nie po drodze, ale zauważyłam ich przez okno i pomyślałam, że zamiast czekać, aż ktoś mi powie coś więcej o tej ciężarówce, to sama zapytam. Tak, panowie byli bardzo sympatyczni... Byli w średnim wieku, jeden brunet i dwóch blondynów. Albo nie, dwóch brunetów i jeden blondyn. Tak, właśnie tak, dwóch brunetów i jeden rudy, to znaczy blondyn. Tak, blondyn... Ja wiem... Może trzydzieści, może czterdzieści lat. Teraz to już nie ma takiej różnicy. Kiedy ja miałam trzydzieści czy czterdzieści lat, to od razu można było to poznać po tym, jak człowiek wyglądał. Kiedyś czterdziestolatki wyglądały jak dzisiejsi sześćdziesięciolatki. Czasy się zmieniły... Oczywiście, zapytałam ich, czemu się tu rozkładają tak wcześnie w sobotę, bo to przecież nie jest normalne. Oni mi odpowiedzieli, że zamierzają tylko wymienić rynnę, że są z administracji, z budżetu remontowego i dostali w tygodniu zgłoszenie, że rynna jest dziurawa na wysokości piątego piętra, żeby się nimi aż tak bardzo nie przejmować, bo wymienią, co mają wymienić i już ich nie ma. A nie mieli czasu zrobić tego w tygodniu, bo od poniedziałku do piątku są wzywani do wielu innych, o wiele gorszych awarii. Poza tym jeden z nich mówił, tylko nie pamiętam który, chyba jeden z blondynów, to znaczy ten blondyn, bo było dwóch brunetów, mówił, że jest zatrudniony na etacie w jakiejś firmie budowlanej i on wypożycza spółdzielni tę ciężarówkę... Tak, i bardzo prosili, żeby nie przechodzić pod tym takim koszem, żeby zachować zasady bezpieczeństwa, bo mogłoby coś wypaść i spaść z tej wysokości... Ach tak? No to, widzi pan, nie wszystkich się jednak zna nawet w wieżowcu na Halembie... No chłop to chyba z kobietą mieszka, prawda? Z kim ma mieszkać? Widziałam tego pana raz czy dwa, nawet grzeczny, chociaż, prawdę mówiąc, nie wyglądał zachęcająco. Dlaczego? Ciężko mi powiedzieć. Miał w sobie coś takiego podejrzanego. Zbyt elegancko ubrany, taki niezbyt szczerzy się wydawał. Ten jego uśmiech równie dobrze mógł znaczyć coś innego... Oczywiście, ale to były tylko domysły i plotki, bo wie pan, w tak małej społeczności to plotki się bardzo szybko rozchodzą... A później? Później poszłam na targ, a jak wróciłam, to już ich nie było i muszę przyznać, że już dawno o nich wtedy zapomniałam, bo jedna sąsiadka z Międzybłokowej rozpowiadała wszystkim, że mąż od pani Nowok zmarł na zawał...

– ... byłam akurat z moim psem na spacerze... Tak, przechodziliśmy tędy. Maks jest tak regularny, że można by od jego porannej toalety ustawić zegarek. O której wyszliśmy? Przyznam się, że nie wiem dokładnie, między siódmą a ósmą... Nic szczególnie niepokojącego nie widziałam. Prawdę mówiąc nawet nie pamiętam, czy jak przechodziliśmy tędy, to stała tu jakaś ciężarówka. Zazwyczaj wstaję po piątej, jakoś tak naturalnie. Nie lubię długo spać. Wie pan, traktuję spacer z psem jako moment tylko dla mnie. I dla niego, oczywiście. On załatwia swoje potrzeby, jak to pies, a ja – medytuję... Nie, po prostu myślę o wszystkim i o niczym. Mam wtedy zupełną pustkę w głowie. Mogłabym wejść w tę ciężarówkę i jej nie zauważyć. Kiedyś wręcz wróciłam do domu bez psa i potem musieliśmy go szukać przez kilka dni, bo jakiś uprzejmy sąsiad zadzwonił na straż miejską, że groźny pies się błąka przy placu zabaw i go zamknęli w schronisku... Nie lubię tędy chodzić, bo nawet w sobotę rano tutaj jest bardzo ruchliwa ulica i hałas, przez co Maks jest przerażony, nie potrafi się skupić i często ma problemy... Dobrze, przepraszam... Tak, nie lubię, ale chodzimy tędy i tak, i tak, bo zazwyczaj idę z nim do lasu, tak że idziemy albo do świateł i tam przechodzimy na drugą stronę, albo tu przy Skargi przechodzimy na drugą stronę i idziemy w kierunku lasu. Tym razem szliśmy do świateł. Tak, chodnikiem pomiędzy moim wieżowcem a blokiem, ale naprawdę nie wiem, dlaczego tak... Teoretycznie powinnam ich była zauważyć, ale tak jak mówię, ja się nie znam na samochodach i zupełnie się na nich nie skupiam podczas spacerów... Tak samo jak nie wpatruję się w ludzi wymieniających reklamy na billboardach, proszę pana. Po prostu wyszłam z psem na spacer i poszliśmy do lasu...

– ... nie widziałem, bo, proszę pana, ja w ogóle nic nie widzę. Naprawdę! Słucham? No jak to? Normalnie. Żyję tu już tyle lat, że chodzę wszędzie na pamięć... Oczywiście. Nie jestem. Wydaje się panu, że jak już ktoś nie widzi, to znaczy, że niczego nie jest w stanie zauważyć? Nie widzę, ale mam doskonały słuch. Proszę pana! Ja słyszę nawet ciche rozmowy prowadzone na drugim końcu miasta! Mam wrażenie, że wszyscy szepcą mi do ucha swoje tajemnice, a ja... Ja ich wcale nie chcę słyszeć! Wyobraża pan to sobie? Ciągłe ktoś do pana mówi... Oszaleć można? To mało powiedziane. Na szczęście jestem dość odporny psychicznie, bo inaczej już dawno bym zwariował. Nawet pan sobie nie wyobraża, jakie świństwa można od ludzi usłyszeć. Szczerze mówiąc, wolałbym już nie słyszeć, a raczej widzieć. Czy słyszałem? P r o s z ę pana! Możliwe, że słyszałem nawet rozmowy tych złodziei, ale na samej Halembie mieszka ze dwadzieścia tysięcy ludzi, z czego przynajmniej jedna trzecia mówi w tym samym momencie... Utrudnianie śledztwa? Myśli pan, że jest mi do śmiechu z tym wszystkim? Ja sobie nie stroję żartów... Rozumiem. Oczywiście. Tak. Tak. Naprawdę? Proszę sobie wyobrazić, że co prawda nie jestem w stanie podać dokładnego rysopisu, to mogę panu powiedzieć, że rzeczywiście teraz coś mi zaczęło świtać. Oglądałem telewizję, jakiś program chyba o upadku III Rzeszy, bo oprócz tych programów z filmami dokumentalnymi to już zupełnie nic w tym telewizorze nie ma, same bzdury, a tak... Jak to jak? Włączyłem telewizor i oglądałem. Proszę pana, z całym szacunkiem, ale widzę, że to pana przerasta... Tak, więc rzeczywiście jakiś hałas zaczął mi przeszkadzać w słuchaniu o Hitlerze i przyciszyłem nawet telewizor, żeby się przysłuchać tym hałasom i usłyszałem rozmowę dwóch mężczyzn, którzy, tak myślę, w jakimś dźwigu wznosili się do góry i wspólnie liczyli piętra. Tak jakby żaden z nich nie był pewien, czy dobrze liczy. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, to chyba tutaj. Tak! Zatrzymali się na piątym, na pewno. Skąd wiem? Przecież panu mówię, że słyszałem! Wiem, że to cztery piętra nade mną, ale co z tego? Proszę pana, przecież nie musi mi pan wierzyć, mnie na tym w ogóle nie zależy... Co jeszcze? Chyba byli w wielkim pośpiechu, bo cały czas się poganiali, przeklinali do siebie. Tak. Niedługo, może z dziesięć minut, powiem szczerze, że nie patrzyłem na zegarek. Zresztą kiedy doszedłem

do wniosku, po ich rozmowie, że to nie potrwa zbyt długo, wróciłem do oglądania programu o upadku III Rzeszy, a później to już...

– ... że co? Nie rozmawiam z psa... to znaczy z policją. Nie... Nie. Nie. Nie, nic nie widziałem. Nie, nie znam. Nie wiem, gdzie to jest. Nie było mnie tutaj. Nie, nie mieszkam tu... Moje dane? Przecież nic nie robiłem... Nic nie zrobiłem! Dlaczego? Nic nie zrobiłem! K...! Przestań! K..., dobra! Dobra, k...! Już! Mówię, k...! Mieszkam tutaj. Tak, w tym wieżowcu. Na drugim piętrze, mieszkanie numer dwadzieścia dwa. Mówiłem już, że nic nie widziałem. K...! Przestań! Mamy, k..., okna na 1. Maja. I co z tego? Nic nie słyszałem... Nie znam żadnych sąsiadów. Tak, od urodzenia. Nie łączę ludziom po domach, to nie znam. Jacy koledzy? Moi koledzy też mi nic nie mówili. Nawet jakby mi powiedzieli, to bym nie powiedział, bo nie jestem konfidentem... Nie garowałem. Nie. Nie chcę. Jestem normalnym, dobrym chłopakiem. Czy to wszystko? No, pytam, czy jeszcze macie jakieś pytania. Wiem, k...! Ja też mam taką nadzieję...

– ... to znaczy, szczerze powiedziawszy, to wiedzą panowie, piątek wieczorem, po całym tygodniu, no, co tu dużo gadać... Trochę żeśmy ze szwagrem powalczyli, więc cała sobota była, że tak powiem, ciężka. Czy często? Nie, no w tygodniu w ogóle, może jakieś piwko czy dwa do meczu, ale tak to tylko w weekendy. Nie zawsze. Szwagier z żoną mieszkają na Energetyków. Naprawdę nad nami? To znaczy przeważnie znamy wszystkich sąsiadów, bo to nasze mieszkanie to jest po moich teściach, żona dostała w posagu, bo się pobudowali w Paniówkach, ale od czasu do czasu a to ktoś umrze, na Halembie mieszka bardzo dużo starszych osób, właściwie dużo się też stąd wyprowadza do mniejszych miast, budują się, to te mieszkania u nas co chwilę są na sprzedaż i właściwie to się niektórych sąsiadów nie zna... To znaczy żona ze szwagierką trochę też tam kurek odkręciły... W sobotę nie wyłaziliśmy w ogóle z domu, ja zawsze jestem przygotowany, że tak powiem, na leczenie. Rowery? A to trzeba było tak od razu, bo ja nie za bardzo rozumiem, o co właściwie chodzi... To znaczy, no wiedzą panowie, wczoraj, to się tak mówi, ale nawet na kaca jak się wypije dwa czteropaki piwa i szklaneczkę johnny walkera, to ja nie mówię, bo mnie to aż tak nie bierze, ale żona... No tak, teraz coś sobie przypominam, wie pan, bo nawet zastanawiało nas, co też taki hałas za oknem, ale żona mówiła, że nic nie widzi, że wygląda to jakby drabina strażacka, jakby kogoś tam ratowali. No ale panowie, jakby to byli strażacy, to przecież słyhać by było syreny, a syren na pewno nie słyszałem przez cały dzień, to na pewno. Zresztą moja czasami gada takie bzdury, a już najczęściej, jak jest cyknięta... Ten sąsiad to taki dziwny gość, taki ni to miły, ni to jakiś dziwak, nawet ktoś tam żonie powiedział, żeby na tego gościa uważać... Ja tam nie wiem, na dzień dobry odpowiada. Może komuś naprawdę zaszedł za skórę? Nie, nie, nic dziwnego chyba nie słyszeliśmy. Trudno powiedzieć. To znaczy każdego szkoda, ale rzadko kiedy to dotyczy przypadkowych ludzi, więc może jednak? Ale też trudno uwierzyć w zwykły przypadek...

– ... oczywiście, że słyszałam i widziałam, proszę pana. Chyba nikt normalny nie lubi, jak w sobotę jacyś idioci rozpoczynają głośne remonty i nie dają człowiekowi odpocząć po ciężkim tygodniu. Proszę pana, każdy ma prawo, naturalnie, ale ja również mam prawo krytykować to, co mi się nie podoba. Ja, proszę pana, nigdy nie robię remontów w weekendy, bo sama bym nie chciała, żeby ktoś je wtedy robił. Nie robię też głośnych imprez ani w piątek, ani w sobotę, imprez, które wielokrotnie już zgłaszałam pana kolegom i z którymi dziwnym sposobem nie potraficie nic zrobić... Nie skaczę, nie gram w piłkę w domu, nie mam dzieci, proszę pana, zachowuję się jak normalny człowiek, choć w tym świecie może się to wydawać właśnie nie-normalne. To się nazywa imperatyw kategoriyczny – nie rób drugiemu, co tobie niemiłe. Kto?

To pan nie wie? Proszę się nie ośmieszać. Uczą się tego dzieci w podstawówce. Tak? A tak się składa, że wiem, bo jestem bibliotekarką w szkole... Proszę pana, jak tylko usłyszałam ten rumor, to od razu doskoczyłam do okna, żeby się zorientować w sytuacji. Było może z kwadrans po siódmej. Zazwyczaj budzi mnie w soboty coś innego, ale daję sąsiadom znać, stukając w kaloryfer, że zachowują się zbyt głośno, ale to nie zawsze przynosi efekty... Zauważyłam ciężarówkę z koszem, a w środku kosza dwóch mężczyzn ubranych w robocze ciuchy. Nie pytałam, gdzie jadą, proszę pana... Otworzyłam okno i zobaczyłam, że są już prawie nad moim trzecim piętrem. Zapytałam, czy nie mieli czasu w tygodniu, żeby zająć się tym, czym się zamierzają zajmować. Odburknęli mi coś niekulturalnego, wyobraża pan to sobie? Nazwałam ich parszywymi nierobami, którzy zakłócają normalnym ludziom dzień wolny od pracy. Tak! Zatrzymali się i zagrozili, że zamiast wymieniać rynnę, mogą zaraz się zająć moimi problemami. Ten mniejszy, bardziej chamski, zapytał też, czy próbowałam kiedyś zeskoczyć na dół... Bez liny! Co za bezczelność! Nie przywykłam do takich rozmów. Obaj ci hultaje mogli mieć ze dwadzieścia, trzydzieści lat. Już po gębach było widać, że to patologiczny element... Tak się zagotowałam, proszę pana, że nawet mojej kotce się nieco oberwało... Nie wiem, ile to wszystko trwało, ale niemal od razu zadzwoniłam ze skargą na spółdzielnię na pogotowie całodobowe, gdzie z kolei jakiś znudzony panicz kazał mi się uspokoić i pozwolić pracować specjalistom. A kiedy powiedziałam mu, że mogliby chociaż ostrzeżać, że tego a tego dnia odbędzie się jakiś remont, to ten bezczelny typ wrzasnął na mnie, że nie życzy sobie ze mną rozmawiać i że bym mu nie zwracała z rana głowy remontami, których nikt nie zaplanował...

– ... wczoraj miałem poranną zmianę, więc w tych godzinach byłem na postoju przy osiedlu awaryjnym, przy kościele. Albo byłem tam, albo robiłem kurs – o której to było? Miałem jakiś kurs rano, ale na dwójkę nie jechałem ani razu. Dopiero jak wracałem do domu... Znam, nawet kilka razy go wiozłem na dworzec do Katowic, bo on ciągle gdzieś jeździ w interesach. Nawet teraz, ostatnio, ze dwa dni temu też go wiozłem. Też na dworzec. Nie, zawsze był sam. Tego to już niestety nie wiem, aż tyle mi nigdy nie powiedział. Raczej mówił ogólnie, że prowadzi jakąś tam firmę, że ktoś tam go oszukał, że często musi jeździć po całej Polsce, bo tak to już jest w tym kraju, że jak się samemu nie dopilnuje, to nikt ci interesu nie dopilnuje. Najwięcej jednak mówił o tych swoich rowerach, że tylko to go relaksuje, że jeżdżą tak często, jak mogą, w góry, żeby się zresetować wśród natury. Z kim? Nie wiem, tego nie mówił, a ja nie pytałem. Czasami ktoś mi mówił, że jest tam jakaś kobieta w domu, ale ja jej nigdy nie widziałem. A tak, jak już mówiłem, jeśli go wiozłem na dworzec, to zawsze samego. On sam nigdy o żadnej kobiecie mi nie mówił. A ja nie pytałem... Ludzie mówią, że taksówkarze to plotkary i wszystko zawsze wiedzą, a ludzie im się podczas kursów spowiadają z większych tajemnic niż księdzom, ale to tak nie wygląda. Proszę popytać na targu, tam jest dopiero przepływ informacji... No tak, mógłbym się w sumie nad tym zastanowić, dlaczego nie jeździł nigdzie autem, bo przecież z tymi rowerami nigdy go nie zabierałem na dworzec, ale to jest też tak, że to jest mój zysk, więc nie interesuje mnie to, czy ktoś chce pochłać, czy poruchać, czy ktoś ma tajemnice, czy nie ma, czy ktoś jest nafukany czy czysty, dla mnie liczy się tylko to, że za dłuższy kurs więcej zarabiam i tyle. Bo co mnie to obchodzi? Ci ludzie to moi klienci... Tego nie powiedziałem, nigdy nie wyglądał na porobionego. Ale też nie pytałem...

– ... normalny facet, skromny, cichy, po prostu normalny. Mieszkamy przecież bezpośrednio pod nimi i nigdy nie słyszałam zza ściany awantur, nie wiem, głośnej muzyki, wrzasków czy innych hałasów. Po prostu normalni sąsiedzi. Tak, widziałam go kiedyś na klatce z kobietą, więc pomyślałam... Rzadko kiedy bywał w domu, bo odkąd tu zamieszkali ze dwa lata temu, to widziałam go może kilka razy; ją widziałam tylko ten jeden raz. Ale zawsze był grzeczny,

kulturalny, dobrze ubrany. Inni sąsiedzi mogliby się od niego uczyć kultury. Szczególnie ta cholerna baba pod nami, która wali po kaloryferach, jak usłyszy choć jedno głośniejsze wypowiedziane słowo. No proszę mi powiedzieć, mamy dwójkę małych dzieci i co ja mogę poradzić, że one biegają po domu? Mamy je zamknąć w klatkach, byleby tylko tej babie nie przeszkadzać? Co mnie to interesuje? Niech się ta kobieta zajmie swoimi sprawami. Nie ma się co dziwić, że to stara panna... Trzy i cztery lata. Wie pan, tutaj bardzo się niesie już od samej ulicy, ale odkąd się pojawiły dzieciaki, to myśmy już kompletnie przestali cokolwiek słyszeć z dworu. Może i byli, może ich nie było. Wie pan, mamy z mężem taką sobotnią rutynę, że mąż gotuje obiad, a ja w tym czasie sprzątam cały dom, a dzieciaki nam pomagają. Więc jeśli to trwało tylko kilkanaście minut, to mogliśmy tego nawet nie zauważyć. Chociaż może mąż mi coś mówił, ale to już proszę jego zapytać. Ja nic nie słyszałam... Po siódmej? A to odpada, dzieciaki dały nam pospać wczoraj trochę dłużej... Naprawdę? Co za tragedia... Bardzo mi przykro z tego powodu. Co za tragedia. Tuż pod naszym nosem. Biedni ludzie... Taki fajny facet...

– ... w dniu wczorajszym otrzymaliśmy zgłoszenie dotyczące kradzieży w jednym z mieszkań wieżowca przy ulicy 1. Maja. Zgłoszona kradzież dotyczyła dwóch rowerów o wartości przekraczającej dwadzieścia tysięcy złotych i została dokonana podczas nieobecności właściciela rowerów w mieszkaniu. Od razu też wysłaliśmy pod wskazany adres patrol policji, który miał za zadanie zabezpieczyć miejsce kradzieży i przesłuchać poszkodowanych. Jak się okazało na miejscu, sprawa była zdecydowanie bardziej skomplikowana niż mogłoby się wydawać, gdyż skradzione rowery pozostawione były przez właściciela na balkonie jego mieszkania, a mieszkanie znajduje się na piątym piętrze wieżowca, więc ich kradzież od zewnątrz w pierwszej chwili została wykluczona. Natomiast w toku śledztwa, szczególnie po przesłuchaniu poszkodowanego, moi koledzy nabrali pewności, że złodzieje nie ukradli też rowerów wchodząc do mieszkania w klasyczny sposób, czyli poprzez drzwi... Nasi funkcjonariusze zdołali, w miarę możliwości, przesłuchać sąsiadów i innych potencjalnych świadków kradzieży i ku ich zdumieniu okazało się, że złodzieje musieli doskonale wiedzieć, że w tym konkretnym mieszkaniu znajdują się dwa tak wartościowe rowery, czego dowiedzieć się musieli albo od bezpośredniego informatora, czyli na przykład sąsiada lub jakiegokolwiek innego podejrzanego mieszkańca osiedla, lub zdobyli tę informację „skanując” wszystkie balkony przy użyciu drona. Następnie, idąc dalej tym tropem, funkcjonariusze ustalili, że wczoraj w godzinach porannych trzech mężczyzn w średnim wieku rozłożyło tuż przy elewacji wieżowca samochód ciężarowy wyposażony w podnośnik koszowy i podając się za pracowników wynajętych przez spółdzielnię mieszkaniową, pozorowali naprawę rynny właśnie na wysokości piątego piętra tuż przy balkonie, gdzie poszkodowany przetrzymywał swoje rowery. Możemy zatem przypuszczać, że pozorując pracę na wysokości, odgradzając się przepisowo od chodnika i ulicy, nie budząc niczyich podejrzeń, owi mężczyźni przełożyli rowery z balkonu do pomostu roboczego, czyli potocznie mówiąc – do kosza, po czym opuścili podnośnik i bez pośpiechu odjechali ze skradzionym łupem... Powyższe ustalenia doprowadziły do powołania, nazwijmy to w cudzysłowie, „małego sztabu kryzysowego” w Komisariacie V Policji w Rudzie Śląskiej, gdzie nasi śledczy ustalili we współpracy z kolegami z Komendy Wojewódzkiej Policji w Katowicach, że za tą zuchwałą kradzieżą, bo przecież wieżowiec przy ulicy 1. Maja jest zaledwie dwa budynki obok komisariatu..., że za tą zuchwałą kradzieżą stoi grupa złodziei grasująca ostatnio na terenie województwa śląskiego, która specjalizuje się w spektakularnych napadach, kradzieżach i wyłudzeniach. Grupa ta jest prawdopodobnie odpowiedzialna za szereg innych, niezwykle „intratnych” akcji na terenie całego naszego województwa... W tym momencie prowadzone są dalsze czynności wyjaśniające...

Janusz Jano Mielczarek

OCALONA

WITKOWIE NIE DOSTALI JESZCZE DREWNA z tartaku we Mstowie, więc ojciec nie miał u nich zamówionej roboty. Energicznym krokiem mierzył drogę między furtką a stodołą i myślał o swoim śnie. Dla Pawła, syna, nie był zbyt rozmowny, ale on wołał go takiego, bo też nie lubił pleść po próżnicy. Jeszcze raz powtórzył mu, co najważniejsze i poszedł szykować się do szkoły.

Adam zabrał przygotowane przez żonę kanapki na drogę, pożegnał się i ruszył ku miastu. Kwietniowy dzień cieszył ciepłem, a on co jakiś czas zatrzymywał się na ścieżce poprzecinanej kałużami i myślał o czekającej go drodze. Doszedł do plebanii kościoła św. Zygmunta i zatrzymał się przy bramie.

– Adamie, dokąd to? – usłyszał donośny głos proboszcza. – Ty nie w pracy? – Ksiądz układał pod szopą drwa rąbane przez dwóch parobków.

– Ano, z tartaku belek nie dowieźli na budowę.

– Pamiętasz, że w kościele robota czeka? – zapytał.

– Parafia, to parafia – odpowiedział.

– No dobrze, to na co ci to lenistwo idzie?

– Kto mówi o lenistwie? Po poradę przychodzę.

– Poradę, mówisz...

Gość sięgnął po gałązkę głogu przy murze, ułamał ją i zaczął powoli żuć.

– Sen miałem.

– A to żadna sensacja – zamruczał proboszcz.

– Budowałem kościół.

– O, to co innego.

– Duży kościół, ogromny... piętro nad piętem... wysoki... bardzo wysoki...

– Ale po co nam drugi kościół, jak już jeden mamy?

– A gdybym chciał mieć swój?

– Co? Ty, przykładny parafianin, w heretyka się zmieniasz, schizmę mi urządzasz?

– Nie aż tak, ale trochę – uśmiechnął się.

– Po tym śnie to pomyślałem sobie, żeby w domu taką kapliczkę wydzielić pod dachem. Może dziecko czasem z pacierzem by do niej poszło, a i sam człowiek też w potrzebie poczułby się bliżej Boga... Często tego potrzeba. Sąsiad albo podróżny by przyklęknął...

– No to w czym rzecz?

– Pod klasztor się udaję, bo tam najwięcej różnych malarzów, ale i chciałbym trafić do najlepszego, żeby obrazek z mojej kapliczki należał do najpiękniejszych.

– I co ci przeszkadza?

– Ksiądz niby bliżej świętych, to i w doradzie śmiglejszy. Podobno u jednego Żyda przy kościele św. Barbary piękne malunki robi kaleki Dawidek... ale waham się...

– To będzie twoja świątynka – ksiądz pochylił się w stronę gościa – tobie się przyśniła i tobie ma służyć i nic z mojej porady się nie urodzi. – Przymrużył oczy i spojrzał w stronę dzwonnicy. – Powiem ci tylko jedno – zamyślił się – że im coś piękniejsze, tym więcej w tym Boga.

I milczący wciąż cieśla Adam od Złotej Góry, bo takie nazywanie przyłgnęło do niego, nacisnął na czoło kapelusza i poszedł w stronę furmanek odwożących ludzi ku Klasztorowi.

Po drodze przyglądał się nowo wybudowanym domom, które stawiano już murowane, a zdarzały się nawet otynkowane piętrowki.

Gdy furmanka skręciła pod wzgórze, cieśla z woźnicą zeszli z niej, żeby ulżyć koniowi, ale nic to nie obchodziło trzech zagadanych kobiet w zapaskach.

Od człowieka rysującego „na poczekaniu” portrety pielgrzymów z klasztorem w tle, Maryją albo z czym się tylko chciało, dowiedział się cieśla, gdzie najszybkim malują obrazki Jasno-górskiej Pani i tam też się udał. Wyboista przecinka wykładana białym kamieniem prowadziła w dół. Wkrótce dojrzał mury chroniące dostojność kościoła św. Barbary z bogato kutym wejściem. Wcześniej po prawej na pagórku przełamywała się łagodnie ścieżka schodząca do pracowni malarskich. W jego stronę wyszedł z bramy przygarbiony człowiek o lasce i z rudawym zarostem.

– Cóż za honor mnie spotyka, że mogę powitać w moich progach szanownego pana!

– Z artystyczną potrzebą przybywam.

– To piękny cel – powiedział ten o lasce. – Ot tak sobie, nie ksiądz, nie zakonnik ani inny namaszczony, bo z nich głównie wywodzi się moja klientela, ale po prostu człowiek, który ma potrzebę obcowania ze świętością. Aj... jaj... jaj, tyle piękności... tyle malowania.

– Człowiek ja prosty, ale uparty, cieślą jestem i sen miałem.

– Ale już go nie ma?

– Widać, żeś pan nie znał wcześniej człowieka mego zawodu. Może u pana po ważnym śnie garść wiatru hula, ale głowa cieśli, który stawia domy dla ludzi do życia w czasie burz i zawię, pełna jest myśli mocarnych jak dęby i szlachetnych jak klocki lipowe, w których Wit Stwosz wyrzeźbił ołtarz mariacki.

– Jak pan myślisz, dlaczego zwyczajny człowiek śni o budowie kościoła, a nie na przykład karczmy? – zapytał Żyd. – Takie sny mają królowie, duchowni i inni wielcy, ale mieszkać obok Złotej Góry to jeszcze mało – zaplótł dłonie i miesił w nich tę ptasią garstkę powietrza. – Bo, widzisz pan, pan masz ideę, co płynie spod serca i z którą trzeba się urodzić, a w niej jest wielka siła. I stąd moje dla pana uszanowanie. Ale posłuchaj pan Żyda, który może idei nie posiada, ale ma oko na sztukę. Trafił tu do mnie malarz tęgi w pędzlu, z Krakowa, którego rękę po obrazie prowadzi nie byle kto, nie piekarz ani maszynista parowozowy, ale Anioł. Przyszła z nim kobieta jeszcze młoda i mądrej urody, postawna, w której oczach widzisz pan wszystko, co wymyślił syn Boży. Ona to miała ze sobą pakunek z obrazkami, po spojrzeniu na które moim oczom zrobiło się mokro z poruszenia. I tak się narobiło, że oni to przyjeżdżają do mnie co jakiś czas, popracują, pójdą się pomodlić, zarobią grosz, dwa i znowu wracają do siebie, na wieś, gdzie czują się najlepiej.

Żyd poczuł się zmęczony, obszedł leżącą przy ścieżce ociosaną kłodę, usiadł na niej i ciągnął dalej.

– Spotkali się na pielgrzymce. W potrzebie. On, że coraz bardziej wzrok go opuszczał, choć lata ma jeszcze rześkie, a lekarzowie bezradni byli na tę jego chorobę, a ona, że matka ją odumarła i o łaskawość na tym lepszym świecie prosić dla niej przyszła. Przybyli osobno, ale tutaj, na tym wzgórzu, jakich na lekarstwo poszukiwać, zatrzasnęły się ich magnesy życia i miłości, tak że postanowili pozostać już razem w domu po mamie, w pobliżu wsi Mokrzesz¹, która to leży nieopodal miejscowości klasztornej Święta Anna, by w każdej biedzie i radości się wspierać. Stamtąd też odwiedzili moją firmę. Wiesz pan, ten malarz to może nie jest Matejko,

1 Na cenione przez kolekcjonerów obrazy tego malarza natrafiano jeszcze w latach 60. XX w. Autorowi pokazał taki niewielkiego formatu olejny pejzaż ze stogami siana na mokradłach znany malarz i grafik Wojciech Barylski po niedzielnym wyjeździe na wieś z kolekcjonerem panem B. A działo się to w „centrum towarzyskim” ówczesnej Częstochowy, w Kawiarni PTTK.

ale to jest artysta z klasą. A gdy malował tę Madonnę, którą mam honor trzymać teraz przed panem, to szczęście jego było nie do pojęcia; najpierw, że choroba zapomniała o jego oczach, a potem, że był ogarnięty miłością do nadzwyczajnej kobiety. No to powiedz mi pan – zwrócił się do przybyłego – czy może być dla mężczyzny coś ważniejszego na ziemi?

– Nie może – cieśla opuścił głowę.

– I taki rozszczęśliwiony obrazek dostajesz pan do swojego kościółka. A ja nie żądam za niego złamany szeląg. Ja tylko się upraszam o pomodlenie za mnie i moich bliskich od czasu do czasu do twojego Boga. On się za to nie pogniewa, mój też by tak zrobił. Bo słowo od człowieka, który śni o kościele, to nie jest takie byle trzepanie językiem o poręcz na moście, to są słowa oprawione w złoto niebios – zakończył Żyd.

Cieśla Adam odwrócił się do wyjścia, ale odsunął jeszcze raz z Maryjnego oblicza lnianą szmatkę, jakby nie wierzył w swoje szczęście i powiedział:

– Nie mogę przyjąć do wiary, że zaniosę do mojego domu to malowane prawie anielską ręką oblicze, które go ukwieci i przyozdobi.

– To jest wciąż dalszy ciąg twojego snu, Adamie – powiedział Żyd, westchnął ciężko, sięgnął do surduta po kraciatą chustkę i zakrył nią twarz, a cieśla, przytulając obrazek do piersi, ruszył w drogę powrotną do domu. Jeszcze nie dowierzał. Od dawna mówili mu, że jest szczęściarzem w czepku urodzonym, ale teraz dopiero, gdy przez swoją ciesielską rękę wiele dowiedział się o mowie drzew, zrozumiał ich skargi i cierpienia, to przytulając do piersi ów obrazek zrozumiał, że tak jest naprawdę. Palcami zgrubiałymi od styliska ciesielskiego topora próbował wyczuwać najdrobniejsze szczegóły Jej szaty.

Za klasztornym wzgórzem słońce szukało miejsca do wieczornego spoczynku. Zatrzymał się na chwilę, był już blisko ratusza. Raptownie złapał kilka oddechów, bo w pobliżu zapachniało świeżo pieczonym chlebem.

Teraz dopiero od strony cerkwi dojrzał czekających na niego syna z żoną. Pochylił się ku nim, podał wizerunek Maryi, a oni po kolei witali go chlebem, który ona dwie godziny wcześniej upiekła w sabatniku.

Niosąc przed sobą odkrytą twarz świętości, doszli do kościoła św. Zygmunta. Proboszcz czekał na nich przy drzwiach prawej nawy, uśmiechnięty wyciągnął ku nim swoje dłonie drwala, ale zaraz się cofnął, spojrział w stronę klasztoru okrywanego ostatnimi promieniami zachodu, a potem długo, w milczeniu, sycił się urodą oblicza trzymanego w dłoniach obrazu. Gdy przyszło ocknięcie, zapytał tylko:

– Kiedy święcimy?

– Na Zielną – odpowiedział cieśla bez zastanowienia.

Ledwie świt rozkleił swoje majowe oko, a cieśla Adam wybierał w stolarni najszlachetniejsze szczebelki na mieszkanie dla Niej.

Wciąż brzmiały mu w uszach wczorajsze słowa proboszcza: im coś piękniejsze, tym więcej w nim Boga. I te drugie, Żyda, że rękę malarza po obrazie prowadził Anioł. Miał go teraz ze sobą i cokolwiek robił, porównywał z nim, bo chciał dorównać tamtym. To Jej mieszkanie budował z najwyższym kunsztem ciesielskiej sztuki, gdy dopasowane precyzyjnie części zaciśkają się niewidzialnymi dłońmi, bez jednego gwoźdźca ani innej obcości żelaznej.

Po paru godzinach spojrział na swoje dzieło z zewnątrz. Pomyślał, że domyka powoli swój wczorajszy sen i poszedł ku rzece, która burzyła się zapachem wiosny. Brodem od strony Jaskrowa popędził patrol kozaków.

Gdy wrócił, ktoś pod domem zapalił świeczkę, potem drugą. W kuchni natoczył do cynowego kubka maślanki i upił kilka łyków. Zza okna doszedł go śpiew: „Chwalcie łąki umajone... góry doliny zielone... chwalcie cieniste gaiki...”

Potem, gdy ludzie rozchodzili się do domów, ktoś zapytał:

– Jutro znowu pod domem cieśli?

I w ten sposób Dom Cieśli, a właściwie sprowadzona tu przez niego Madonna, stali się na wiele lat nieodłączną częścią okolicy. Przychodzili do Niej, by roztaczała nad nimi ochronę i prowadziła za rękę po nadwarciańskich łąkach, z dziękczynieniem i nadzieją. Na przelotną chwilę i dłuższe czuwanie.

Ale przez świat przechodziły wojny duże i mniejsze, odchodzili ludzie i kruszyły się domy. Nadwarciańskie Zawodzie to nie było wymarzone miejsce na ziemi, a Dom Cieśli, choć przy innych zabudowaniach wydawał się niezniszczalny, nie był poza czasem i też zapłakał podartą franką.

Z gruzowiska wydobył obrazek Maryś, który przed laty grał w piłkę w juniorach drugoligowej wówczas Victorii i jako dziecko przychodził do pana Adama strugać świątki. Gdy po nieprzytomnego przyjechało pogotowie, przytulał w wychudłych dłoniach Madonnę. Z noszy zdjął ją kierowca ambulansu i oparł o kontener z gruzem. Tam dojrzał go muzyk, który nie śnił o budowie kościoła jak Cieśla Adam, ale o zagranju na organach Katedry Duomo w Mediolanie. Poszedł po niego i ofiarował mu paroletni azyl w domku na zawodziańskiej działce.

O Madonnie uratowanej spod śmietnika usłyszał człowiek, który już kilka razy wzywany był na ważne rozmowy, ale wciąż jeszcze dostępował „łaski wyjątku”. On też wspominał matkę, która w końcu września 1939 roku po szczęśliwym powrocie z wojennej ucieczki przed Niemcami, rozpakowując walizkę z bagażami uniosła leżący na wierzchu gipsowy obrazek Madonny Częstochowskiej, przyjrzała mu się z czułością, przytuliła do czoła i powiedziała:

– Dzięki Niej wróciliśmy cali i zdrowi do domu, a tato uciekł Sowietom z niewoli.

Dla trzylatka po pierwszych przejściach wojennych to najważniejsza wiedza na całe życie. I dlatego, gdy osiemdziesiąt pięć lat później dowiedział się, że w ogrodowym domku na zawodziańskiej działce kolegi od kilku lat przebywa obrazek Madonny uratowanej spod śmietnika, bez wahania powiedział mu:

– Chciałbym ją mieć u siebie.

A gdy już Jej wizerunek zagościł w wynajmowanym przez niego klaustrofobicznie ciasnym mieszkaniu, usiadł z Nią pod najjaśniejszą lampą, wypięknął na ile tylko pozwalała mu na to niegdysiejsza wiedza malarska i, oboje szczęśliwi, raczyli się w milczeniu spojrznięciami do czwartej nad ranem.

A dwa dni później, w ostatni piątek stycznia 2024 roku, w bloku pod dziewiątką duszpasterką wizytę składał ksiądz Daniel, ale nowy opiekun Madonny nie był zainteresowany takimi wizytami od czasu, gdy dawno temu jeden z ludzi w sutannach, który zobaczył w domu jego rodziców malowane wówczas przez nastolatka abstrakcyjne malowidła, powiedział mu, że maluje „portrety diabłów”. Zapytany więc dzisiaj przez ministranta, czy przyjmie księdza, pokazał na swoje bose nogi i nieprzygotowane do tego kąty. Idący tuż za ministrantem roześmiany ksiądz z daleka zachwycił się Madonną, a gospodarz, wciąż niekompletnie odziany, pokazał mu rewers obrazu ze złożoną wczoraj sygnaturą:

Proszę o Twoją przyjaźń...

IX 1939 r., 27 XII 2023 r.

Janusz

I wtedy kapłan zapytał gospodarza, czy może w modlitwie do Madonny, uratowanej spod śmietnika, prosić o PRZYJAŹŃ dla wszystkich nas tu obecnych. I uczynił tak, wnosząc między blokowe ściany szum lasu, niepokój morza i nadzieję ludzkiego trwania.

I taka właśnie – bez świec, symboli i odprasowania była ta nie do opisania chwila wspólnej modlitwy, która mocą miała w sobie coś z podniosłości Pierwszej Komunii, a może nawet Chrztu?

Madonna Ocalona

Lunatykujemy
 Po zielonym kurzu
 Zapomnianych strychów
 Cerujemy nasze dusze
 Jak nie do pary skarpetki
 Wołając co rano:
 Boże, jak blisko,
 Jak blisko do Mekki!
 A Ona patrzy na nas
 Z matczyną garstką czułości
 I szeptem nuci
 Na Bacha strunie
 Ten nocny song o samotności, której
 – jak dziecko –
 nauczyć się nie umiesz

6 LUTEGO – 7 MARCA 2024 R.

Postscriptum

Januszu, wzruszyłeś mnie tym opowiadaniem, odkryłeś znowu kawałek siebie, a może i wielu takich, dla których raz powiedziane w przeszłości złe słowo, nieodpowiednia ocena wydarzenia, stanowiły przeszkodę w rozwijaniu chrześcijańskiej osobowości. Ten znaleziony obraz jest niezwykłym darem, pozazdrościć można Ci takiego skarbu! Ale jest to dar, który ma przynieść owoce – i przynosi, dzięki Bogu! Tak myślałam, kiedy zadzwoniłeś, żeby mi o niesamowitym znalezisku pod śmietnikiem powiedzieć.

Puenta – niesamowita! I ta modlitwa o przyjaźń dla nas wszystkich, którą i ja zmówię dzisiejszego wieczoru, i wiersz, który mnie pcha ku rozmyślaniom i wspomnieniom... Ja też już ponad pół wieku „lunatykuję” po „zielonym kurzu zapomnianych strychów”... Ceruję i naprawiam duszę jak nie do pary skarpetki.

Jak przez sen widzę tamten strych z mojego dzieciństwa (mieszkałam z rodzicami w małym mieszkanku na poddaszu), kiedy ukazała mi się Matka Boża Częstochowska z Jezusem płaczącym na rękę – i za parę dni zmarła moja młodsza siostrzyczka! Dlaczego to była akurat Matka Boża Częstochowska, a nie Kalwaryjska czy Loretańska?

Ciekawe jest to, że podobnie jak jeden z amerykańskich malarzy – Edward Hopper – pozostawiasz zawsze margines dla interpretacji czy zrozumieniu swojego dzieła: „Wszystko to, co przedstawia, wydaje się niedopowiedziane, dopiero wrażliwość i osobiste spojrzenie widza sprawia, że dzieło nabiera pełnego sensu, stając się indywidualnym wyrazem lęków i pragnień oglądającego”.

Gratuluję i serdecznie pozdrawiam – Ewa

Małgorzata Franc

OSOBNY POKÓJ

MARTA BYŁA OSOBĄ BARDZO SAMODZIELNĄ. Nie lubiła, kiedy ktoś wtrącał się w jej sprawy. Nie dziwi zatem fakt, że wcześniej wyprowadziła się z domu, by pójść własną drogą. Pomieszkiwała co prawda z koleżankami na poddaszu jednej z tutejszych kamienic, ale tak naprawdę prowadziła oddzielne życie, poprzeplatane obowiązkami związanymi z pracą i codziennością, którą starała się ubarwić imprezami i spotkaniami w miejskich kawiarniach i klubach o charakterze artystycznym. Na wernisażach spotykała ciekawych ludzi i mogła nacieszyć oczy wyrazistymi barwami, które od zawsze wprawiały ją w dobry nastrój i pozwalały zapomnieć o problemach. Kiedy wracała do domu na poddasze i siadała z książką w ulubionym fotelu, często zamiast zajmować się lekturą, śniła na jawie o wspaniałych krajobrazach, które widywała na obrazach lub zdjęciach. Nie czuła się artystką, jednak możliwość przebywania w tym środowisku poczytywała sobie za pewnego rodzaju wyróżnienie. I chociaż nie nawiązywała bliższej relacji z uczestnikami tych spotkań, czuła się tam akceptowana i lubiana. Wpadała też czasami do kawiarni „Pod Zielonym Liściem” i nad filiżanką ulubionej czarnej herbaty (kawy nie pijała nigdy) rozmyślała nad mijającym czasem. Coraz częściej też myślała o zmianie dotyczącej jej mieszkania i zamianie wspólnego pokoju na własny.

Pewnego popołudnia, kiedy trochę bezmyślnie patrzyła na ludzi mijających kawiarnię, jej wzrok padł na pobliski krzak głogu, na którym rozsiadło się stadko wróbli. Te niepozorne i skromne ptaszki, widocznie czymś podekscytowane, przemieszczały się z gałązki na gałązkę, śmiesznie przekrzywając główki, tak jakby się ze sobą naradzały. Marta przypatrywała się im przez dłuższą chwilę, po czym pomyślała: „No tak, jest marzec, zbliża się wiosna i wszystko się budzi” i chociaż spotkanie wróbli w miejskim krajobrazie dzisiejszego głośnego i zakurzonego miasta nie jest znowu tak oczywiste i proste, obraz ten początkowo nie zrobił na niej większego wrażenia. Wtedy jeszcze nie wiedziała, że ten widok i spotkanie będą miały wpływ na jej myślenie o wszystkim. Tymczasem jednak myślała o wszystkim i o niczym. Rano biegła do pracy, później do pobliskiego baru na obiad składający się z pierogów lub naleśników z różnymi dodatkami do wyboru, za zupami nie przepadała, rzadko kiedy je zamawiała. Czasem robiła drobne zakupy dla siebie lub którejs z współlokatorek, wstępowała też po książki do pobliskiej biblioteki. Kiedy wracała do domu późnym popołudniem, była zmęczona i zła, że tak dużo czasu zajęły jej te prozaiczne czynności.

Działo się też tak może dlatego, że dziewczyny, Ania i Kinga, z którymi dzieliła lokum, pracowały na zmiany w fabryce konserw, więc często ich nie było lub mijały się w drodze, w pośpiechu rzucając sobie zdawkowe „Cześć!”.

Na początku Marta nie zwracała na to większej uwagi, jednak po dłuższym czasie zauważyła, że zaczyna jej to ciążyć, zwłaszcza ta niekończąca się cisza przerywana tylko szumem przejeżdżającego opodal tramwaju. Pochodząca z wielopokoleniowej rodziny dziewczyna podświadomie tęskniła za gwarem codziennych rozmów, pobrzękiwaniem ciągle gdzieś przestawianych naczyń i ustawicznym dopytywaniem o różne drobne, lecz ważne sprawy, które już dawno powinny być załatwione. I tak minęło kilka dni.

W połowie miesiąca niespodziewanie zadzwonił do niej telefon i jakiś miły damski starszy głos zapytał: „Czy to pani poszukuje mieszkania do wynajęcia?”. Marta dopiero teraz przypomniała sobie, że faktycznie jakiś czas temu dała ogłoszenie do gazety, lecz kompletnie

o tym zapomniała. W związku z tą chwilową luką w pamięci dopiero po chwili odpowiedziała, że owszem, poszukuje mieszkania. Z dalszej rozmowy wynikało, że może obejrzeć je jutro po godzinie 15. na ulicy Ogrodowej. A że to była sobota, nie musiała się śpieszyć i martwić, że będzie musiała wcześniej wyjść z pracy. Tego dnia wszystko układało się pomyślnie, począwszy od tego, że dzień był słoneczny i ciepły, co wprawiło Martę w dobry nastrój, a skończywszy na miejskim autobusie nr 14, który tym razem przyjechał wyjątkowo punktualnie. Co prawda z przystanku do miejsca spotkania był jeszcze dobry kawałek drogi, jednak przy ładnej pogodzie i dobrym nastroju nikomu to nie przeszkadzało.

Marta wiedziała już wcześniej, gdzie jest ta kamienica, w której miało znajdować się jej nowe miejsce do życia, jedyna niepewność, która ją gnębiła, dotyczyła warunków zamieszkania oraz czynszu, który w związku z jej pojedynczymi możliwościami nie mógł być zbyt wysoki. I tak oto stanęła pełna niepokoju przed masywnymi drzwiami z numerem 6 (bez nazwiska) i nieśmiało nacisnęła dzwonek.

Z początku w mieszkaniu panowała całkowita cisza i Marta przestraszyła się, czy aby nie pomyliła dnia lub godziny. Po chwili jednak usłyszała jakiś szelest, a następnie kroki i słowa „Idę, już idę”. Klucz zgrzytnął jakby trochę niechętnie w zamku i Marta zobaczyła wreszcie swoją rozmówczynię. Właściwie trudno ją było opisać. Drobnej budowy, w bliżej nieokreślonym wieku. Włosy dobrze już przyprószone siwizną miała upięte w zgrabny koczek, a na bladej, dotkniętej wiekiem twarzy błąkał się delikatny uśmiech.

– Zapraszam, panią drogą dziecko – odezwała się w progu. – Zapraszam, zobaczysz sobie pani pokój.

Zachęcona tak miłym powitaniem Marta podążyła za gospodynią, która gestem wskazała jej miejsce przy stole w dużym i jasnym pokoju, który najwyraźniej pełnił funkcję salonu. Jak się okazało, mieszkanie składało się z trzech pokoi, kuchni, łazienki i niedużego pomieszczenia służącego za spiżarnię. Pokoje były obok siebie, każdy z osobnym wejściem, a naprzeciwko znajdowały się kuchnia i łazienka, a właściwie pokój kąpielowy z wanną, natryskiem i umywalką (na sanitariat było wydzielone odrębne pomieszczenie, była tam też nieduża umywalka). Marta obejrzała również pokój, który był do wynajęcia i bardzo jej się spodobał, nie był duży, ale bardzo przytulny, poza tym odpowiadało jej również to, że był pierwszy z brzegu, więc po powrocie z pracy czy wystawy nie będzie przeszkadzać gospodyni. I chociaż na początku zawahała się trochę, bo przecież chciała wynająć mieszkanie, po namyśle i informacji na temat wysokości czynszu pomyślała, że ten pokój też będzie dobry, zwłaszcza że wynajęcie mieszkania przerastało jej możliwości finansowe. W niedługim czasie wszystkie szczegóły zostały ustalone i po podpisaniu stosownych dokumentów Marta mogła spokojnie przenieść się w nowe miejsce. Oczywiście musiała też powiadomić Anię i Kingę, które nie były tym zaskoczone i też napomknęły o przeprowadzce.

I tak w przeciągu tygodnia najważniejsze sprawy związane z przenosinami Marty zostały zakończone, a może nawet zamknięte i choć ona sama nie przepadała za zmianami, zamieszkała na ulicy Ogrodowej pod numerem 6. Cieszyła się z zaistniałej sytuacji i nic nie wiedziała o zdarzeniach, które wkrótce miały nastąpić.

Pewnego popołudnia, kiedy Marta siedziała przy oknie w swoim pokoju, do drzwi mieszkania ktoś zadzwonił. A ponieważ pokój Marty był bliżej, podniosła się, aby otworzyć drzwi (miały bowiem niepisaną umowę z właścicielką, panią Melanią, że ten, kto będzie bliżej drzwi, otworzy je, a przynajmniej zapyta „Kto tam?”). Z reguły był to listonosz, ktoś z wodociągów lub do odczytu licznika z elektrowni. Sąsiadki zaglądały rzadko i raczej nie na plotki, tylko z wiadomościami lub coś pożyteczny. Tak więc, gdy Marta otwierała drzwi, spodziewała się, że to któraś z tych właśnie osób.

Na progu jednak stała młoda kobieta. Towarzyszyły jej trzy dziewczynki w wieku od 8 do 11 lat. Marta zamarła na chwilę w zaskoczeniu. Młoda kobieta, chyba tak samo zaskoczona, spytała:

– Mogę rozmawiać z mamą?

W tym momencie na korytarzu pojawiła się pani Mela i na moment stanęła w bezruchu. W końcu Marta, wyczuwając pewną niezręczność sytuacji, szepnęła:

– Oczywiście, bardzo proszę – i taktownie wycofała się do swojego pokoju.

Przez drzwi słyszała jedynie jakieś fragmenty rozmowy przechodzącej jakby w szept i na końcu w płacz. Nie dopytywała jednak wtedy, co się stało, tylko wieczorem w pokoju kąpielowym zauważyła dodatkowe ręczniki i szlafrok.

Kiedy kładła się spać, światło w kuchni u pani Melanii jeszcze się świeciło, a i w wolnym dotąd trzecim pokoju trwała jakaś krzątanina.

Następnego dnia Marta wcześniej wstała do pracy i nie widziała się z panią Melą. Nie miała więc okazji zapytać, kim są jej goście i co właściwie się stało. Poza tym nigdy nie była wścibska. Pomyślała zatem, że jeśli coś w tej kwestii ma się wyjaśnić, to po prostu tak się stanie. Co zresztą niebawem miało się potwierdzić.

Kolejnego dnia po powrocie do domu Marta jak zwykle pomaszerowała do kuchni, żeby zrobić sobie herbaty. Przy stole zastała panią Melanię i jedną z dziewczynek, którą wcześniej już widziała przed drzwiami. Pani Melania spojrzała wymownie na dziewczynkę:

– Ewuś, przejdź, proszę, do waszego pokoju na chwilkę. Muszę tu porozmawiać z panią.

Dziecko smutno spojrzało na Martę i posłusznie wyszło. Marta podświadomie wyczuła, że ta rozmowa będzie trudna i że może zwiastować zmiany w jej życiu. Bezwiednie oparła się o blat stołu i czekała. Przez głowę przelatywały jej dziesiątki myśli, które głównie dotyczyły ewentualnego wymówienia i ponownej przymusowej przeprowadzki. Po chwili, która zdawała się trwać w nieskończoność, pani Melania westchnęła ciężko i zaczęła mówić.

– Moja córka Joanna, z którą przez lata nie miałam kontaktu, straciła pracę i mieszkanie. Na ojca dziewczynek nie ma co liczyć. Zostały bez dachu nad głową i praktycznie bez środków do życia, smutne to, ale taka jest prawda. Joasia jest informatyczką, na pewno znajdzie pracę, jednak teraz będzie mieszkała z dziewczynkami tutaj, razem.

Marta oczekiwała następnego zdania: „A pani będzie musiała się wyprowadzić”.

Oczekiwała tego przez tydzień, potem drugi i trzeci. Nic takiego nie nastąpiło. Minął miesiąc, dziewczynki wracały ze szkoły, mama Joanna nie ustawała w poszukiwaniach pracy, pani Melania krzątała się po kuchni. Ich relacje, na początku ostrożne i chłodne, stawały się ciepłe i przyjazne. Wszyscy stopniowo przyzwyczajali się do nowej sytuacji i do siebie. Wszyscy, nawet Marta, która przecież nie należała do tej rodziny, ale z przyjemnością obserwowała, jak wnuczki zaczynają przytulać i uśmiechać się do babci Melanii. Jak córka Joanna rozmawia z mamą. Jak wszyscy kręcą się i szczebiocą, omawiając nowiny dnia codziennego. Zupełnie jak te wróbelki, które Marta kiedyś widziała na krzaku głogu w pobliżu kawiarni i naprawdę nie mogła się nie uśmiechnąć na wspomnienie tego zdarzenia, bo zdała sobie sprawę, że to ono pomogło jej znaleźć w życiu coś więcej niż osobny pokój.

3 MARCA 2024 R.

Janusz Strojec

WIZYTA I REWIZYTA

Księżna Izabela Czartoryska zaprosiła do Pałacu Błękitnego wybitną polonistkę, miłośniczkę historii, polską patriotkę, szczerą katoliczkę, by ta przybliżyła jej postaci związane z literaturą i historią. Jako założycielka Świątyni Sybilli, zgromadziła wiele pamiątek narodowych, w tym głowę poety, który wdarł się na skałę pięknej Kaliopy, Jana z Czarnolasu. W Pałacyku Gotyckim zaś pomieściła wiele tomów najznakomitszych poetów renesansu, baroku i oświecenia. Zawsze pragnęła zgłębić swą wiedzę w zaświatach o poetach kolejnych stuleci.

Zaprosiła więc do Pałacu Błękitnego osobę w kwiecie wieku, która jest nie tylko znawczynią i popularyzatorką literatury, ale także oddaną patriotką o poglądach zbliżonych do Familii. Księżna miała także nadzieję, że ta kobieta będzie w stanie opowiedzieć jej fascynujące historie o sobie, o swoich romansach, wielbicielach, licznych małżeństwach, ślubnych i pozamałżeńskich dzieciach, tak jak to bywało onegdaj w jej sferze. Księżna z zaciekawieniem czytała kolejne tomy Katarzyny Marii I o sobie, o swoich dramatach i potędze, o sekretach wielkiej damy i wreszcie o nieuchronnym zmierzchu. Te spotkania w Pałacu Błękitnym stały się tradycją, podobnie jak jej wcześniejsze u Stasia (z domu Ciołka), ojca jej córki, a później monarchy Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Księżna Izabela planuje zapytać Katarzynę Marię I o jej dzieci, ukochaną Polskę w XXI wieku i czy tak jak ona ma licznych kochanków i adoratorów, więc zwraca się z troską:

– Kochana Katarzyno Mario, jak się mają twoje dzieci? Ostatnio nie miałyśmy okazji porozmawiać na ten temat.

Katarzyna Maria z dumnie podniesionym czołem:

– Dziękuję, księżno, że pytasz o moje dzieci. Moje słodkie pociechy już się usamodzielnily, niebawem będą miały swoje dzieci, pewnie niedługo zostaną babką. Jestem dumna z tego, jak się rozwijają, jak służą innym – Zuzanna jest pielęgniarką, zaś Błanka skrzypaczką. Mam też męża Przemysława, którego kocham bardzo, jak ty kochałaś swojego Adama Kazimierza. Mam też grono wielbicieli, wczoraj była ich cała sala, przyszli na promocję książki o tobie.

Księżna Izabela (z zadumą):

– Ostatnio słyszałam wiele pochlebnych, jak również krytycznych opinii na temat mojego kraju. Jakie są twoje spostrzeżenia, Katarzyno?

– Oj, Polska w XXI wieku to niezwykle miejsce. Mamy wiele do zaoferowania światu, wspaniałą kulturę i piękne krajobrazy. Oczywiście, jak każdy kraj borykamy się również z wyzwaniem, niemniej jednak widzę wiele pozytywnych zmian, które dokonały się w naszej ojczyźnie. Młode pokolenie jest niezwykle ambitne i pełne pomysłów. Widzę wielki postęp w dziedzinie nauki, technologii i sztuki. Mam nadzieję, że Polska będzie dalej rozwijała się w pożytecznym kierunku i przyciągała uwagę całego świata.

Księżna Izabela wyraźnie się ożywiła:

– Może mogłabym odwiedzić twój pałac, Katarzyno? – zagadnęła. – Ale z Warszawy do Lgoty powozem ze trzy dni trzeba będzie jechać... Jestem już stara, mam dziewięćdziesiąt lat, nie wiem, czy sprostałabym trudom podróży.

Izabela posmutniała, spojrzała na pałace swoich sąsiadów, już dawno nie widziała się z poczciwym hrabią Zygmuntem Krasieńskim, którego poznała, gdy był małym chłopcem.

– To nie problem, z przyjemnością będę gościła waszą książęcą mość – stanowczo zaoferowała

Katarzyna Maria. – To zaledwie dwie godziny drogi, chętnie przyjadę po księżną. Mój powóz osiąga moc trzystu siedemdziesięciu czterech koni.

– To niebywałe! – rzekła Izabela – nigdy nie widziałam takiego zaprzęgu, do Paryża jechałam trzynaście dni, a powoziło maksymalnie sześć koni. To niebywałe, ekscytujące!

Lgota to malownicza, kiedyś folwarczna wioska niedaleko Jasnej Góry, jak dobrze się porozglądasz, rozległe malownicze pola przypominają te z lat dziecięcych Elżbiety Doroty z Flemmingów Czartoryskiej. Jej zapewne panią – rozmyślała księżna – jest magnatka Katarzyna Maria, dama sprężysta, wyniosła, pełna gracji. To niezwykle znowu znaleźć się wśród swoich.

Po krótkiej podróży księżna wysiadła uradowana. Dzieci i mąż Katarzyny Marii witają ją po staropolsku, gość w dom, Bóg w dom! Katarzyna Maria, jak przystało na wielką damę, założyła najlepsze krynoliny, mocno wykrochmaloną koszulę w błękitnym kolorze, by godnie podjąć Izabelę. Zastanawiała się, czy nie wygląda zbyt przaśnie albo zbyt cukierkowo, pierś kształtną wypięła do przodu, ma czym oddychać, warto ją wyeksponować.

W salonie Katarzyna Maria poczęstowała księżną plackiem drożdżowym ze śliwkami, które tak obficie obrodziły w jej posiadłości, potem zaczęła czytać fragmenty swojej powieści o Wieniawskim, pokazała księżnej swoje powieści o Szopenie i o Malczewskim, a jej córka Blanka zagrała pięknie na skrzypcach koncert skrzypcowy D-dur op. 77 Johannes Brahmsa (bez orkiestry, niestety).

– Muzyka zdecydowanie zakorzeniona w niemieckiej tradycji – wspomniała Izabela rzewnie spotkanie z Johanem Wolfgangiem Goethem, teraz wyraźnie czuła pokrewieństwo Brahmsa z Beethovenem, Bachem czy Wagnerem. Księżna była szczęśliwa, poczuła się jak w Puławach, otoczona artystami, którzy wielbili jej piękno i wdzięki, a przede wszystkim zalety umysłu.

– Katarzyno Mario, jaki piękny naszyjnik! Niech się przyjrzę! To oryginał, jest miniaturowy stempelek – księżna poprawiła binokle. – Jakie piękne klasycystyczne intaglio, cóż za oprawa, to od Castellanich! Czy dostałaś go od księżnej Lubomirskiej?

– Nie, księżno, od mojego męża na okrągłe urodziny, zakupił go w Desie.

– Piękna robota, noś go z dumą! – wyszeptła księżna Izabela.

– W Lgocie – opowiadała rozmarzona Katarzyna Maria – rozgorzały krwawe walki w czasie potopu szwedzkiego, gdzie walczone, wspierając Polaków w atakach Szwedów na klasztor na Jasnej Górze w Częstochowie. Bohaterskie walki Polaków w Lgocie przyczyniły się znacząco i były jednym z przełomowych punktów wsparcia przeciwko Szwedom.

Księżna Izabela poczuła dreszcz emocji, wszak dotykała kawałka historii...

– Bardzo mi przypadłaś do gustu, Katarzyno Mario, zapewne na zawsze zostaniemy przyjaciółkami – rzekła czarująco księżna. I pozwolisz, że cię obdaruję, już podjęłam decyzję. Pałac w Puławach od dzisiaj należy do ciebie, będziesz tam właściwą osobą! – to mówiąc zamieniła się w obłok i udała się w zaświaty.

Katarzyna Maria I poczuła się spełnioną kobietą. Tyle jeszcze przede mną! – pomyślała.



(Opowiadanie zostało odczytane na spotkaniu autorskim Katarzyny Marii Bodziachowskiej, o czym piszemy na s. 99-100.)

Paulina Wysocka-Morawiec

GRZYBOBRANIE

PROMIENIE SŁOŃCA PRZEBIJAŁY SIĘ PRZEZ KORONY DRZEW. Oświetlały leśne poszycie niczym reflektory w teatrze. Powietrze pachniało wilgocią, ściółką i grzybnią. Podmuch wiatru strącił z gałęzi złote liście, które swobodnie opadły u stóp Krystyny Koziół, by zaraz zostać wdeptane w ziemię. Spod pobliskiego dębu zerknął na nią borowik w okazałym kapeluszu. Kobieta nawet go nie zauważyła, choć od zawsze biła rekordy w grzybobraniu. Tym razem nie w głowie jej były zbiory. Szła dzielnie przed siebie, rozglądając się wokół jak zagubione dziecko.

Krystynie tego dnia towarzyszyło pół wsi. Przemierzali las rozłożeni w jednej linii, każdy w odstępach trzech metrów od sąsiada. Zaglądali pod krzewy, za powalone drzewa, we wszystkie doły. Każdy wyteżał wzrok, by złowić choć ślad człowieka.

Po godzinie marszu odezwał się telefon Krysi. Przystanęła i zaczęła szukać aparatu w bezdennych czeluściach torebki. Mamrotała pod nosem o niepotrzebnych szpargałach, aż z ulgą wyjęła aparat i zerknęła na wyświetlacz. Serce zabiło jej mocniej na widok zdjęcia męża, które mrugało do niej z ekranu. Drżącą dłonią odebrała połączenie.

– Kazik? – odezwała się niepewnie.

Spodziewała się męża we własnej osobie, od biedy zniekształconego głosu porywaczy, ale na pewno nie aspiranta Sroki, który według jej obecnej wiedzy powinien być gdzieś przed nimi z psem policyjnym na grubej smyczy.

– Pani sołtys, melduję, że znalazłem telefon szanownego małżonka – powiedział nosowym głosem.

– Matko Przenajświętsza! Gdzie?! – Krysia swoim krzykiem zwróciła uwagę towarzyszy, którzy zatrzymali się zaciekawieni.

– Niedaleko leśnego parkingu. Problem w tym, że małżonka nadal brak.

Kobieta wzięła drżący oddech i zatrzepotała rzęsami, by powstrzymać płacz. Potrzebowała odwrócenia uwagi.

– Dlaczego aspirant dzwoni do mnie z dowodu w sprawie?! Materiał biologiczny pan zatrze!

– Spokojnie, zabezpieczony jest, pani sołtys, w woreczku. A sprawdzić musiałem, czy to właściwy.

– To sobie trzeba było zadzwonić do Kazika ze swojego telefonu. Też by było wiadomo, a nie nadzieję mi robić.

– Och, w sumie... – mężczyzna wyraźnie się zmieszał.

Krysia pokręciła głową i westchnęła.

– Dziękuję, aspirancie, idę do pana. – Zakończyła połączenie i zwróciła się do grupki zastygłych w oczekiwaniu znajomych: – Znaleźli jego telefon na leśnym parkingu. Idę, a wy kontynuujcie. Za godzinę spotkamy się na placu kościelnym. – Pod koniec głos jej się załamał.

– Oj, Krysiu, znajdzie się – szepnął stary Nowak. – Złego licha nie bierze. – Poklepał ją nieporadnie po ramieniu i skinął na pozostałych.

Kobieta ruszyła przez las. Tym razem samotnie. Nikt już nie patrzył. Łzy mogły płynąć i dawać ukojenie.

Poprzedniego dnia jej mąż wyszedł po obiedzie do lasu. Mówił, że grzybów nazbiera, ale zbyt długo go nie było. Krysia najpierw dzwoniła, później przeszła się po gospodarstwie, bo może

wrócił, ale zaszedł do stodoły. Kiedy go nie znalazła, ruszyła rozpytywać sąsiadów. Zaszła nawet do wiejskiego baru, ale tam też go nie było. Coraz bardziej się niepokoiła. Gdy wróciła do domu, jeszcze raz zajrzała w każdą kryjówkę Kazika, a później zadzwoniła na policję. Było już ciemno. Aspirant Sroka powiedział, że jeśli do rana Koziół się nie zjawi, zaczną szukać. I zaczęli. Krystyna była pod wrażeniem ilości ochotników do pomocy. Szkoda tylko, że przez tyle godzin znaleźli jedynie telefon.

Godzinę później cała grupa poszukiwawcza zebrała się na kościelnym placu. Umawiali się na kolejny dzień. Kilka osób ze współczuciem zerknęło na Krystynę Koziół, która od poprzedniego wieczora jakby postarzała się o kilka lat. Reszta szeptała złośliwie, że po takim pijusie to wszystkiego mogła się przecież spodziewać i dziwić się nie ma czemu, że przepadł. Może to i lepiej dla niej, bo ani pieniędzy z niego nie miała, ani żadnej pomocy. Ale Krysia nie słuchała. Wszystkie głosy zbiły się w jeden szum i tylko wygwizdywana w oddali melodia coś w niej poruszyła. Melodia znana jej doskonale, ulubiona Kazika.

– Ludzie! Cicho! – krzyknęła.

Sąsiedzi spojrzeli na nią, jakby już postradała zmysły, ale gdy przestali gadać, zaraz zrozumieli.

Tłum obrócił się w kierunku źródła dźwięku. Gwizdanie było coraz wyraźniejsze. Coraz bliżej, tuż za rogiem.

– Kazik?! – pisnęła Krysia.

Emocje tak nią wstrząsnęły, że się zachwiała. Pewnie by upadła, gdyby aspirat Sroka nie pospieszył jej z pomocnym ramieniem, które udzieliło niezbędnego w tej sytuacji wsparcia.

Kazimierz Koziół spojrzął na tłum, a tłum na niego. Wyglądał niezbyt świeżo. Ubranie miał lekko przybrudzone, na nogach gumowce do połowy łydki, lekki zarost i rozczochrane włosy. Niemniej był i wyglądał na całkiem żywego. Ba, nawet w dłoni trzymał reklamówkę z czerwonymi koralami jarzębiny i wielki bukiet hortensji, końce gałązek której owinięte były mokrą skarpetą.

– Coś mnie ominęło? – zapytał. Kiedy dojrzał swoją żonę, mars na czole zrobił się wyraźniejszy. – Krysia! Czemu pan władza cię trzyma? Przeskrobałaś coś?

– Ja? – szepnęła Krysia, by zaraz wyrwać się z uścisku Sroki i wrzasnąć na całe gardło – JA?!

Tłum rozstąpił się przed nią niczym może czerwone przed Mojżeszem. Kilka osób uciekło. Zostali tylko odważniejsi gapie.

Kazik Koziół nie miał zielonego pojęcia, o co chodzi jego żonie, ale lata małżeństwa nauczyły go, że w odpowiedzi na silne wzburzenie małżonki należy jak najszybciej uciec i przeczekać. Niestety, w obecnej sytuacji nie miał takiej możliwości, więc postanowił podążyć ryzykowniejszą drogą, czyli podjąć próbę jej uspokojenia. Dlatego chwycił mocniej bukiet hortensji i pomachał nim Krysi przed nosem.

– Dla ciebie przywiozłem! – uśmiechnął się.

Kobieta fuknęła jak wściekły byk, wyrwała mu kwiaty, wzięła zamach i uderzyła go nimi na oslep. Trafiała w ramię, niestety z większą szkodą dla kwiatów niż dla Kazika.

– Znikasz bez słowa! Nie ma cię całą noc, i co?! Wracasz sobie zadowolony nie wiadomo skąd i dajesz mi przywiędłe hortensje?!

– Jakie przywiędłe? Przecież własną skarpetę poświęciłem, żeby podróż przetrzymały – wydukał Kazik.

– Gdzie byłeś, ja się pytam?!

Kazik wzruszył ramionami i wlepił wzrok w ziemię.

– Na grzybach przecież.

– Od wczoraj?

– Nooo, prawie. Bo widzisz, wczoraj tu byli tacy mili ludzie z Koła Emerytów i Rencistów z miasta. Autokarem, chociaż ja ich dopiero w lesie spotkałem...

– Do brzegu, Kazik!

– I tak żeśmy sobie oglądali te swoje zbiory i tak miło było, że ich kozłówką uraczyłem, bo spragnieni przecież – kontynuował niezrażony. – Ale kozłówki zabrakło, więc mnie do tego autokaru zaprosili, bo pod siedzeniem whisky mieli. I tak jakoś siedliśmy sobie z tyłu i no... wyszło, że zasnąłem. Jeden mnie dobudził, jak już do miasta dojechali. Jak się dowiedział, że mi ostatni bus już uciekł, to zaprosił do siebie. Ugościł, przenocował. Tak jakoś wyszło, że do południa pospałem. A on na podwórku to taką piękną jarzębinę miał. Pozwolił mi zerwać trochę, to przywiozłem na jarzębiaczek, a co! I dla ciebie hortensji urwałem, bo kolor taki różowy, jak lubisz. Pomyślałem, zawinę w mokre, to gałązki nie obeschną, do wody się wsadzi z ukorzeniaczem i może pamiątka do ogródka będzie jak się patrzy. – Uśmiechnął się nieśmiało.

Krysia poczuła wilgoć pod powiekami.

– Ty żeś dobrze się bawiał, a ja tu z niepokojem umierałam. Całą noc nie spałam. Wszyscy od rana po lasach cię szukają.

Kazik rozejrzał się po zebranych wokół sąsiadach, jakby dopiero teraz tak naprawdę ich zobaczył.

– Nie, ja was wszystkich przepraszam! To niezamierzone było przecież... I zadzwoniłbym, ale gdzieś telefon zapodziałem, a wiesz, że ja pamięci do cyferek nie mam, to nijak z głowy numeru wykręcić nie potrafiłem. Jeden co pamiętam, to ten stacjonarny, ale jego to już z pięć lat nie mamy.

Tłum zaczął rozchodzić się do domu. Niektórzy wymrukiwali pod nosami niezadowolone, inni się cieszyli, a jeszcze inni podśmiewali z całej sytuacji.

– Panie Kozioł! – powiedział Sroka, wkładając mu do ręki zagubiony telefon. – Pan to masz więcej szczęścia niż rozumu. – Zerknął na Krysę i poklepał mężczyźną po barku: – Powodzenia życzę. Uszanowanie! – Skłonił się, wsiadł do radiowozu i odjechał.

Kazik zabujał się na piętach jak pięciolatek.

– To co, Krysia? Może my też już pójdziemy?

Z kobiety jakby uszło powietrze.

– Chodź, Kozioł, chodź. Tylko podziękować trzeba.

Krysia wylewnie podziękowała pozostałym i równie wylewnie przeprosiła za nieporozumienie. Później chwyciła sfatygowany bukiet hortensji i razem z Kazikiem ruszyła powolnym krokiem ku domowi. Odezwała się dopiero w połowie drogi:

– A powiedz ty mi, Kazik, skoro na tym grzybobraniu tyle czasu byłeś, to gdzie masz te wszystkie grzyby?

– Wiesz, Krysia, tak obcego to mało kto by na noc przygarnął i jeszcze tyle życzliwości okazał. To zostawiłem gospodarzowi, niech ma. Ja dla nas to w każdej chwili nabierać mogę...

– Możesz, możesz, tylko proszę cię, Kazik, już sam do lasu nie chodź. Drugiej takiej przygody nie zniosę.

Kozioł spojrział na żonę z czułością.

– Wiesz, to miło wiedzieć, że się tak o mnie martwiłaś.

– Kazik, Kazik... – westchnęła. – Jakbyś czasami trzeźwiej na świat spojrział, to byś zobaczył, że ja cały czas się o ciebie martwię.

Objął żonę ramieniem, a ona jakby mocniej do niego przylgnęła. Szli dalej, powolutku, a Kazik pomyślał, że aspirant Sroka co do jednego się nie mylił – miał więcej szczęścia niż rozumu.

Ołesia Mamczycz

Z języka ukraińskiego przełożyła Aneta Kamińska

dobrzy mężczyźni
zasiali tę wojnę
doglądali jej, usuwali chwasty
przynosili deszcz w dłoniach żeby nie uschła

a wojna rosła cherlawa
słabiotka
i ani słońce, ani woda, ani ogień jej nie podtrzymawały

niedobra wojna –
pomyśleli mężczyźni
następnego roku posadzimy tu nie wojnę
tylko gruszę

W Parku Maryjskim na wiosnę

w Parku Maryjskim na wiosnę
drzewa wypuściły czerwone liście
i strumyki płyną
purpurowe
i powietrza nie ma
miejscami
a między ludźmi –
co trzeci jest bez cienia

w Parku Maryjskim na wiosnę
kule brzęczą
a to są pszczoły

a słońce
wtacza się na wschodzie
czarną oponą
i opada na zachodzie
nadpaloną
zadymioną
dziurą

mówią,
że płacze, krzyki – słyhać
jeśli nadstawić uszu –
to tylko trawa szeleści

czerwona

6 KWIETNIA 2014

świat
jest zbyt nienaganny
trzeba go zepsuć

ponadgryzać każdą śnieżynkę
jak bułeczkę
rozsypać rzeźbę terenu
wyłączyć wiatr
włączyć czas

i niech potem się zastanawiają
kto poprzestawiał ludzi
kiedy wszyscy spali

i niech potem szukają
wiatru w polu
jeśli zamiast pola
błyszczą guzik
i automat

obcy ludzie

obcy ludzie stukają do twojego domu
ty ich nie zapraszałaś a oni stukają
i ty już nie wiesz
czy podeprzeć drzwi szafą
czy wyskoczyć przez okno i uciekać
kiedy się biegnie
kiedy strach odmierza odległość między tobą
a nimi
ci ludzie nie mogą przynieść dobra
kto szedł z dobrem otwiera swoim kluczem
nikt nie ma takiej radości
żeby dzielić się nią o północy
i ty już biegniesz
i wysoka trawa uderza po twarzy
a szare meszki wygryzają dziury w pamięci
już ci się wydaje
że nikt cię nie wołał
zatrzymujesz się
i siadasz na ziemi
zimnej
jak metalowa płyta
meszki jeszcze przez chwilę się wahają
a potem oblepiają całe twoje ciało
jeszcze nie wiesz
jacy dobrzy są ci obcy ludzie
którzy weszli do twojego domu
i robią w nim porządkę
rozstawiają wszystkie rzeczy na nowo
a niektóre wyrzucają przez okno
ze środka

20.06.2018

Z języka ukraińskiego przełożył Konrad Byzdra

mało czasu na świecie

zbyt mało czasu na świecie
może, kupię grządkę
obsieję czasem

pachnącym, zielonym
soczystym czasem, świeżym

ile zechcę – tyle zbiorę
komu zechcę – temu dam

albo zwyczajnie usiądę
i będę patrzeć
jak wiatr moim czasem kołysze

nic takiego

nic takiego
po prostu ten świat jest obliczony
na mocniejszych od ciebie

jego konstrukcja – doskonała
między rokiem i rokiem podziemne
przejście
autostrada między sercem i sercem

nic takiego
świat jest doskonały
jego cel jasny
ludzie żyją szczęśliwi
umierają szczęśliwi

Niedziela Palmowa

Chrystus przejechał już przez nasze miasto na osiołku

ulice przyozdobiono flagami

tam gdzie padł Jego cień – wyrównały się dziury w asfalcie

w kostnicy zmartwychwstało dwóch nieboszczyków

chory na raka wyzdrowiał

póki Chrystus jechał na osiołku –
samochody zatrzymywały się
kierowcy ślali swe kurtki na drodze
wymachiwali rękami
robili zdjęcia komórkami

kilku spryciarzy zorganizowało na placu fajerwerki

Judasz zatrzymał się dłużej niż trzeba,
przed reklamą Sanhedrynu

odkryj przede mną otchłań

Gdy przychodzi to, co nie ma imienia
czego kolor to brak koloru
a serdeczność to brak serdeczności

czemu do lotu – ani powietrze
ani skrzydło

tylko wiatr – jak tysiące wstążek metalowych
uderzają w cynkowaną ścianę

Odkryj przede mną otchłań nadziei
odkryj przede mną otchłań nadziei

Ołesia Mamczycz (ur. w 1981 r.) – ukraińska poetka, tłumaczka, redaktorka. Ukończyła eksperymentalny kierunek twórczości literackiej na Kijowskim Uniwersytecie im. Tarasa Szewczenki oraz roczny kurs stypendialny na Uniwersytecie Jagiellońskim. Mieszkała na przedmieściach Kijowa w komunie twórczej. Pracuje jako redaktorka portalu literackiego posestry.eu, zajmuje się też promocją czytelnictwa i edukacją alternatywną.

Autorka tomików poetyckich: *Perекотиболе* „Перекотиболе” (2005), „Обкладинка” (2014), „Сонце пішло у декрет” (2014) oraz 10 książek dla dzieci: „А на нас упав ананас” (2013), „Тиранозавр Оленка” (2017), „Електромобіль Сашко” (2018), „Хто з’їв мою піжаму” (2018), „Ким працюватиме Яся” (2019), „Іванна і ванна” (2019), „Восьмищось” (2020), „Олениця біжить по морю” (2020), „Як правильно ревіти” (2021), „Овва як бува: абетка з історії України” (2021). Laureatka festiwalu „Twoje talenty, Ukraino” (1992), „Młode wino” (2001), Biennale sztuki aktualnej (2004). Uhonorowana nagrodami BookForum Best Book Award (2021), Nagrodą Lesi Ukrainki (2023) oraz Nagrodą Ambasadorki ukraińskiej literatury dziecięcej na świecie (2023). W latach 2021–2022 stypendystka Fundacji Liderzy Przemian Lane’a Kirklanda (Kraków).

Wiersze Mamczycz zostały przetłumaczone na 14 języków i opublikowane w licznych czasopiśmie i antologiach, m.in. w Hiszpanii, Wielkiej Brytanii, Łotwie, Litwie, Rumunii, Włoszech, Izraelu. Jej teksty dla dzieci znalazły się w programie nauczania języka ukraińskiego w ukraińskich szkołach podstawowych.

W Polsce jej wiersze ukazały się dotychczas w pismach takich, jak: „Babiniec Literacki”, „ArtPapier”, „Śląska Strefa Gender” „Wizje”, „Przekrój”, „Papier w Dole” (tłum. Aneta Kamińska), „Czas Literatury”, „Biblioteka Kraków” (tłum. Konrad Byzdra) oraz w antologii Anety Kamińskiej *Wschód – Zachód. Wiersze z Ukrainy i dla Ukrainy* (2014).

Aneta Kamińska – poetka, performerka i tłumaczka współczesnej poezji ukraińskiej. Urodziła się w Szczepieszynie, wychowała się w Zamościu, obecnie mieszka w Warszawie. Ukończyła Wydział Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Pracuje jako metodyczka i lektorka języka polskiego dla cudzoziemców. Autorka książek poetyckich: *zapisz zmiany* (2004), *czary i mary (hipertekst)* (2007), *więzy krwi* (2018) oraz licznych przekładów wierszy z języka ukraińskiego. W 2019 za tomik *Autoportret z martwą naturą. Ostatnie wiersze Nazara Honczara* otrzymała nominację do Nagrody Literackiej Nike. Rok później została wyróżniona Nagrodą „Literatury na Świecie” 2019 za przekład tomiku poetyckiego *Wszystkie możliwe rzeczy* Juliji Stachiwskiej. Należy do Stowarzyszenia Tłumaczy Literatury. Stypendystka Ministra Kultury RP (2008 i 2013).

Konrad Mirosław Byzdra – zamieszkały w Lublinie filolog ukrainista, miłośnik Słowiańszczyzny, gór i miejsc nieoczywistych, ciekawy ludzi, świata i doświadczeń, niestrudzony użytkownik zmysłów, poszukiwacz sposobów na harmonijne łączenie rzeczy odległych. W Ukrainie, jej przestrzeniach, ludziach i języku zakochany od pierwszego dotknięcia. Popełnił kilka przekładów, głównie literatury historycznej.

Gottfried Benn

Finis Poloniae

Przekład Bogdan Knop

Finis Poloniae –
Ten zwrot,
gdy pominiemy jego historyczny kontekst
wraz z końcem Wielkiego Państwa
zyskuje wyjaśnienie.

Czarowny nastrój,
niespokojne oddechy wokół,
obojnaczy eter – gdybyż snuł myśli,
byłyby one o monsunach zauralskich
i morzach żółtych.

Wielkość sama się unicestwia,
sama do siebie wydaje ostatni pomruk,
tę obcą pieśń, najczęściej niezrozumiałą,
zaledwie dopuszczalną –

Finis Poloniae –
może w deszczowy dzień, wcale nie czekany,
jednak tym razem dźwięk radości,
a potem solo na rożku,
do tego hortensja, najspokojniejszy z kwiatów,
co do listopada trwa w deszczu,
cicho na grobie.

Wiersz *Finis Poloniae* Godfried Benn napisał w 1950 r., zatem w ostatnim okresie swej twórczości (zmarł w 1956 r.). Wiersz jest dość znany i bywał wcześniej tłumaczony. Mój przekład nie bierze się z przekonania o niedostatkach spolszczeń dotychczasowych, ale raczej z chęci osobistego obcowania z tym, co urzeka. Taką działalność nazywa się czasem *con amore* i niech to wystarczy.

Autor wiersza uważany jest za najważniejszego może współczesnego poetę niemieckiego (z tym zawsze jest pewien problem, bo po niemiecku piszą też Austriacy i niektórzy Szwajcarzy). Wcześniej prezentowałem postać Benna przy okazji publikacji w „Galerii” przekładu wiersza *Podróże*. Przedstawiłem wtedy dwie wersje tłumaczenia z komentarzem. Tym razem motywacja jest nieco inna.

W 2022 roku gościem częstochowskiego festiwalu „Poezja jest najważniejsza” był ukraiński poeta mieszkający w Nowym Jorku – Wasyl Machno. Podczas jego pobytu w Częstochowie, związanego z promocją *Wierszy jerozolimskich* wydanych przez Towarzystwo Galeria Literacka, przegadaliśmy wspólnie wiele godzin o przekładach, poezji, świecie i historii. W pewnym momencie Wasyl rzekł: „Jest taki poeta niemiecki Gottfried Benn”. „Znam – odparłem. – I nawet próbowałem go przekładać”. „A znasz wiersz *Finis Poloniae*?” – zapytał. Cóż miałem powiedzieć – przecież właśnie myślałem o przekładzie tego wiersza. Pokazałem Wasylowi niemieckie wydanie poezji Benna przywiezione mi z Zurychu i ten wiersz na stronie 380. I tyle. Nie wiem, czy Wasyl Machno przełożył *Finis Poloniae* na ukraiński, ja na polski musiałem.

Urzekająca melancholia – to mi się nasuwa, gdy myślę o tych strofach. Reszta jest w przekładzie, a jeśli nie ma, to przez moją nieudolność, mimo starań i zachwyty nad oryginałem.

Swoją drogą, że napisał to Niemiec... Zastanawiające, niezwykle.

A close-up portrait of a woman with light brown hair and bangs, wearing a pink sweater. She is resting her right hand against her face, looking directly at the camera with a neutral expression. The background is a vibrant, abstract pattern of red and blue. The text 'ALEKSANDRA JAKUBCZAK' is overlaid in white, bold, sans-serif font at the bottom of the image.

ALEKSANDRA
JAKUBCZAK

foto: Piotr Dłubak

Dr **Aleksandra Jakubczak** urodziła się w Chorzowie w 1984 roku. Absolwentka Wydziału Wychowania Artystycznego Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie na kierunkach: malarstwo sztalugowe (2009 r. – I stopień, 2011 – II stopień), grafika warsztatowa (2010 r. – I stopień). Pracuje na Wydziale Sztuki Uniwersytetu im. Jana Długosza w Częstochowie. Prowadzi zajęcia z przedmiotów: grafika artystyczna i projektowa, techniki klasyczne, multigraficzne i eksperymentalne w pracowni druku wklęsłego, podstawy grafiki artystycznej, rysunek. Prowadziła zajęcia z liternictwa i typografii, technik obrazowania graficznego, pracowni kreacji rysunkowej, komunikatu graficznego w przestrzeni publicznej, malarstwa. Organizowała plenery artystyczne. Jest Wydziałowym Koordynatorem ds. Osób z Niepełnosprawnościami. Jest trzykrotną stypendystką Prezydenta Miasta Częstochowy (2011, 2012, 2013 r.). Brała udział w ponad 90 wystawach zbiorowych i 8 indywidualnych, najważniejsze z nich to:

- *Początek Świat(ł)a*; Miejska Galeria Sztuki w Częstochowie, 2014;
- *Przestrzenie linearne*; Galeria Wejściówka, Muzeum Częstochowskie, Galeria Dobrej Sztuki, Ośrodek Promocji Kultury „Gaude Mater”, Częstochowa 2018;
- *Kod obrazu – linia, światło, struktura*; Galeria Sztuki Pałacu Kultury Zagłębia; Dąbrowa Górnicza, 2023.

O LINII, ŚWIETLE I STRUKTURZE –

z Aleksandrą Jakubczak rozmawia Andrzej Zembik

☞ Pisziesz o swoich pracach: „Trzy najważniejsze dla mnie i elementarne środki wyrazu artystycznego: (to) linia, światło, struktura”. A więc po kolei: linia...

Jest dla mnie najważniejsza. Pojawiła się ona jako pierwsza i definiuje całą moją twórczość. Układa i formułuje moje przestrzenie, zarówno dotyczące pejzażu naturalnego, ale też każdej innej przestrzeni. Pejzaż czasami łączę z fragmentami postaci ludzkiej. Pojawia się ona w formie intymnej, jednocześnie zakodowanej w znaki i nie jest tak dosłowna, prosta w swoim wyrazie. Często przetwarzam elementy przestrzeni, zawarte w niej obiekty i moduluję je. Stopniowe przekształcanie zobaczonych obrazów prowadzi do zupełnie innej postaci, do bardziej syntetycznej i lapidarnej formy.

☞ A światło?

Światło pojawiło się później. Ma ono dwoistą naturę. W moich pracach pojawia się światło materialne, w formie fizycznej, zarówno pod postacią światła naturalnego, jak i sztucznego. Światło przyczynia się do relacji jasności i ciemności, wzmacnia niektóre elementy oraz oddziaływanie danego koloru. Światło rozumiem też jako drogę do poznawania prawdy, dojścia do dobra, świata zmysłowego. Mocno wciąga nie tylko mnie, ale też odbiorcę, ponieważ jest tajemnicze i nieodgadnione.

☞ Pozostała jeszcze struktura...

Strukturę każdy interpretuje inaczej. Dla mnie struktura jest układem tych wszystkich elementów, środków formalnych, z których się składa obraz, zarówno materii, jak i faktury, światła,

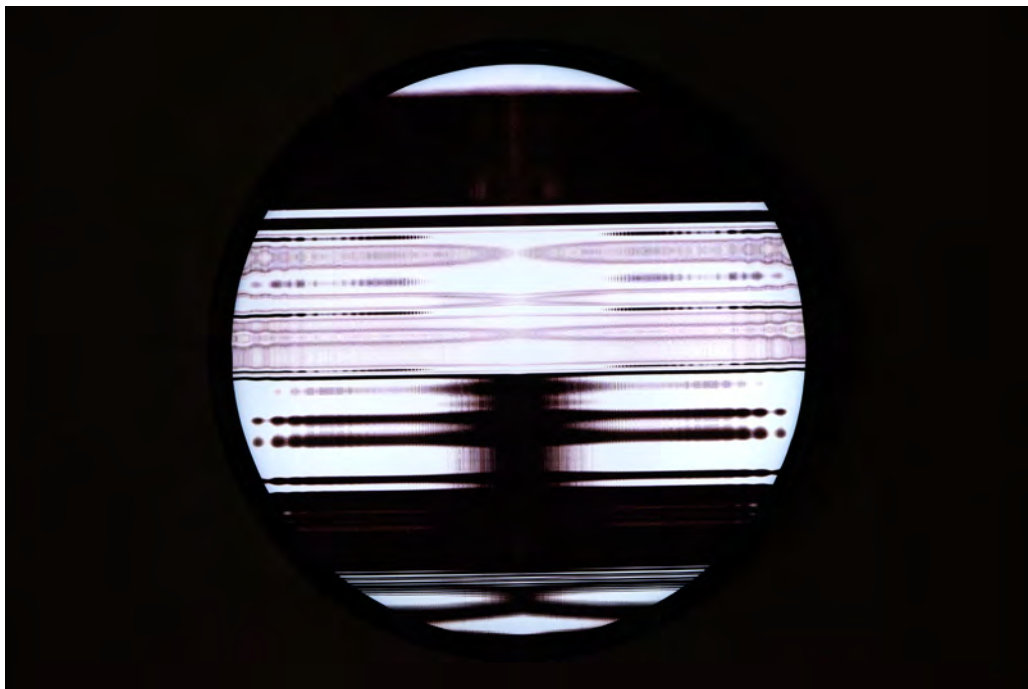
relacji bieli i czerni, a przede wszystkim linii, jedne są bardzo dynamiczne, inne wręcz proste i uspokojone. Te poszczególne elementy wzajemnie się dopełniają, tworząc harmonijny układ kompozycyjny.

☒ **„Kod obrazu” – tytuł Twojej ostatniej wystawy.**

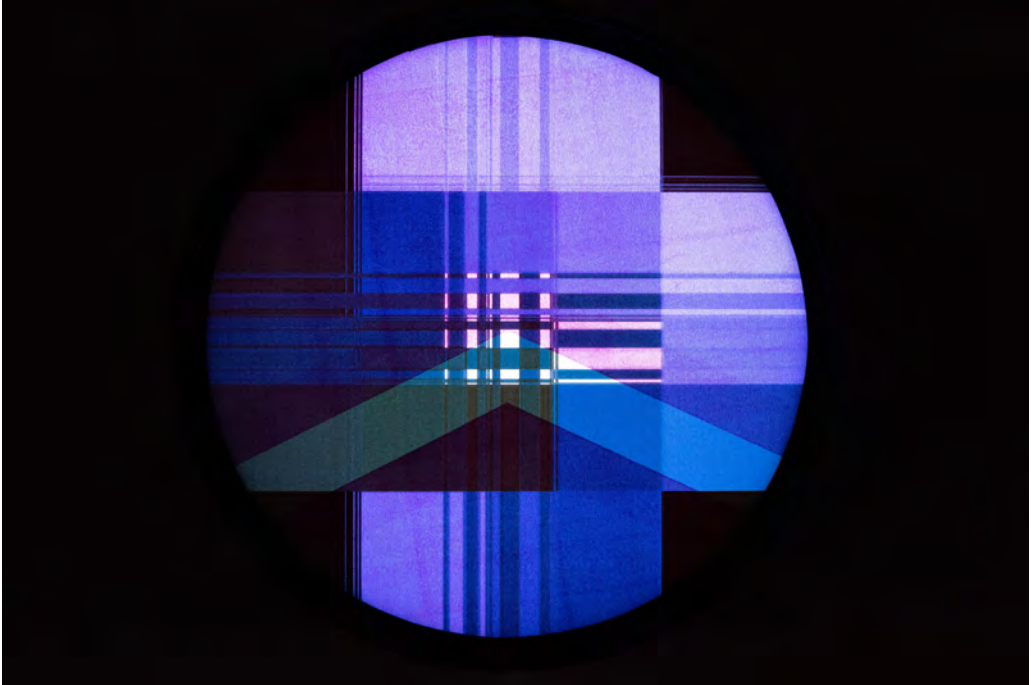
Tytułowy „Kod obrazu” stanowi wewnętrzny zapis obrazów, na który wpływ miały moje doświadczenia, emocje, wiedza. Kody w mojej głowie formułują się poprzez analizę świata realnego i później przekształcają się w formy rysunków, grafik, w których zawarte są elementy pejzażu i postaci ludzkiej. Obrazy zatytułowane „Kod obrazu” mają w sobie różne stany emocjonalne, które towarzyszyły mi w trakcie realizacji, różnią się zarówno pod względem kolorystycznym, jak i rysunkowym. Pojawia się inny ślad rysunku, czasami jest gwałtowny, narastający i ekspresyjny, a czasami wyciszony, harmonijny. Wszystkie te elementy łączę ze sobą i również z obrazami, które utkwily mi wcześniej w pamięci, dochodzi więc do zderzenia i mieszania się kodów, a w końcu do wytworzenia syntetycznych obrazów.

☒ **Twoje prace składają się jakby z warstw na wspólnej płaszczyźnie. Warstwami zakrywasz, ale też odkrywasz i deformujesz.**

Moje obrazy są zbudowane z wielu płaszczyzn barwnych, które łączę ze sobą. Mają za zadanie przysłaniać, ale też wyodrębnić poszczególne elementy. Te płaszczyzny również na siebie wpływają i dochodzi do przenikania jednej warstwy z drugą. Dochodzi również do odłączenia form. Mocne rozejście, wejście szerszej linii jest symbolem rozłamu, niepokoju, spowodowanym moimi wcześniejszymi doświadczeniami, relacją z ludźmi, z bliskimi, chorobą mamy. Po tych ciężkich sytuacjach zaczęły się pojawiać w moich realizacjach mocniejsze wejścia światła, cała forma nabrała nieregularnego kształtu.



Aleksandra Jakubczak, „Podświetlenie-pochłanianie 06”, lightbox – druk solwentowy na folii, 50x20 cm, 2022



Aleksandra Jakubczak, „Podświetlenie-pochłanianie 10”, lightbox – litografia, druk solwentowy na folii, 30x30 cm, 2022

Wszystkie moje prace odnoszą się do rzeczywistości, jednak ta rzeczywistość jest na tyle mocno zdeformowana, zmodyfikowana, że trudno odnaleźć elementy czy punkty w rzeczywistym świecie. Nie chcę przedstawiać rzeczywistości wprost, uwielbiam stosować skrótowość i lapidarność, dążę do oczyszczania, uspokojenia, do idealnej formy, która ciągle koduje informacje.

Szukasz harmonii?

Tak, szukam cały czas porządku i harmonii. To, co mnie otacza, staram się bardziej uporządkować i zsyntetyzować. Mam nadzieję, że kiedyś uda mi się dojść do pełnej harmonii, bo mam wrażenie, że moje formy w obrazie jeszcze nie do końca są tak zrównoważone, jak bym chciała. Myślę, że właśnie to światło, którym się posługuję, pomaga mi odnaleźć tę właściwą drogę, drogę do równowagi.

Wybór techniki?

W ostatnich latach jest to grafika artystyczna, szczególnie działam w druku płaskim na kamieniu litograficznym, jak również w druku cyfrowym. Wcześniej, zanim pojawiły się prace graficzne, tworzyłam obrazy w technice olejnej. Powstały wielopłaszczyznowe elementy malarskie, które bardziej przedstawiały pejzaż w formie rysunkowej, linearnej o grubym impaście.

Była też czarna kalka.

Wykorzystanie kalki było momentem przełomowym, inaczej zaczęłam kreować rzeczywistość obrazu, bo użycie czarnej kalki, która była narzędziem rysunkowym, zmieniło moje postrzeganie, wzmocniło inne bodźce. Wówczas działałam intuicyjnie, podświadomie, poprzez zapamiętywanie poszczególnych śladów, ponieważ czarna płaszczyzna kalki przysłaniała mi całkowicie

rysunek, obraz. Kalkę wykorzystywałam w moich pierwszych lightboxach¹, która, podświetlona, dawała negatywowo obraz.

Pytanie od odbiorcy – jak czytać Twoje prace?

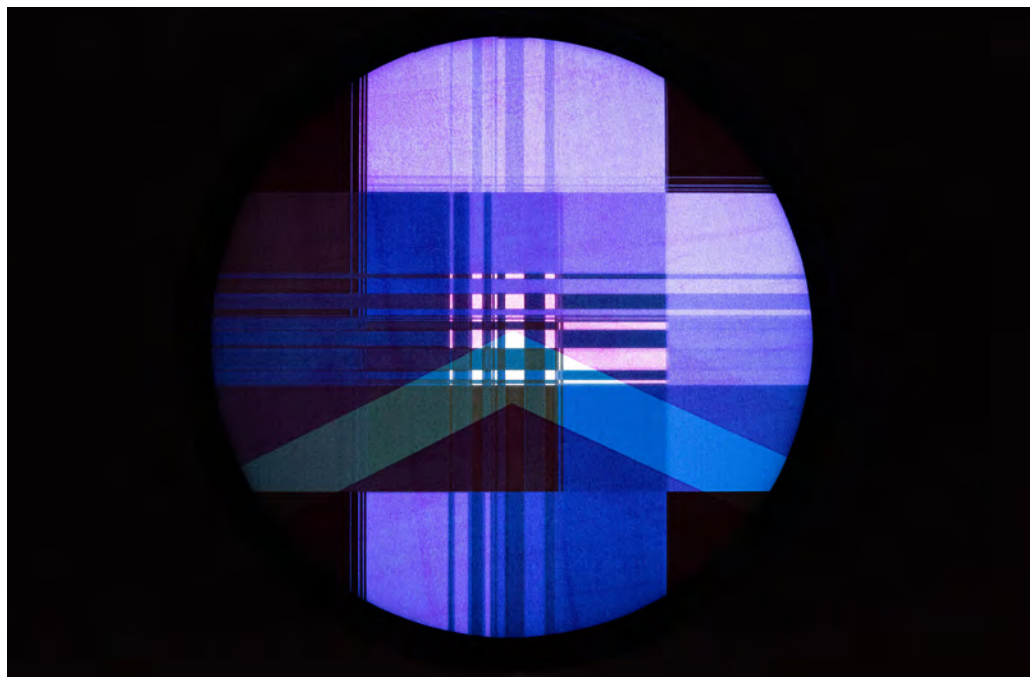
Początkowo kieruję go w stronę rzeczywistości realnej, przeobrażonej, jednak nie chcę za mocno sugerować odbiorcy, co dany element oznacza. Daję mu możliwość luźnej interpretacji, co dla mnie może być drogowskazem, który naprowadza, kieruje po części moją sztuką, prowadząc do kolejnych nowych rozwiązań.

Chcesz rozmawiać z tymi, którzy patrzą na Twoje prace?

Chcę odciągnąć widza od wirtualności, która nas zdominowała i pochłonęła. Nieustannie siedzimy przed komputerem, telewizorem, jakimś ekranem. Ludzie są dzisiaj uzależnieni od ekranów, jesteśmy przyzwyczajeni do kontrastu, do mocnego koloru, do ciągłych bodźców, ale również do przedstawień typowo realistycznych, które są proste w przekazie. Dlatego chciałabym zabrać widza i wprowadzić go poprzez to światło i też ekran, który istnieje w moich lightboxach, w świat sztuki analogowej.

To też jest pytanie: jaki jest dzisiejszy sens dzieła sztuki?

Pytanie trudne, bo każdy będzie ten sens widział w czymś innym i każdy zinterpretuje sztukę na własny sposób. Wszystko będzie zależało od doświadczeń odbiorcy. Czy moim sensem będzie prawda i dobro? Tego jeszcze nie wiem, ciągle jest to dla mnie pytanie otwarte, ponieważ nadal poszukuję i ciągle moje prace ulegają nieustannym przeobrażeniom.



Aleksandra Jakubczak, „Podświetlenie-pochłanianie 10”, lightbox – litografia, druk solwentowy na folii, 30x30 cm, 2022

1 lightboxy – autorskie, oryginalne instalacje graficzne, skrzynie świetlne, które są „negatywem obrazu, gdzie światło wyodrębnia rysunek, a tło kojarzone zwykle z bielą kartki jest jej odwrotnością, zanurzającą się w czerni”.

CO CZYNI WYSTAWA?

z Barbarą Major rozmawia Andrzej Zembik



foto: Piotr Dłubak

Co jest w sztuce ?

Nie wiem, prawdę mówiąc, czy jestem w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Bo co to jest sztuka? To jakiś worek pojęciowy, do którego wrzucamy różne wytwory, według często nieświadomych kryteriów, nadając im miano dzieła sztuki. Mogę spróbować powiedzieć, jak ja rozumiem dzieło sztuki, jaka wykładnia jest mi bliska. Dzieło sztuki, moim zdaniem, ucieleśnia cały proces wytwarzania go, który łączy się ze światem, z życiem, z miejscem, w którym to dzieło powstaje. Twórcy wyszukują formy dla oddania własnego doświadczenia tu i teraz. Korzystają z języka, obrazów swojego czasu, bo inaczej byliby niezrozumiali, nie oddaliby z pełną mocą tego, co chcą wypowiedzieć, ale ta moc musi także istnieć dla tych, którzy odbierają dzieło sztuki. To dotyczy każdego rodzaju dzieła: obrazowego, literackiego, muzycznego. Roland Barthes, znakomity francuski filozof i literaturoznawca, napisał kiedyś: [...] jakie teksty chciałbym napisać (prze-pisać), jakich bym pragnął, jakim przypisałbym moc w świecie, który jest moim światem”; odnosząc tę wypowiedź do wizualności, można mówić o szukaniu odpowiednich obrazów-form. Muszę przyznać, że ta refleksja Barthesa była i jest dla mnie bardzo istotna w podejściu do dzieła. Każde oglądanie, patrzenie na dzieło jest nadawaniem sensu dziełu, doświadczeniem spotkania z artystą i jego światem, wejściem w relację. Dla sztuki jest konieczny dialog. Oczywiście, że można stworzyć dzieło sztuki i ono może sobie gdzieś tam tkwić na stychu czy w piwnicy. To jest sam akt tworzenia. Ono istnieje, ale nie żyje. Czyli można powiedzieć, że w sztuce są relacje, jest dialog.

Co łączy Cię ze sztuką?

Zadawanie pytań. To, co jest mi bliskie, to chęć zrozumienia świata, w którym żyję i sposobu życia ludzi w tymże świecie. Artysta, twórca dzieła sztuki również zadaje pytania, choćby poszukując formy, które też są również jakimś pytaniem do świata. Mnie interesuje forma jako sposób wypowiedzenia świata, znalezienie mocy wypowiedzi i mocy obrazowania. Jako antropolog kulturowy zajmuję się sposobem życia ludzi, praktykami kulturowymi, działaniami, z którymi są związane wartości i znaczenia. A szczególnym rodzajem praktyk kulturowych jest tworzenie wytworów sztuki, dzieła sztuki, które wynikają z poznawania świata i czucia go. Jest to jednak inne spojrzenie niż na przykład krytyka sztuki.

Jak inaczej patrzysz na sztukę?

Moją perspektywą jest antropologia sztuki, powtórzę – antropologia zajmuje się sposobami życia ludzi, jednym z tych sposobów może być wytwarzanie dzieł, które zyskują miano artystycznych. Dlaczego te właśnie? Myślę, że zależy to od kręgu kulturowego, w którym powstają, z jakim światem się wiążą. I właśnie to „wiązanie”, jego kształt jest dla mnie istotny, ciekawi mnie. Nie interesuje mnie natomiast układanie wytworów artystycznych w określonych przegródkach-kategoriach, ocenianie ich, nie lubię tego robić.

Czym jest wystawa?

Przepraszam, ale właściwszym pytaniem jest dla mnie – Co czyni wystawę? Wystawa umiejscawia na widoku, eksponuje. Zebrane na ekspozycji dzieła współtworzą zdarzenie, nawiązują relacje ze sobą nawzajem i widzom, wszystkie one, na swój sposób, wypowiedzają się na temat postawionej kwestii. Wystawa dzięki temu wytwarza, konstruuje miejsce – pewien świat estetyczny, którego osią jest zadane pytanie. Można tu przywołać jeszcze jedno znaczenie słowa „ekspozycja” jako procesu naświetlania kliszy fotograficznej, w wyniku którego wyłania się obraz – niejednoznaczna, wielowarstwowa wypowiedź.

Pracujesz, tworząc wystawy problemowe – jak one powstają?

Stawiam pytania lub one same się nasuwają, następnie robię kwerendę, wyszukuję takie dzieła, w których są też zawarte te moje problemy i które jednocześnie, być może, zawierają odpowiedź na zadane przeze mnie pytanie, przynajmniej podejmują taki wysiłek. W ten sposób komponuję wystawę, czyli tworzę przestrzeń rozmowy, dialogu albo nawet polilogu. Chcę pokazać, że dzieła sztuki są swoistymi obrazowymi traktatami umiejscowionymi w biegu życia.

Co jest najtrudniejsze w komponowaniu wystawy?

Wyszukiwanie dzieł, które rozmawiają ze mną, rozważają te pytania, które stawiam. Drugim, właściwie przy każdej wystawie, momentem trudnym, jest aranżacja wystawy. Jak zbiorą się te wszystkie dzieła i już są obecne w salach wystawowych, to one przecież idą w różnych kierunkach i to trzeba tak ułożyć, aby z tego chaosu, tego krzyku, wypowiedzania się w różnych kierunkach idącego, zaczęła się rzeczywiście rozmowa. Ona nie musi być taka ugodzona, ułożona, nawet nie powinna taka być, ale jednak dążę do tego, aby zamknęła się w konsekwentną całość i to jest trudne. Ale jak już zaskoczy, to jest to największa satysfakcja.

Wybór tematu?

Ostatnia wystawa „Ja i Ty / Ja – Ono” realizowana w ramach 11. Triennale Sztuki Sacrum dotyczyła relacji między ludźmi, relacji bycia człowieka ze światem, z przyrodą, z sacrum. Te pytania powstały w wyniku sytuacji, czasu, w którym jestem, w którym my wszyscy jesteśmy,

gdzie te relacje pękają, rozchodzą się czy też wytwarza się dystans, niechęć, często nienawiść. To trudny czas.

Podobnie wystawa 9. Triennale „Wspólnota – Współczucie – Współczulość” była związana z problemami rozpadu wspólnoty, brakiem miłości w znaczeniu *agape*. To się dzieje, a ja szukam swojego rodzaju towarzyszy, „wspólności” widzenia problemów, swoistych sejsmografów czasu.

Najbliższe plany – przestrzenie dziś ważne dla Ciebie?

Muszę trochę odpocząć od rozpadu i zła, bardzo interesuje mnie w tej chwili pytanie o piękno. Ale nie piękno w znaczeniu kanonu, tylko pytanie – po co ludziom piękno, do czego jest im ono potrzebne, jak je wytwarzają, z czym się łączy itd. Pasjonują mnie te kwestie, nie wiem, czy to się przełoży na wystawę, zobaczymy.

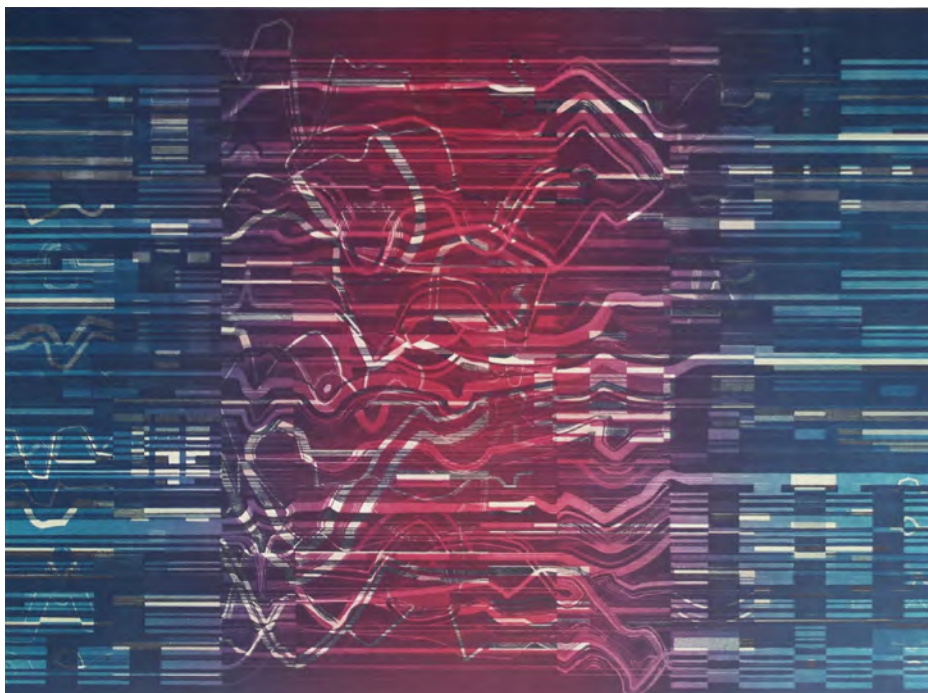


foto: Piotr Dłubak

Barbara Major – od 1992 roku pracuje w Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie na stanowisku starszego specjalisty ds. programowo-promocyjnych (kurator wystaw). Autorka koncepcji i kuratorka wystaw problemowych, m.in.: „Refleksja o śmierci. Tematy wyobraźni”, „Czas w fotografii. Czas fotografii”, „Żywoty zwierząt”, „Ślady. Dotyk czasu”, „Pejzaż dźwiękowy Częstochowy”. Wielokrotna kuratorka przeglądów sztuki współczesnej Triennale Sztuki Sacrum, redaktor i współredaktor wielu publikacji Miejskiej Galerii Sztuki. Autorka tekstów do katalogów oraz artykułów naukowych. W 2012 uzyskała tytuł doktora nauk humanistycznych na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Odznaczona Brązowym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.



Aleksandra Jakubczak, „ZŁE PE +-cz-n”, litografia na papierze, 57,2x77 cm, 2022



Aleksandra Jakubczak, „Kod obrazu 005+006[c-z-sprz-+enie)”, litografia na papierze i folii, 57x77 cm, 2017

Janusz Jano Mielczarek

GROCHOWIAK I NIE TYLKO

PO OKRESIE NIEPORADNOŚCI, jaka trwała u mnie do dwunastego – trzynastego roku życia, przemieniłem się w niepokornego nastolatka, licealistę, którego życiowym powołaniem miało być związanie życia ze sportem. Tak więc niewiele czasu poświęcałem sprawom szkolnym, a więcej barowym, bo wówczas przede wszystkim chadzali tam sportowcy. Jak więc mogłem interesować się czymś tak nudnym jak czytanie książek, a tym bardziej poezji?

Złożyło się jednak tak, że wrześnieowego dnia 1955 roku w mało romantycznym miejscu, bo w sąsiedztwie sklepu Centrali Rybnej obok skrzyżowania Alei Kościuszki z Aleją NMP, spotkałem krótko ostrzyżoną blondynkę w rdzawym sweterku.

I wtedy to strzałka mojej stabilnie ustawionej busoli zaszalała, a wkrótce też dowiedziałem się, co niesie ze sobą nazwisko Stanisław Grochowiak i po co czyta się książki. Był to czas, kiedy niespełna trzydziestoletni poeta po wielomiesięcznej wędrówce przez Bieszczady wydaje swój debiutancki zbiorek poezji *Ballada rycerska*, który staje się wydarzeniem na rynku czytelnictwa, a dla mnie jest nauką poezji.

I tutaj wreszcie przyszedł czas na informacje o związkach rodzinnych Stanisława Grochowiaka. Otóż: nastolatka w rdzawym sweterku to uczennica Liceum im. Słowackiego – Jolanta W. Jej mama, pani Irena W. z domu Dałek, pochodziła z Leszna i osiadła w Częstochowie przed wojną po ślubie z Edwardem W. z Poznańskiego, który w Alei NMP 12 (po schodkach) prowadził od przedwojnia dobrze prosperujący, elegancki sklep bławatny z materiałami do szycia na miarę.

W roku 1943 brat pani W., Dałek, pojął za żonę siostrę Stanisława Grochowiaka. W ten sposób połączyły ich koligacje rodzinne. Wesele, choć w warunkach wojny skromne, w domu, odbyło się w Częstochowie (na fotografii S. Grochowiak tańczy z czteroletnią wówczas blondynką, Jolantą W.).

W czasie, gdy trwała moja znajomość z państwem W., miałem okazję poznać interesujące osoby, zaprzyjaźnione z tą rodziną, o których należałoby wspomnieć: tryskająca erudycją i dowcipem, wplatająca w rozmowy dykteryjki o dyplomatach i dyplomacji pani Wanda Orzechowska, siostra częstochowskiego chirurga, przed rokiem 1939 sekretarka ministra spraw zagranicznych RP Józefa Becka.



Stanisław Grochowiak, 1943 r.

Wspomniany już wcześniej pan Dałek, szwagier S. Grochowiaka, wkrótce po wojnie był w Warszawie dyrektorem Instytutu Wzornictwa Przemysłowego. To za jego czasów z rąk polskich projektantów wyszły tak podziwiane dzisiaj cuda polskiego designu. Miałem okazję być tam zaproszonym i podziwiać je bezpośrednio w pracowniach projektantów.

W 1956 roku pojechaliśmy odwiedzić w szpitalu w Warszawie chorą mamę Joli, panią Irenę. Spotkaliśmy tam słynnego aktora i piosenkarza Aleksandra Żabczyńskiego, osobę niezwykle elegancką i dystyngowaną.

W listopadzie roku 1959, po ciężkiej chorobie, pani Wojciechowska zmarła. Pogrzeb odbył się w Częstochowie na cmentarzu Kule i uczestniczył w nim S. Grochowiak, co utrwalił słowem we wstrząsającym wierszu, który ukazał się potem w zbiorze *Menuet z pogrzebaczem*:

Stanisław Grochowiak

Portretowanie umarłej

Ileż się pani musiała nacierpieć, że
Ma pani taką białą twarz...
Że kiedy pani leży, włosy jej są jak druty,
A smutek wisi na uszach i brwiach.

Ileż się pani musiała nachodzić, że
Ma pani taką białą twarz...
Że kiedy pani tak leży z podszwami na wprost,
Sinieje gwasz.

A ja tu sterczę – kukła – a ja tu sterczę – kukła,
I utrwalam to wszystko dla sławy.
Och, jakże strasznie ta żyła jest wypukła,
Ta gruba, gruba żyła nad skrzywionymi brwiami!

Ileż się pani musiała nakrzyczeć, że
Umarła pani tak cicho. Tak słabo jak kura,
Że nie błysnął ani jeden – ani najdalszy – grzmot,
I rozplynęła się w kałużach chmura.



Ida Jadwiga Łubińska

W POSZUKIWANIU SZCZĘŚCIA

Szczęście to jedyna rzecz, która się mnoży, jak się ją dzieli.
(źródło: te myśli.pl)

NA PRZEŁOMIE LAT PODCZAS SPOTKAŃ ŚWIĄTECZNYCH I NOWOROCZNYCH składane życzenia w pierwszej kolejności dotyczą zdrowia i szczęścia. O zdrowiu najczęściej powiedzą lekarze i specjaliści z pokrewnych dziedzin. Jednak pytanie o szczęście, ale też bardziej filozoficzne, kim jesteśmy, dokąd zmierzamy, dopada nas na różnych etapach egzystencji. Rozważamy wtedy, co jest dla nas ważne i dobre. Kim chcemy być, czego chcemy się nauczyć, jaki jest nasz cel, jakim wartościom chcemy służyć, jakich ludzi spotykać, co ofiarować innym i światu. Pytania te należą do zestawu podstawowych dylematów człowieka, wyznaczają reguły obowiązujące na naszej planecie. Pytania uniwersalne, często wypowiedane, ale czy praktykowane, w pełni rozumiane i akceptowane?

Jak to najważniejsze pragnienie i marzenie człowieka było postrzegane na przestrzeni lat, jak je interpretujemy teraz?

Już przed kilkoma tysiącami lat mędrcy Wschodu przekazali ludziom definicję szczęścia, która nadal wydaje się przekonująca, „Człowiek szczęśliwy to ten, który żyje długo, zdrowo, ma wiele zainteresowań, jest ciekawy świata, nie dba o doczesne dobra”.

Przed dwudziestoma pięcioma wiekami podobnie nauczał Sokrates:

Szczęścia nie dają ani dobra zewnętrzne, ani dobra ciała, ale dają je dobra duszy, czyli udoskonalenie duszy za pośrednictwem cnoty, która jest poznaniem i wiedzą. Udoskonalanie duszy cnotą oznacza dla człowieka urzeczywistnienie najprawdźwsiwej jego natury, bycie w pełni sobą, pełną akceptacją siebie i to właśnie prowadzi człowieka do szczęścia¹.

Dwa wieki później Epikur z Samos w liście do przyjaciela napisał coś, co można przyjąć za ponadczasową dewizę życiową: „Osiągnięcie szczęścia [...] zależy od nas, jesteśmy za nie odpowiedzialni”².

Arystoteles, jeden z najwybitniejszych filozofów nurtu metafizycznego, którego poglądy były inspiracją dla późniejszych myślicieli uważał, że jeżeli ktoś pielęgnuje w sobie najszlachetniejszą cnotę – osiągnięcie szczęście (eudajmonię). Kluczem zaś do jej osiągnięcia jest ciągłe ćwiczenie, praca nad sobą.

Filozofia epoki hellenistycznej pomagała człowiekowi żyć, uczyła go, jak być szczęśliwym. Filozofowie tej epoki byli w istocie moralistami, głosicielami etycznego *credo*³. Filozofia moralna tego okresu wychodziła od bezpośredniego wyczucia życia, by następnie rozwinać je teoretycznie. Stworzono modele zachowań, które później pozostały prawdziwymi

1 G. Reale, *Myśl starożytna*, Wyd. Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin 2003, s. 112.

2 A. Marek-Bieniasz, *Europejska filozofia starożytna. Wybrani przedstawiciele i szkoły*, Wydawnictwo Akademii im. Jana Długosza, Częstochowa 2006, s. 129.

3 G. Reale, *Myśl starożytna*, s. 314

paradygmatami życia duchowego (epikureizm, stoicyzm i sceptycyzm)⁴. Filozofię rozumiano jako sztukę życia i mądrości praktycznej. Epikur definiował filozofię jako duchową sztukę medyczną leczącą zło duszy, a wszystko inne uznawał za niepotrzebne i puste gadanie. Także inni filozofowie tego czasu udzielali porad w tej dziedzinie, które zadawały przeciętnego obywatela.

Sokratejskie było przekonanie i jednocześnie wspólny mianownik wszystkich systemów hellenistycznych, że prawdziwym filozofem jest ten, kto potrafi wprowadzić harmonię i zgodność między nauką a życiem, między głoszoną teorią a sposobem życia i umierania. Warto jeszcze dodać takie przymioty człowieka szczęśliwego: potrafi unikać konfliktów, rozumie, że wszechświat na każdym poziomie rządzi się wyższą logiką.

Arcydzielami filozofów tego okresu były nie tylko księgi, lecz także propozycje, jak należy egzystować, by być szczęśliwym, spełnionym, jak łączyć doktrynę z życiem w sposób paradygmatyczny.

Zaproponowane idee potrzebne były ludziom ówczesnych epok. Nie były to słowa, które trwały krótki sezon, lecz takie, które przetrwały wieki i które także współczesnemu człowiekowi przeżywającemu kryzys dotyczący hierarchii wartości, odpowiednio przedstawione, mogłyby przekazać ważne przesłanie.

Zaprezentuję jeszcze opinię kontrowersyjnego XIX-wiecznego filozofa, myślę, że wartą przytoczenia. Według Fryderyka Nietzschego życie w spokoju, bez większych zmartwień, to pragnienie przeciętnych ludzi, które nie nadaje istnieniu większego sensu. Nietzsche nie zgadzał się z tym, że szczęście może być ciągłym dobrostanem. Czuł, że jest ono ulotne, krótkotrwałe i że może się skończyć w każdym momencie.

I dodam jeszcze jedną definicję szczęścia, bo jest poetycka i piękna. Wygłosił ją pewien guru: „W rękę masz pędzel i farby. Najpierw malujesz raj na ziemi, a potem do niego wchodzisz”.

W tej potrzebie nauczania, uświadamiania ludziom tradycyjnej filozofii, jest przekaz, że pewne wartości, cnoty, idee, w swoim jądrze są mądre, ponadczasowe i wieczne.

A może się mylę. Może otwarte pozostają pytania o sens życia, pytania o definicję szczęścia, bo w nowym, zindywidualizowanym świecie, kiedy pozwolono jednostce, człowiekowi, na dookreślenie się, zaznaczenie swojej tożsamości – tych definicji jest o wiele więcej. Są zróżnicowane, sprzeczne, a nawet nielogiczne i tak różne, jak różne są oczekiwania, marzenia i potrzeby współczesnych ludzi.

Czy rzeczywiście współczesne społeczeństwa mają tak zróżnicowane potrzeby, jak się głosi? Może to tylko iluzja. Wszak nie sposób nie zauważać postępującej globalizacji, wszechpanującej manipulacji naszymi wyobrażeniami o życiu, świecie, wydarzeniach.

Żyjemy pod presją reklamy, mody, licznych zobowiązań i ulegamy im. Zależy nam, by mieć, pokazać się, „błysnąć” znacznie bardziej niż nad tym, by zastanawiać się nad celem i sensem swojego życia. Uważamy, że w epoce najrozmaitszych wielotysięcznych informacji, propozycji, teorii – bez marketingu nie da się zaistnieć, nie da się zainspirować innych ludzi. Chociaż tradycja nieodmiennie głosi przekonanie, że nie warto na siłę szukać poklasku, starać się zasiadać w pierwszych rzędach... Zresztą: czy warto się zastanawiać? Jest tyle ciekawych podpowiedzi.

Gdzie leży prawda?

Rhonda Byrne w bestsellerze zatytułowanym *Sekret*⁵ przedstawia jedno z siedmiu praw, które decydują o osobistym szczęściu i sukcesie. Ten sekret to prawo przyciągania. Autorka uświadamia nam, że „podobieństwa się przyciągają, więc kiedy snujesz jakąś myśl, przyciągasz do siebie myśli podobne”. Fragmenty *Sekretu* odnaleźć można w ustnie przekazywanych

4 Tamże, s. 314

5 R. Byrne, *Sekret*, tłum. Jan Kabat, Wyd. Nowa Proza, Warszawa 2010.

opowieściach, literaturze, religiach i filozofiach, istniejących na przestrzeni wielu wieków, po raz pierwszy jednak wszystkie te kawałki złożone są w jedną całość.

Louise Hay, inna propagatorka pozytywnego myślenia, przedstawia problem szczęścia bardziej obrazowo. W sugerowanej przez siebie wizualizacji⁶ proponuje czytelnikom, by wyobrazili sobie bezmiar oceanu. Nad jego brzegiem stoi gromada ludzi i czerpie z jego zasobów życiodajny płyn (symbol ich pragnień, marzeń i potrzeb). I choć zasoby oceaniczne są niewyczerpane, jedni zanurzają w oceanie wiadra, inni używają pompy tłoczącej do stałego poboru wody, ale są też tacy, co nieśmiało łyżką nabierają drogocenny płyn.

Pytanie: czy potrafimy korzystać z niewyczerpanych możliwości, jakie ofiarowuje nam ocean życia? Czy potrafimy zadbać o szczęście?

Według R. Byrne myśli są magnetyczne i odznaczają się określoną częstotliwością. Kiedy powstają w naszej głowie, są wysyłane do wszechświata i przyciągają podobne treści. Bowiem wszystko, co od nas wyszło, powraca do źródła, do człowieka. Jesteśmy jak wieża transmisyjna, która emituje określoną częstotliwość za pomocą myśli. Jeśli chcemy cokolwiek zmienić w swoim życiu, musimy zmienić częstotliwość naszych wyobrażeń o sobie, bo one tworzą przyszłość naszą i naszych bliskich. Przybierają formę rzeczy.

Prawo przyciągania to prawo natury. Jest bezosobowe i bezstronne jak prawo grawitacji. Wszystko, co nas otacza, przyciągnęliśmy sami (lęki, zdrady, partnerów-alkoholików, biedę). Nie można mieć dobrych myśli i czuć się nieszczęśliwym. Nasze uczucia to odpowiedź zwrotna z wszechświata.

Wierzę, że w tej wrzącej emocjami niestabilnej rzeczywistości, w tyglu ginących wartości pomoże umiejętność samodzielnego myślenia – i w tym kierunku należy podążać.

Profesor Tatarkiewicz wyróżniał dwa aspekty szczęścia⁷: szczęście obiektywne i subiektywne, odnosząc je do oceny jakości życia. Szczęście obiektywne definiował jako trwałe, pełne i uzasadnione zadowolenie z życia – i to ono stanowi podstawę szczęścia subiektywnego.

Jeśli więc umysł decyduje o stanie ducha, o szczęściu i o zdrowiu, dlaczego tak trudno zbudować w sobie pozytywne przekonania? Dlaczego w naszym życiu tyle łez, niezadowolonia, nieszczęść? Dlaczego swoich wysiłków nie przekuwamy w sukcesy? Czemu nie doceniamy cudu, jakim jest samo życie? A jak się ma do wszystkich tych argumentów wierszowana formułka szczęścia?

Pracuj, jakbyś nie potrzebował pieniędzy,
Kochaj, jakby nikt cię nie zranił,
Tańcz, jakby nikt nie patrzył,
Śpiewaj, jakby nikt nie słuchał,
Żyj, jakby to było niebo na ziemi.
[źródło: te.myśli.pl]

Czy to pasuje? Nie? To trzeba jeszcze raz się zadumać. Utrwalić w swojej świadomości przekonanie, że o szczęściu nie decyduje to, co nam się w życiu przydarza, ale jak na to reagujemy. Wszak wiemy już, że jesteśmy tym, co o sobie myślimy, że naszymi myślami tworzymy świat.

Te rozważania podsumuję cytatem z Nathaniela Brandena: Twoje życie się liczy. Ty się liczysz. Walcz o swój najwyższy potencjał, walcz o swoje szczęście. Nie poddawaj się bierności.

6 L. Hay, *Możesz uzdrowić swoje życie*, Wyd. Medium, Czarnów 2007.

7 W. Tatarkiewicz, *O szczęściu*, PWN, Warszawa 2012.

Więc czym jest szczęście? Czy potrafimy podać jednoznaczną definicję i zatroszczyć się o nie? Prawdopodobnie każdy z nas ma osobisty koncept na ten temat. We wszystkich bowiem aspektach jesteśmy trochę inni lub trochę podobni.

Colin Sisson, metafizyk i filozof zasugerował jeszcze inne spojrzenie na omawiany problem:

bycie nieszczęśliwym w chwili terażniejszej jest niemożliwe. Teraz – to doskonała wolność. Sam możesz się o tym przekonać. Kiedy jesteś podenerwowany lub zaniepokojony, obserwuj, jak to uczucie związane jest z przeszłością, czyli z tym, co się już wydarzyło, lub z przyszłością, czyli tym, co sobie wyobrażasz, że się wydarzy. Żale z powodu przeszłości lub lęk przed przyszłością są jak dwaj złodzieje rabujący nasze szczęście⁸.

Rzeczywiście, nauczono nas unikać chwili obecnej. Widać to w sytuacjach, kiedy ktoś jest pozostawiony samemu sobie i nic go nie rozprasza. Szybko ogarnia go niepokój i znużenie. Gorączkowo szuka jakiegoś zajęcia, które odwróci go od największego skarbu, jaki ma, od samego siebie. Reasumując: jedyny czas, jaki istnieje, to teraz. Przeszłości już nie ma, a przyszłość jest tylko następnym etapem do przeżycia. Kiedy zaś przybędzie – jest teraz. Teraz jest wszystkim, co jest.

Wieczne TERAZ opisywano jako doznania nieba, absolutu, Boga, prawdy, nirwany. Nazwa nie jest ważna. To doskonały spokój, który istnieje między dwiema myślami, dwiema emocjami, doskonały spokój, który istnieje między dwoma czynami. To stan ducha!

Reasumując: żeby być szczęśliwym, trzeba trzymać się terażniejszości. Wielu ludzi tylko pozornie żyje tu i teraz. W rzeczywistości są mieszkańcami odległych czasów. Jedni żyją pięć lat temu, inni dwadzieścia albo nawet pięćdziesiąt... Rozpamiętują: szkoda, że nie zostałem po studiach we Wrocławiu... Chociaż może jednak lepiej, że wróciłem w rodzinne strony, ale z drugiej strony, gdybym został, pewnie zrobiłbym karierę naukową. Albo: szkoda, że ożeniłem się z Hanią, a nie z Magdą. Jest taka zaradna. Albo.., albo... I tak w kółko. Człowiek zajęty rozpamiętywaniem przeszłości pozwala umknąć terażniejszości. Rezygnuje z uczestniczenia w tu i teraz.

A dla mnie – czym jest szczęście? Czym?

Szczęście jest:

- chwilą, którą chcę zatrzymać,
- krajobrazem, który chcę utrwalić w pamięci,
- dotykiem, który przyprawia o dreszcz,
- melodią, która sięga niebios,
- miłością, prowadząca do zatracenia,
- spotkaniem, które kreuje nową rzeczywistość,
- wydarzeniem, które odmieni świat – na lepszy...
- i nadzieją, że szczęście o mnie nie zapomni!



8 C.P. Sisson, *Wewnętrzne przebudzenie*, Wyd. Medium, Czarnów 2000, s. 213.

Tomasz „Aztenty” Barański

OPERA – NAJABSURDALNIEJSZA ZE SZTUK (ale i największa)



SPĘDZIĆ WIECZÓR W OPERZE? Słusznie Państwo wybrali. Nie czarujmy się – nic tak nie uszlachetnia jak spektakl operowy, w dodatku w jakimś zacnym budynku – świetnie zaprojektowanym, przyozdobionym, reprezentującym określony styl architektoniczny – jak na przykład Teatr Wielki w Warszawie czy choćby w Łodzi. W ubiegłym roku napisałem dwaście sztuk i jedną operę... – to oczywiście fikcja, ale daje pogląd na to, ile w rzeczywistości wart jest jeden spektakl operowy! Cóż wie o operze zabiegany człowiek współczesny?

Spojrząwszy trzeźwo, opera jako taka jest widowiskiem dość absurdalnym (czy też w ogóle sztuką absurdalną), a nawet nienaturalnym – bo jak to możliwe, aby dwie lub kilka osób rozmawiały ze sobą... śpiewając, jednocześnie niesłuchanie się przy tym wysilając! – na dodatek bohaterowie oper zwykle są ofiarami głęboko urojonych problemów miłosnych, które prowadzą najczęściej do zbrodni.

Ale po kolei. *Słownik mitów i tradycji kultury* Władysława Kopalińskiego mówi:

Opera to utwór dramatyczno-muzyczny, w którym całe libretto jest śpiewane, a podstawowymi czynnikami są partie wokalne, solowe i chóralne, partie instrumentalne (wykonywane głównie przez orkiestrę) i wstawki baletowe; wstęp instrumentalny nazywa się zazwyczaj uwerturą. Operą nazywa się też gmach, w którym odbywa się przedstawienie.

Jako ciekawostkę można podać fakt, iż za *ancien regime'u*, czyli w czasach komuny, jednym z pierwszych obszarów, jakie chciano udostępnić „chłopom, robotnikom i innym pokrzywdzonym przez historię”, była sztuka wysoka. I rzeczywiście, to akurat niesławnej komunie się udało, głównie chodziło chyba jednak o zniwelowanie bariery psychologicznej co do tego, kto może chodzić do opery (właśnie!). Dowiedziałem się też, że w latach sześćdziesiątych i później, za sprawą nieocenionego Jerzego Waldorffa organizowane były specjalne „pociągi operowe” dla wszystkich chętnych z Warszawy do Łodzi i na odwrót. Łódź specjalizowała się w operze, a Warszawa w balecie.

Spektakli operowych zaliczyłem w życiu tylko kilka, ale zawsze było to dla mnie wielkie przeżycie. Ostatnio odwiedziłem Teatr Wielki – Operę Narodową (ściślej Salę Moniuszki), a w nim operę „Traviata” Giuseppe Verdiego. Zanim podzielę się wrażeniami z przedstawienia, kilka słów o samym budynku (na zewnątrz i w środku). I znów odwołam się do słownika Kopalińskiego:

Teatr Narodowy w Warszawie, otworzony przez Stanisława Augusta w latach 1765–1779, w budynku na placu Krasińskich – nazywany jest oficjalnie „Narodowym” od roku 1807. Kierował nim Wojciech Bogusławski. W 1833 roku przeniesiony został do nowego gmachu na placu Teatralnym, gdzie większą salę zajęła opera, a mniejszą teatr dramatyczny. Wówczas też władze rosyjskie zmieniły nazwę na Teatr Wielki.

Wspaniały i imponujący gmach zaprojektował wybitny architekt Antonio Corazzi (1792–1877). Robiący kolosalne wrażenie budynek ozdobiony jest trójkątnym tympanonem, wieńczącym kolumnadę nowo wzniesioną kwadrygą, dodającą mu jeszcze więcej splendoru (w XIX w. nie chciał się na nią zgodzić car w odwecie za powstanie listopadowe). Zresztą widok ten jest chyba wszystkim znany choćby z pocztówek. Oczywiście, jak to jest obecnie w modzie, budynek pięknie jest oświetlony (podświetlony), wewnątrz olśniewające sale kolumnowe, bogato zdobione sklepienia oraz schody zaślane czerwonymi dywanami (jednym słowem luksusowo). Naturalnie sama scena ogromna (największa na świecie!) i oszałamiająco udekorowane balkony (niestety, bez łóż) – w tak dużym teatrze jeszcze nie byłem.

„Traviata” należy do żelaznego repertuaru światowej sceny operowej. Verdi, wybitny twórca opery włoskiej, odznaczającej się mocno zarysowanymi postaciami, oryginalną orkiestracją i wpadającymi w ucho melodiami, żył w latach 1813–1901, był zwolennikiem zjednoczenia Włoch i wiele z jego wczesnych oper identyfikowano ze sprawą narodową, m.in. „Nabuchodonozor” (1842), dzięki której ustalił swą pozycję. Z innych dzieł trzeba wspomnieć „Rigoletta”, „Aidę”, „Trubadura” i właśnie „Traviatę” (1853).

Ta ostatnia – to opera w trzech aktach, do której libretto wg *Damy Kameliowej* Aleksandra Dumasa syna napisał Francesco Maria Piave. Prapremiera miała miejsce w Wenecji 6 marca 1853, premiera polska w 1856 r. Nie będę streszczał libretta, bo większość zna tę historię z książki i filmów. W dniu premiery „Traviata” była kłapą – w przeciwieństwie do sukcesów na przykład „Trubadura”. Podawano różne powody niepowodzenia, przyczyna leżała jednak w samej treści dzieła, mieszczańska publiczność gorszyła się bowiem, iż bohaterką opery jest upadła kobieta, a jej perypetie rozgrywają się współcześnie. Verdi był obecny na przedstawieniu w paryskim teatrze, obserwował sensację, jaką wzbudziła sztuka i nie żałował ukazania na scenie operowej realizmu współczesnego życia, wyprzedzając o kilkadziesiąt lat kierunek zwany weryzmem.

Odnośnie zaś inscenizacji w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej, to premiera jej wystawienia w reżyserii Mariusza Trelińskiego miała miejsce 25 lutego 2010 r., partię głównej bohaterki wykonała wówczas znakomita polska światowej sławy sopranistka Aleksandra Kurzak.

Moje obcowanie z operą rozpoczęło się, gdy usłyszałem grane przez orkiestrę pierwsze dźwięki uwertury i dotarło do mnie, że to jest na żywo, nie z radia ani płyty, a melodia unosiła się, unosiła, wpadając do ucha niczym „zielone kłaczki wiosennego powoju...”. Oczywiście najważniejszy był śpiew, a ponieważ nie mam wielkiego doświadczenia w zakresie jego odbioru, więc tym bardziej byłem urzeczony tym, co widziałem i słyszałem i był to dla mnie obraz ideału, a wręcz muzyka mnie zachwycała.

Realizacja przedstawienia odbyła się w scenerii i kostiumach nam współczesnych (coraz bardziej zaczynam się przekonywać do tego typu realizacji, gdyż kiedyś wydawało mi się, że lepsza byłaby wersja w strojach historycznych, z epoki – ale czasy się zmieniły i w końcu doszedłem do wniosku, że takie nowoczesne ujęcie jest korzystniejsze dla ogólnego spojrzenia). Przeżyłem niemal szok scenograficzny, niesamowite efekty specjalne typu padającego kolorowego śniegu, a także wspaniałe stroje, szczególnie baletu, poza tym przesuwane się wraz z artystami ogromne sceny – bo Teatr Wielki posiada, rzecz jasna, scenę obrotową. W pewnym momencie ujrzeć było można teatralne kuluary – ukazane bardzo realistycznie, a nawet łazienkę z umywalkami i pisuarami! – co u niektórych wzbudziło zgorzelenie. Niemalłym zaskoczeniem była też dla mnie brechtowsko pusta scena w akcie II.

Autorką kostiumów jest znana projektantka Gosia Baczyńska. Wyjątkowe wrażenie zrobił na mnie strój cyganki w balecie – długa, błyszcząca, srebrna suknia sięgająca podłogi, ubrana w nią artystka stała na wysokim postumencie, a u dołu tancerze bezlitośnie nią szarpali.

W programie do przedstawienia można przeczytać m.in. tekst autorstwa Haliny Bortnowskiej, którego fragment przytaczam:

Spektakl, na który patrzymy – w którym uczestniczymy – odbywa się na tle świata, w którym prawdziwi ludzie umierają naprawdę. Właśnie w tej chwili ich ostatni oddech. Umierają różnie, w najrozmaitszych okolicznościach. Różne życie, różne umieranie, śmierć jako kres chyba zawsze jest tym samym. Mało o niej wiemy. Tyle, że zamyka umieranie, zamyka życie. Umieranie to też życie!

Mariusz Treliński jest absolwentem reżyserii w łódzkiej „filmówce” i można dostrzec ową kinowość i telewizyjność, co dla mnie stanowi synonimy realizacji nowoczesnej. Sam nie mam śmiałości wypowiedzieć się na temat jej szczegółów, zatem przytoczę fragment wspomnianego już programu:

Nieoczywiste, niedosłowne, niedookreślone – takie są realizacje Mariusza Trelińskiego (ur. w 1962 r.), reżysera i dyrektora artystycznego Teatru Wielkiego – Opery Narodowej. W każdym ze swoich przedstawień łączy on piękno muzyki klasycznej ze współczesną interpretacją i nowoczesną estetyką, w każdym prowadzi dialog z operową konwencją, burzy schematy. Emocje zapisane w librecie przenosi we współczesny świat – niepokojący, symboliczny, pozostawiony bez łatwych odpowiedzi. Jego przedstawienia pokazywane były najbardziej wymagającej publiczności.

Zauważyłem, że widzowie ubrani byli bardzo starannie, wielu nawet w stroje wieczorowe! Następnym razem i ja założę muszkę. Podsumowując: wszystko to podziało na moje zmysły, muzyka, gmach i cały ten *entourage* sprawiły, że poczułem się niezwykle uwznioślony.

Małgorzata Nowakowska-Karczewska

HIPOKRYZJA

Mieszaj, zdradzaj, kłam śmiało – będziesz panem pewnie.
(Adam Naruszewicz)

NATURA LUDZKA ZAISTE MOCNO NIEDOSKONAŁA, rzadko kto – jak pisał Naruszewicz – „idzie cnót chwalebny torem”. Ignacy Krasicki także nie miał złudzeń co do ludzi, słabość charakterów sprawia, iż:

Tych złość zaślepia,
Tych zysk zasklepia,
Tych sława ludzi,
Tych zazdrość budzi, (...)
Ci nic nie myślą.

A i dziś trudno nie podzielać tych opinii. Człowiek zawsze pożądał tego, co schlebia próżności – władzy, bogactwa, sławy, zawsze gotów był wybrać pokrętne drogi, by cel jak najszybciej osiągnąć. A spieszyć się – zdaniem wielu – trzeba, by skosztować uciech życia wtedy, gdy smakują najbardziej. Wszak choćby Wespazjan Kochowski doradzał:

Człowiek w następującej dalszych lat jesieni
drugi raz nie odmłodnie ani się zieleni.
Przeto kwitnącej pory lat twych użyj snadnie,
Już się ten kwiat nie młodzi, kiedy raz opadnie.

A pokus wszelakich czyha mnóstwo, ot choćby owo: „Ciałko niewieście ku wejrzeniu i dotknięciu jak najrozkoszniejsze, subtelnuchne” – które z taką lubością opisywał Henryk von Nettesheim – bo to i „skóra na nim piękna a ślniaca, (...) poźrzenie wesołe, (...) nosek kształtowny, (...) usta rumieniuchne”. Nie dziw tedy, że wielu ulegało zauroczeniu, porywom namiętności, zwykle szybko mijającym, gdy pojawiała się kolejna fascynacja. Na zbyt „gorącą” krew radzono ongi szczawiowy sok, nie sięgał poń pewnie – o czym świadczą pikantne szczegóły biografii – Francesco Sforza. W ramionach kolejnych, coraz młodszych kochanek koił – jak uważano – swój kompleks bękarta (był nieślubnym synem kondotiera). Francesco, choć miernego rodu, z czasem został księciem Mediolanu, lawirował zręcznie między kobietami nie tylko, by pysznić się kolejnymi zdobyczami, ale i zaspokoić swoje ambicje polityczne. Nadzwyczajna sprawność seksualna Sforzy stała się nawet przedmiotem plotek rozmaitych, posądzono go nawet o zawarcie paktu z diabłem. Przed legatem papieskim, który badał sprawę, obronił się, zręcznie przypominając, jak wielu duchownych ślubów czystości nie przestrzegало.

Rozmaitym pokusom nie oparł się także Samuel Pepys. Wabiły trunki, no bo jak tu nie napić się wina, gdy podano choćby smakowite flaczki wedle wyjątkowego przepisu, a pan Samuel lubił dużo i dobrze zjeść. W swoich dziennikach wkrótce szczerze przyznawał: „Postrzegłem, że z moją głową źle od picia nad miarę”, potem już nie tylko głowa, ale i nerki boleśnie przypomniały o sobie. Walkę z tymi skłonnościami wygrał, choć wyrzec się nie było łatwo:

„ślubowałem nie pić przez cały tydzień wina (...), ale złamałem ten ślub, co mnie bardzo strapiło”. Wdziękom niewieściom Pepys także nader często ulegał. Młodziutka żona początkowo wypełniała myśli, w codziennych zapiskach pojawiają się czułe słowa – „cudnie dziś wyglądała” – wkradają się podejrzenia – „zazdrość nabija mi głowę tysiącem domysłów” – z czasem powaby Elżbiety obojętnieją – „chętnie bym pogonił za jakąś uciechą” – wyznaje. W ramionach wielu kobiet szuka nowych emocji, coraz trudniej oprzeć się pokusom. W dziennikach szczerze pisze o swoich uczuciach, słabościach, ambicjach. Często żałuje swojej porywczosci, ukojenia szuka w muzyce, gra na wielu instrumentach, śpiewa. Sumiennie nadzwyczaj wykonuje swoje obowiązki urzędnicze – czasy, choć bardzo niespokojne, pozwalały szybko się wzbogacić, zdolny i pracowity pan Samuel nie ominął okazji.

Człowiek przed sobą – choćby na kartach szyfrem pisanych dzienników – łatwiej zdobywa się na szczerość, wobec innych często gra różne role, przyobleka maski, im bardziej obłudny, tym chętniej. Warto zachować czujność, nie dać się zwieść pozorom szlachetności, nierzadko wszak bywa, że: „Hultaj namiętnie lubi odgrywać rolę dystyngowanej osoby” – jak mówi jeden z bohaterów komedii *Pocieszne wykwintnisie* Moliera. Zabrakło jej tytułowemu bohaterkom i przeżyły srogie rozczarowanie. Wiele głupstw popełnił też Orgon, wszak – „Naiwność ludzka bezmierną czasami” – który dał się zwieść pozom przebiegłego „świętoszka”. Ludzie pokroju Tartuffe’a często cynicznie wykorzystują równie naiwnych dla własnych pokretnych korzyści, świętoszek wręcz przyznaje, że Orgon to: „człowiek stworzony, by go za nos wodzić”. Sprytny podstęp pozwolił „obnażyć (...) duszę obłudną” Tartuffe’a i zapobiec rodzinnej tragedii, w życiu nie zawsze ratunek przyjdzie w porę.

A niesłuchanie celnie wszelkiej maści fałszywców – którzy tak kiedyś, jak i dziś z upodobaniem stosują potwarz, by poniżyć innych – opisała obdarzona przez Moliera sprytem i ciętym językiem pokojówka Doryna:

Tacy (...)
Szerząc o czynach drugich zmyślane gawędy,
W oczach świata złagodzić pragną swoje błędy
I zręcznie je przybrawszy kształtem podobieństwa,
Niewinnością zabarwić własne bezceństwa
Lub na innych przerzucić obłudnym zapałem
Część hańby, która dotąd była ich udziałem.

Książę (...) nie ma potrzeby posiadać (...) cnót,
musi on tylko udawać, że je posiada.
(Niccollo Machiavelli)

Hipokrytów wyjątkowo wielu wśród ludzi władzy. Gotowi – acz jedynie do czasu, gdy osiągną – zapewniać, że działać będą w imię prawa, wiary, przywrócenia normalności, sprawiedliwości itp. W rzeczywistości nie przyświecają im żadne wyższe racje, jedynie głód władzy, zaszczytów, obietnic tedy się nie dotrzymuje, co chyba coraz mniej dziwi, w świecie polityki dawno już – jak pisał Adam Naruszewicz – „Wstyd poszedł na tandetę”. Prawa są łamane, a dla usprawiedliwienia nadużyć władzy zaprzęga się – i tu znów odwołam się do Naruszewicza –

(...) gazety fałszywe, co się w pustych rodzą
Głównicach, a lud prosty bałamuctwem zwodzą.

Ów świat intryg, zawiści, donosicielstwa, potwarzy, egoizmu, cynizmu, niełojalności wielu wabi, leczą tu swoje kompleksy czy doznane od losu krzywdy, i w dodatku – tu znów pomoże mi nieoceniony pan Adam Naruszewicz:

(...) kto ma potęgę
To anioł, choć łże, zbija, choć łamie przysięgę
Wszystko mu wolno broić, byle wlaźł na górę.

Kto zasmakował władzy, natychmiast szuka sposobów, by jej nie utracić. Można tedy najbardziej oddanych służalców „wykierować do urzędów, deputatom wrogiego stronnictwa uniemożliwić pełnienie obowiązków w trybunale pod pretekstem, że ciąży na nich wyrok sądowy lub nieprawnie obrani. Dowody podobnych praktyk odnajdziemy choćby w *Opisie obyczajów* Jędrzeja Kitowicza. Usprawiedliwienie znaleźć nietrudno, gdy – jak zauważył Adam Naruszewicz:

Każdy sobie sumnienie czyni z własnej chęci
I słuszności pozorem jawne zbrodnie święci,
Głuchy na wszystko, kiedy o prywatę chodzi,
Biało z czarnym, lód z ogniem łatwo dla niej zgodzi.

Lawirować zręcznie w świecie polityki, z niewątpliwą korzyścią dla własnych interesów, potrafił Charles-Maurice de Talleyrand-Perigord.

Miał opinię człowieka podłego, kochającego intrygi, pieniądze i wszelkie rozkosze życia, był jednym z takich, o których Ignacy Krasicki napisał w swej bajce: „I dary weźmie, i przysięgi złamie”. Lekko podchodził do swoich zdrad, zmian poglądów, to jemu Napoleon rzucił w twarz tak dosadne słowa: „Jest pan tylko łajnem w jedwabnych pończochach”. Pewnie różne urazy tkwiące w psychice od dzieciństwa, żal do rodziców choćby, miały wpływ na przemożne pragnienie uznania, które zawsze cechowało Talleyranda. Sprytnie chwycił okazje, knuł, szpiegował, kaptował sojuszników, zręcznie posługiwał się pochlebstwem. Dla różnych niegodziwości – które sprawiły, że adwersarze, coraz liczniejsi z biegiem czasu, nazwali go patriarchą zdrady czy wielkim szubrawcem – zawsze znajdował wykręty. Wiele z nich zawarł w swoich pamiętnikach, na sprawiedliwość wieków składał „troskę o odmierzenie należnego udziału chwały lub bezceństwa”. Historia rzeczywiście nie odmówiła mu nadzwyczajnych umiejętności dyplomatycznych, biegłości negocjacyjnej, podkreślano wykwintne manieri, subtelny dowcip, ale nieprawości nie zapomniano. On sam także nie zapomniiał, kiedy nadeszła starość, coraz trudniej było uciszyć sumienie, wygnać dręczące myśli, bezsenność sprzyjała rozpamiętywaniu przeszłości. Hipochondria i coraz bardziej szwankujące zdrowie sprawiały, że Talleyrand, ów „rozkapturzony mnich” – jak go niektórzy nazywali, przypominając lata krótkiej posługi Kościołowi – wertował nabożne księgi, gorliwie uczestniczył w mszach, a niedługo przed śmiercią zapisał, że czuje: „Lęk przed tym, co się zbliża i obrzydzenie do przeszłości”.

Godną przemyślenia będzie też może opinia o Polakach, jaką Talleyrand wyrobił sobie już po niezbyt długim pobycie w Warszawie: „gwałtowny i płytki charakter Polaków, żadnej dyscypliny, żadnego porządku”.

Mechanizmy władzy, fałszywą moralność rządzących świetnie pokazuje też znana powiastka George'a Orwella *Folwark zwierzęcy*. Początek zwykle podobny: by zdobyć władzę, trzeba znaleźć i zniszczyć wroga rzekomo odpowiedzialnego za całe zło, a zapanuje wolność, dostatek itp. A zatem niech to będzie: „Wszystko, co chodzi na dwóch nogach, jest wrogiem”. Potem trochę sloganów, owych „Siedem przykazań”, jakie „obowiązywać będą w tym nowym lepszym świecie”. Przyda się bez wątpienia jakiś Squealer – szef propagandy, zręczny dezinformator – i stado owiec, którymi łatwo manipulować. Pewnie i jakiś Minimus, pismak pochlebca, który sławić będzie przywódców. Rychło – jak zwykle w dziejach – łamie się ustalone zasady, Siedem przykazań okazuje się być jedynie zbiorem pustych sloganów, siłą tłumi się wszelkie zarzewia buntu. Napoleon, najbardziej bezwzględny spośród zwycięskich świń, cynicznie oskarży Snowballa o rzekomą zdradę, a sobie przypisze zasługi rywala – choćby pomysł zbudowania wiatraka. A szef propagandy przekona, że w istocie to Napoleon wszystko wymyślił i zaprojektował: „Squealer mówił tak przekonująco, a trzy psy, które mu przypadkiem towarzyszyły, powarkowały tak groźnie, że wyjaśnienie przyjęto bez żadnych pytań”.

Na koniec przytoczę fragment satyry *Przestroga młodemu* Ignacego Krasickiego. Może dobrze, by młody człowiek zawczasu wiedział, z czym przyjdzie mu się mierzyć i uniknąć błędów i rozczarowań:

Nauczysz się, jak prawom można się nie poddać, (...)
Jak zwodzić zaufanych, a śmiać się z zwiedzionych,
Jak w błędzie utrzymywać sztucznie omamionych,
Jak się udać, gdy trzeba, za dobrych i skromnych, (...)
Jak cnoce, gdzie ją znajdziesz, dać zelżywą postać,
Jak deptać wszelkie względy, byle swego dostać.



Aleksandra Jakubczak, z cyklu „Początek świat(ł)a”, lightbox, 33x45x10, 2014

Jarosław Kapsa

CYGANIE LUDOŻERCY. Echa procesu koszyckiego w prasie górnośląskiej

TO NIE PRASA, LECZ CZYTELNIK ŻYWI SIĘ SENSACJĄ. Dziennikarz pełni rolę kelnera dostarczającego ulubione danie, odpowiednio doprawione pieprzem, solą, krwią, egzotyką... Lokalność nie dostarczała produktu w odpowiedniej do dzienników ilości i jakości, nawet w brutalnych czasach międzywojennych nie zdarzał się co tydzień malowniczy przypadek zbrodni. Konieczny był import bezceństw – Kuby Rozpruwacza, Rzeźnika z Düsseldorfu, lwowskiej Gorgonowej itp.

Wybór ten był nieoczywisty, coś rodziło większą ciekawość, inne coś mniejszą. Pytania, gdzie Rzym, a gdzie Krym zależne były od geograficznej świadomości czytelnika, a ta dopiero oswajała zrodzoną po I wojnie światowej rzeczywistość. Trudno zatem wytłumaczyć, dlaczego odbiorcy z województwa śląskiego oraz z graniczącego z nim Zagłębia i ziemi częstochowskiej z ożywioną ciekawością odbierali informacje z Koszyc o trwającym tam procesie bandy rozbójniczej. Wszak i u nas band rozbójniczych, malowniczo kradnących, niszczących, mordujących i gwałcących nie brakowało... Zauważalne były delikatne różnice regionalne – proces koszycki większe budził zainteresowanie w Katowicach niż Sosnowcu, Łodzi, Częstochowie, Kielcach. Wydawana na Śląsku prasa polska i niemiecka wysłała do dalekiego miasta własnych korespondentów, a oni relacjonowali każdy dzień toczącej się w czerwcu 1929 r. rozprawy.

I

Przeciętny, inteligentny i wykształcony mieszkaniec Częstochowy i Katowic miał pewne trudności w identyfikacji narodowej przynależności Koszyc. Odruchowo wskazywał – to węgierskie miasto, bo Koszyce „od zawsze” z Węgrami się kojarzyły. Po 1918 r. Koszyce jednakże przestały być węgierskie i stały się własnością tworzącego trudno przyswajalnego tradycyjnej świadomości – Czechosłowacji. Nie były czeskie, bo nawet mityczna Korona św. Wacława tam nie sięgała, nie były słowackie, bo takowy naród nie istniał, a gdyby nawet, to świadomych swej tożsamości Słowaków było w Koszycach mniej niż Latynosów na Grenlandii. Losy dziejowe, utrwalone na piśmie w pałacach podparyskich powodowały, że dawne miasto węgierskie, ośrodek kultury europejskiej, wypchnięte zostało na ziemię sporne, do przestrzeni europejskiego Zadupia. Wielu do tego miejsca wysuwało pretensje, lecz rządzić Zadupiem nie jest ani miło, ani higienicznie. Ową niemiłą i niehigieniczną rolę w 1929 r. pełnić musiał czeski żandarm, za jakies grzechy zesłany tu z Budziejowic lub Pilzna.

Zainteresowanie katowiczian polsko- i niemieckojęzycznych związane było z innym wybrykiem konferencji wersalskiej: podziałem Śląska. Średniowieczne ziemie śląskie, gdzie ludność autochtoniczna uważająca się za Ślązaków pełniła rolę gospodarzy, zostały w XVIII w. rozdzielone na część niemiecką i austriacką. Nie było to specjalnie dolegliwe, bo i granice były niedokuczliwe. Po wojnie na konferencjach w Paryżu dokonano dalszych rozbiorów, wydzielając Śląsk polski, Śląsk niemiecki, Śląsk czeski; by to utrwalić, wprowadzono kolonizacyjną okupację, druty kolczaste na granicach i przymusowe przesiedlenia autochtonów. Wytworzyło to wspólnie odczuwaną frustrację ludności miejscowej, tracącej status gospodarzy przestrzeni. Wolność artykułowania owej frustracji zależna była od przynależności państwowej i związanej

z nią cenzury, zatem polscy Ślązacy mogli wylewać żale wobec niemieckich i czeskich okupantów, Niemiec – wobec Polaków i Czechów, czeszy – wobec Polaków i Niemców.

Koszycy były Zadupiem pod czeską okupacją, stąd zainteresowanie Ślązaków polskich i niemieckich sprawą, pokazującą nieudolność czeskich kolonizatorów.

Był także inny czynnik, podsycający zainteresowanie czytelników. Odbiorca gazety szukał w niej potwierdzenia własnych poglądów. A wśród takowych, mocno wbitych w świadomość, była niechęć do Cyganów jako grupy znajdującej się poza porządkiem utrwalonym w „cywilizowanym” świecie. Ogólny porządek polegał na przypisaniu każdej jednostki do przestrzeni i grupy na niej gospodarującej. W tym przypisaniu wszyscy mieli swoje miejsce, każdy odgrywał swoją rolę wyznaczoną przez wspólnotę. „Od zawsze” ujawniał się konflikt między ludźmi przypisanymi a wolnymi. Wolny odrzucał porządek, przenosił się tam, gdzie chciał, robił, co chciał, nie uznawał ani prawa własności, ani rządów regulujących życie poddanych. Wolnym był zbiegły chłop pańszczyźniany, rozbójnik, wygnany ze swej wspólnoty banita. Wolny człowiek był jak dzikie zwierzę, naruszające obszar zagospodarowany przez ludzi. Lud przypisany darzył ich sprzecznymi uczuciami: nienawiścią i miłością. Nienawiścią, bo ludzie wolni stanowili bezpośrednie zagrożenie jego bezpieczeństwa, miłością – bo byli oni wcieleniem skrytych marzeń. Bezwzględnie ścigano i dokonywano samosądów na „ludziach wolnych” – złodziejach kur, owiec lub koni, a jednocześnie w karczmach karmiono się opowieściami o Janosiku, Ondraszku i innych wolnych duszach.

Cyganie byli uosobieniem i kwintesencją „ludzi wolnych”. Wyraźnie się różnili mową, wyglądem, strojem, zachowaniem od „normalnych ludzi”, nie było problemu z identyfikacją. Ich zwyczaje były niezgodne z lokalnym, państwowym, a nawet globalnym porządkiem. Nie stało za nimi żadne państwo, żadna organizacja, żadna religia ani prawo – byli „wiecznymi przybłędami”. Przedstawiciel innej nacji mógł zostać przez wspólnotę zasymilowany, mógł być akceptowany, pełniąc wyznaczoną przez wspólnotę funkcję. Żyd mógł być karczmarzem, sklepikarzem, lokalnym lekarzem, prawnikiem, Niemiec lub Czech – urzędnikiem lub nauczycielem; akceptowano ormiańskich kupców, wołoskich pasterzy itd. Cygan biedny lub bogaty, żyjący z rzemiosła czy żyjący z kradzieży, zawsze był przez „tutejsze” wspólnoty odrzucany...

Na Śląsku Cyganów nie widywano. Tam panował niemiecki, cywilizacyjny porządek, nie było taborów cygańskich, nie było także żydowskich sztetli z „chałaciarzami”, nie było góralskich redyków... Porządek to porządek, kto się wyłamywał, tego żandarm zamykał w kozie. Ta różnobarwność zachowała się w Kongresówce i w Galicji, gdzie władza była za słaba, by ingerować w życie lokalne. W Katowicach wieści o cygańskiej bandzie z Koszyc odbierano jako swoistą przestrożę, prognozę tego, co będzie, jeśli osłabnie miejscowy porządek. Podobnie dziś mieszkańcy Krotoszyna lub Mysłowic, oglądając sceny walk ulicznych na przedmieściach Paryża, Londynu lub Brukseli, boją się utraty „porządku” po napływie mas migrantów. Chcąc spełnić oczekiwania odbiorców z Krotoszyna, Telewizja Polska wysyłała korespondentów do Sztokholmu, by karmić polskie przesady obrazkami z tamtejszych gett etnicznych. Z takich też względów pisma codzienne ukazujące się na Górnym Śląsku wykosztowały się, by wysłać korespondentów na proces koszycki.

II

Wieść o bezceństwach na europejskim Zadupiu dotarła do Górnoślązaków drogą krętą. Spór o państwową przynależność Śląska austriackiego zaowocował istnieniem wydawanej w czeskim Frysztacie (drukowanej w polskim Cieszynie) „Gazety Kresowej”. W tej gazecie w numerze marcowym z 1927 r. ukazała się notatka tytułowana „Ludożerstwo na Słowacczyźnie”:

Koło Koszyc aresztowano bandę Cyganów. (...) podczas badań wykazało się, że mordowali ludzi i pożerali ich. (...) Cyganie rabowali w okolicy już od kilku lat, a w roku 1923 rzucili się na 13-letniego chłopaka i pod wpływem Cygana Rybara poćwiartowali ciało, Cyganki je ugotowały i to był pierwszy wypadek ludożerstwa u nich. Przeszło 10 osób zamordowanych, a potem zjedzonych, ma banda aresztowanych Cyganów na sumieniu¹.

Informacja ta nie dotyczyła Nowej Gwinei, lecz europejskiej prowincji rządzonej przez wysoko ucywilizowanych Czechów od pana Masaryka. Mocno podkreśliła dotowana przez polskie kręgi rządowe gazeta „Wiadomości Polsko-Słowackie”:

Przed przewrotem nigdy czegoś podobnego na Słowaczczyźnie słyszeć nie było można. Dziś, gdy rządy czeskie „ekonomicznie” tak wygłodziły tamtejszą ludność, że nawet ani porządni ludzie nie mają często co do ust włożyć, jakże można się dziwić niekulturalnym, nieszkolonym i dziko żyjącym Cyganom, którzy nigdy nie pracowali, żyli wyłącznie i tylko z kradzieży?! Więc dziś nie ma, co by dało się ukraść u Słowaków. (...) Ludożerstwo Cyganów zaczęło się w latach 1922–1923, gdy okrutność głodowa skierowała ich do owej potwornej zbrodni, o której jednak „braterska” prasa czeska nie pisała już i nie głosiła do świata – jak to dotąd praktykuje w dobrych i pozornie dobrych wypadkach – że stała się w „Czechosłowacji”, podawała tylko „ludożerstwo na Słowaczczyźnie”. My mamy inny pogląd. Między ludożercami Cyganami a Czechami jest bardzo mała różnica. Nawet wielkie zapytanie, czy jest jakaś różnica?! Otóż bowiem, dopóki Cyganie w zupełnej nieświadomości swego poczynania pozwolili sobie na zbrodnię, to Czesi świadome i celowo chcą Słowaków szczehizować i zhusytyzować, działając w tak morderczej roli nowego Heroda, zabijającego nie tylko ciało, lecz i duszę odrębnego od nich i narodu słowackiego. Kto więc potępia ohydny czyn nieświadomych i niekulturalnych Cyganów, powinien to tem bardziej zrobić, powinien mocno potępić i barbarzyński czyn ludożerców z nad Wełtawy².

Bohaterzy podkoszyckiej historii (histerii) byli niepiśmienni, do głowy więc im nie przychodziło, że stać się mogą elementem dość skomplikowanych rozgrywek polsko-czesko-niemieckich. Dla nich cały świat stanowiło owo Zadupie na kresach Czechosłowacji, gdzie na zniszczonych wojną obszarach bandyterka, kradzieże, przemyt były częścią strategii przetrwania. Była więc we wsi Mołdawa kilkunastoosobowa banda cygańska, nieakceptowana przez władze, koszycką elitę, a nawet przez inne osiadłe grupy miejscowych Cyganów. Przesąd, dostrzegający tylko tabory cygańskie, nie odpowiadał specyfice tamtych ziem. Tu większość Cyganów, izolując się raczej od swoich, prowadziła osiadły tryb życia, choć czasami z przyczyn ekonomicznych wyruszała „w świat”, by świadczyć mu usługi kotlarskie, ciesielskie, a także wróżbiarskie, muzyczne itp. Cyganie osiadli w Koszycach, uważając się za uczciwych przedsiębiorców, nie chcieli mieć nic wspólnego z Cyganami z Mołdawy, bo ci żyli z przemytu i kradli kury po wsiach.

Niewątpliwie banda z Mołdawy miała na swoim koncie szereg przestępstw, kwalifikujących do kary więzienia, w tym pewnie także morderstwa. Pokłosiem I wojny światowej był ogrom podobnych band; przyzwyczajono ludzi, że życie ludzkie nie ma wartości, skoro chwalebne było

1 *Ludożerstwo na Słowaczczyźnie*, „Gazeta Kresowa” (Frysztat) 1927, nr 10 z 10 marca, s. 5.

2 *Ludożercy Cyganie i ludożercy znad Wełtawy*, „Wiadomości Polsko-Słowackie” 1927, nr 6 z 31 marca, s. 6.

zabijanie dla Ojczyzny, to czemuż nie zabijać dla chleba?... Władza, czyli czeska żandarmeria, była od tego, by likwidować tego rodzaju bandy. Donos wiejskiej dziewczyny wskazał, że jeden z mołdawskich Cyganów ma zegarek, który kiedyś należał do tajemniczo zaginionego miejscowego kupca. Zamknięto więc w areszcie wszystkich Cyganów osiadłych w tej wsi. O ich losie donosiła prasa górnośląska:

W Koszycach na Słowaczczyźnie siedzi już od dwóch lat 19 Cyganów, 17 mężczyzn i 2 kobiety, w areszcie śledczym. Przed dwoma laty było ich jeszcze 22, ale jednemu obcas żandarma odbił nerki i Cygan zmarł w szpitalu, dwu innym powietrze więzienne wyzarło płuca. (...) Bo przecież są to tylko Cyganie, którzy nie potrafią ani pisać, ani czytać, dzikie, wystraszone zwierzęta, nie mające nic wspólnego z białymi ludźmi, a to cywilizowana biała rasa, która wynalazła radio, umie używać do wydostania prawdy dziś jeszcze tego środka, który używała przed wiekami: śledztwo inkwizycyjne i tortury (...). Rodzice tych morderców (...) żyją w małej wiosce Mołdawa, niedaleko od Koszyc, tuż nad obecną granicą węgierską. Prowadzą nieludzkie, niesłychanie ponure życie w namiotach. Tu gnieźdzą się, śpią na gołej ziemi i rozmnażają się pomiędzy sobą, tak, że nie wiedzą, kto jest czyjem dzieckiem, bratem lub małżonkiem, nie chodzą do żadnej szkoły, od czwartego roku życia palą papierosy, czternastoletnie dziewczęta oddają się za chusteczkę na głowę, latem z trudem zdobywają pożywienie, a zimą głodują i marzną. Jeśli ukradną trochę drzewa lub kurę, wtedy zjawia się żandarm. Lufa karabinu, przystawiona do piersi, i marsz do lochu! W tegorocznej ciężkiej zimie Cyganie wykopywali trupy psów i koni i zjadali je. Dzieci zarażone trachomą, starsi tuberkuliczni, prawie wszyscy obciążeni dziedzicznie syfilisem – skutkiem tego przerażająco wielu głuchoniemych i epileptyków, tak żyją ci ludzie ma granicy Europy środkowej. Od r. 1918 do 1922 Cyganie z obozu w Mołdawie włóczyli się nocami przez lasy. Kto ich spotkał, stawał się trupem: 14-letni chłopiec z plecakiem, kupiec z błyszczącym łańcuchem od zegarka, kramarz z paru koronami czeskiemi, chłopka z koszem jaj. Aż pewnego razu opowiedziała 16-letnia Cyganka Ąranka z obozu cygańskiego, że widziała zegarek zamordowanego kramarza Ruszynka u ostatniej kochanki drugiego herszta bandyckiego, Fiłki³.

Tu musimy wtrącić uwagę, odwołując się do autorytetu poety Jerzego Ficowskiego i jego pracy o Cyganach w Polsce. Skalaniem, grzechem ciężkim, za który grozi wykluczenie ze wspólnoty, jest naruszenie tabu: jądanie przez Cyganów mięsa psiego i końskiego. Jeśli takowe skalanie przypisano bandzie z Mołdaw, to prawdopodobnie był to donos ze strony innych grup cygańskich. Dla żandarmów raczej obojętne było, czym się ta banda żywiła... Ich bardziej interesowały doniesienia zazdrosnej byłej kochanki herszta.

Rozwój aktu oskarżenia wynikał z nastrojów emocjonalnych aresztowanych. Dla przyzwyczajonych do życia na wolności kara więzienia jest czymś trudnym do zniesienia. W dodatku kara odbywana w warunkach, w których bez względu na wyrok trudno wyobrazić sobie wyjście na wolność żywym. Po dwóch latach aresztu zmarło trzech osadzonych, w tym jeden zakatowany przez żandarma. Co za różnica, czy zdechnąć w celi, zostać zatłuczonym przez żandarma czy też powieszonym po wyroku sądu? Odzywa się także zwykła ludzka ambicja zachowania siebie w pamięci innych. Życie bandyty jest dość nędzne, ale perspektywa uwiecznienia go w pieśniach, uzyskanie sławy arcyłotra, nowego Janosika, jest kusząca. Trudno określić, co było motywacją

3 *Proces morderców ludożerców na Słowaczczyźnie*, „Gazeta Robotnicza” (Katowice) 1929, nr 141 z 22 czerwca, s. 3.

herszta Aleksandra Filki. Po szesnastu dniach tortur i gnicia w celi koszyckiego aresztu zgodził się zeznawać, jeśli dostanie papierosa i kieliszek wódki. Wypił, wypalił i rzekł śledczemu, że poszukiwanych zwłok pomordowanych nigdy nie znajdują. „Myśmy je zjedli” – oświadczył z uśmiechem. Za przykładem herszta pozostali bandyci zaczęli chęć się zbrodniami.

Ani śladu skruchy, poczucia winy nie mogłem w ich twarzy wyczytać. Najmłodszy z nich, Józef Hudak, opowiada łamanym czeskim językiem z przymieszką słów węgierskich: zamordował studenta nożem kuchennym. Potem ze swoim kolegą Rybarem ciepłe jeszcze ciało pokrajali na drobne kawałki, wnętrzności oczyścili. Część ciała upiekli natychmiast i zjedli. Przyprawili mięso papryką. Coś w rodzaju gulaszu. Przerazenie nas ogarnia. Gulasz z ludzkiego mięsa. Z kartofelkami. Drugą część ciała zanieśli do obozu i tam kobiety usmażyły je. Jakiś stary Cygan dodaje z uśmiechem:

- Nie smakowało to zbyt.
- Smakowało jak świnina, ale było białe – powiada jeden z Cyganów.
- Nie. Miało posmak psiego mięsa – sprzeczają się jakiś młody Cygan, najwyżej 18-letni.
- Czy wiecie, jakie popełniliście zbrodnie? – pytamy Cyganów.
- Jak to? – odpowiadają zdziwieni – nikt nam przecież o tem nic nie mówił.

Cyganie urządzili nawet raz ucztę, zapraszając chłopów z okolicznej wsi. Nikt naturalnie z gości nie przypuszczał, że na tem piekielnym przyjęciu spożywa mięso niedawno w sposób bestjałski pomordowanych ofiar. Znak dozorczy. Przechadzka skończona. Herszt bandy zwraca się do nas i mówi donośnie, jakby z dumą:

- Jesteśmy bandytami i mordercami, kradliśmy, gdzie mogliśmy i mordowaliśmy, gdzie się dało⁴.

III

Dla opinii publicznej, tak miejscowej, jak i zagranicznej, przyznanie się do winy stanowiło koronę dowodów. Miejscowi radzili, by na tym sprawę zakończyć i powiesić „te zwierzęta” bez wyroku. Sąd jednak pilnować musi litery prawa, domagał się dowodów, a takowych, potwierdzających ludożerstwo, żandarmeria nie miała. Uzyskane zeznania, potwierdzone innymi dowodami pozwalały zarzucić bandzie dokonanie od 1918 do 1927 r. – 6 morderstw, a ponieważ skład bandy był zmienny, to za całość mógł jedynie odpowiadać herszt. Brakowało zwłok pomordowanych, w pustkowiach leśnych pod Koszycami nietrudno było ukryć ciała. Ale jak bez nich dowieść morderstwa? Prasa, która już wydała swój wyrok na zbrodniarzy „ludożerców” uważała, że to państwo czechosłowackie ukrywa przejawy barbarzyństwa. Proces w czerwcu 1929 r. przyciągnął korespondentów z kilku państw, nie zabrakło także spragnionych sławy adwokatów:

Ponieważ sala sądowa w mieście Koszyce, gdzie się toczyć będą rozprawy, okazała się za małą, wynajęto na ten cel miejscową ujeżdżalnię. Oskarżonych będzie 19 Cyganów, bronić ich będzie 19 adwokatów, akt oskarżenia obejmuje 240 stron, akta sądowe tej sprawy ważą 450 kg, do przesłuchania wezwano 1000 świadków, a sędziom przysięgłym postawionych ma być 1800 pytań⁵.

4 *Krwawa zagadka Cyganów*, „Dziennik Berliński” 1928, nr 200 z 30 sierpnia, s. 5.

5 *Potworny proces Cyganów*, „Nowiny Codzienne” (Opole) 1929, nr 108 z 11 maja, s. 3.

Ogrom akt zawierał materiał dość sprzeczny. Prócz Filki, uparcie chwającego się swoim kanibalizmem, inni mołdawscy Cyganie wypierali się swych zeznań twierdząc, że zostały one wymuszone. Organizowano ekspedycje, wizje lokalne w miejscach wskazanych przez Filkę; wojskowy samochód ciężarowy wiozł oskarżonych, prokuratorów, obrońców, śledczych, za nimi automobilami lub furmankami jechała rzesza dziennikarzy i gapiów. Na miejscu jednak nie znajdowano „obgotowanych” kości ludzkich, o których opowiadali oskarżeni. Po odwołaniu przez większość zeznań okazało się, że prócz Filki opowieść o kanibalizmie potwierdza jedynie głuchoniemy Adalbert Rybar. Nikt z piszących o ludożercach dziennikarzy nie zadał pytania: w jaki sposób niepiśmienny głuchoniemy mógł poznać i potwierdzić czyjeś zeznania... Dziennikarze znali prawdę, zanim ustalili ją sąd. Pisali:

Bo głód, dzikość, brak wszelkich uczuć ludzkich i zwyrodnienie pchały od zbrodni do zbrodni tę bandę, wobec której doprawdy można zadać sobie pytanie, czy jej członków można uważać za coś innego niż dzikie zwierzęta w ludzkiej postaci, za hańbę dla ludzkości, że do takiego zezwierzęcenia mogła dopuścić swoich bliźnich! Szedł chłopak przez las z workiem prowiantów na plecach – zabić go!, spotkano babę, która miała koszyk jaj – zadusić ją!, mieszkało w ustronnym domu dwoje ludzi – zamordowano ich, bo to pracowici ludzie, a więc dobrze zaopatrzeni w kartofle. A mięso do tych kartofli? Lepiej nie powtarzać ohydnych szczegółów, które o mdłości przypowiadają!⁶

Katowiccy korespondenci nie znali tutejszego języka, zeznania oskarżonych poznawali z tłumaczenia na niemiecki, dokonanego przez czeskich żandarmów. Zderzyli się ze znanym od starożytności dylematem logicznym: jeżeli, wedle powszechnej opinii, każdy Cygan „cygani” (kłamie), to którym słowem cygańskim można dać wiarę?...

Cyganie – bandyci niemało sprawiają kłopotu sądowi w Koszycach. Zeznania oskarżonych codziennie brzmią inaczej, więc sąd nie może wydobyć prawdy od Cyganów. W tych dniach sąd znowu urządził termin lokalny na miejscu zbrodni. Tym razem przewodnikiem był dowódca bandy Filke i jeden z głównych oskarżonych, Rybar. Na miejscu zbrodni odbyło się ponowne przesłuchanie oskarżonych i wzięcie ich w ogień krzyżowych pytań. Filke i Rybar składają zeznania zupełnie zgodne i jednak brzmiące, jedynie Hudac wypiera się zarzucenych mu czynów⁷.

Filka za kieliszek wódki, papierosa i wizję szatańskiej sławy mówił to, co chciano usłyszeć. Rybar był głuchoniemym niepiśmiennym. Jak uzgodniono, że zeznania tych dwóch osób są zgodne i jednak brzmiące? Czy zdarzył się cud i głuchoniemy przemówił?

IV

W sprawie koszyckiej pojawił się jeszcze jeden wątek:

Onegdaj nadeszła do Łodzi nieoczekiwana i sensacyjna wiadomość o rozwiązaniu tajemnicy zaginięcia dziecka z letniska pod Sieradzem, które miało miejsce

6 Tamże.

7 Z dalszych stron. Koszyce w Czechosłowacji. Z procesu Cyganów – morderców, „Katolik Polski” 1929, nr 133 z 12 czerwca., s. 3.

w lecie 1919 r. W owym czasie rodzina niejakich Sternfeldów zawiadomiła policję, że zginęła im kilkuletnia córeczka Estera. Ponieważ przez Sieradz w owym czasie przejeżdżał obóz cygański, nie ulegało więc wątpliwości, że dziecko porwali Cyganie. Kilkakrotne poszukiwania nie dały rezultatów. W swoim czasie jeździł nawet do Czerniowiec funkcjonariusz urzędu śledczego w Warszawie Bachrach, również bez skutku. Przed kilku dniami niejaki Glueksman, zamieszkały w Czechosłowacji, zawiadomił Sternfeldów o tem, że podczas procesu przeciwko ludożercom w Koszycach wyszło na jaw, że przebywa wśród nich młoda dziewczyna imieniem Estera. Sternfeldowie wyjechali natychmiast do Koszyc, celem odzyskania skradzionego dziecka⁸.

Wśród aresztowanych w Koszycach znajdowała się 16-letnia dziewczyna, być może różniąca się rysami twarzy od pozostałych Cyganek. Posługiwała się wyłącznie mową cygańską i łamanym językiem węgierskim. Podobnie jak i inni zatrzymani, po pierwszych zeznaniach Filki przyłączyła się do zgodnego chóru samooskarżeń, opowiadając ze śmiechem, jak się przyrządza potrawy z ludzkiego ciała. Potem, tak jak i pozostali, wycofała się z tych zeznań.

Sternfeldowie, znana kupiecka rodzona z Łodzi, przeżyli dramat: podczas pobytu na nadwarciańskim lotnisku w 1919 r. zaginęła ich córka. Nie szczydzili ani sił, ani pieniędzy, by swój skarb odzyskać. Czy dziecko porwali Cyganie? Tego nie wiemy. Twierdzenie, że tak było „ponad wszelką wątpliwość”, bo w pobliżu lotniska przejeżdżał tabor, było wyrazem ówczesnej świadomości.

Cyganami straszły matki – pisał w swoich wspomnieniach Witos. Nie było dziecka na wsi galicyjskiej i kongresowej, którego by Cyganami nie straszono; wielu pamięta to i dziś. Setki, a może tysiące było podobnych obrazów zakodowanych w rodzinnej pamięci chłopskiej. Jechały „wozy kolorowe”, w szarym krajobrazie pojawiała się egzotyczna estetyka. Za wozami, napędzane ciekawością, gnały tabuny dzieciaków, porzucających nudne zajęcia codzienne: pasanie krów lub gęsi. Za nimi leciały, równie zafascynowane kolorami, ale i pełne niepokoju, chłopskie matki, bojące się, że Cygan porwie lub Cyganka zauroczy ich potomstwo. Czasem też się zdarzało, że wiejskie dziecko trafiło do taboru. W prasie ukazywały się o tym sensacyjne artykuły, wydano nawet kilka książek, opartych na wspomnieniach dzieci wędrujących z taborami. Teksty, nawet najbardziej sensacyjne, nie potwierdzały tezy o porwaniach. Wspominające podróż z taborami dzieci przedstawiały to jako swój wybór, formę ucieczki od nudy codziennej pracy, ucieczki z domu, który był dla nich katownią. Cyganie w tych wspomnieniach nie byli porywaczami – ot, zbierali „sieroty” z gościńca, dawali jeść i ciepłe miejsce przy ognisku... Nie żądali okupu za uwolnienie, nie zmuszali do niewolniczej pracy, nie wykorzystywali w niecnym sposób dzieciaków.

Rzeczywistość mogła być różna, ale przesąd nie żywi się prawdziwym opisem rzeczywistości. Także dziś matka, widząc gromadkę Romów, mocniej ściska rękę swego dziecka, nie pozwala mu się o krok oddalić... A dla większego spokoju sumienia zawiązuje na rączce dziecka czerwoną wstążeczkę, by urok rzucony złym okiem Cyganki odstraszyć.

Prasa musi czymś się żywić, przesady także bywają dobrym pokarmem. Nieliczni dziennikarze odważali się, by swoje poglądy skonfrontować z opinią tutejszej cygańskiej ludności. Znudzony atmosferą sali sądowej redaktor katowickiej „Polonii” wyruszył dzielnie do cygańskiej dzielnicy, przynosząc nam obraz podobny opisom reporterów zwiedzających slumsy Kinszansy:

8 *Ukradzione dziecko z Łodzi w obozie Cyganów-ludożerców*, „Ekspres Zagłębia” 1929, nr 149 z 7 czerwca, s. 3.

Byłem n nich nieproszonym gościem. też złowrogo i podejrzliwie spoglądano na mnie, kiedy przechodziłem wąskimi uliczkami dzielnicy cygańskiej, brudnej, niechlujnej i krzykliwej. Z lękiem jakimś i widoczną nienawiścią przyglądały [mi się] czarnookie Cyganki, karmiące swe niemowlęta, spode łba spoglądali na mnie młodzi Cyganie, grający na brudnej ulicy w grę hazardową, a nawet brudne, marne dzieci nie ukrywały swej dla mnie pogardy. (...) Również dzieci są tu niezmiernie jaskrawo ubrane. Wszystkie kolory tęczy widać pod grubą warstwą brudu ich podartych ubranek. I dzieci pełne są tu życia i temperamentu. A pełno ich tu wszędzie na ulicach i na podwórkach. Domy wybudowane są tu bez jakiegokolwiek planu. Stoi taka chałupa pośrodku ulicy, nie troszcząc się o to, że ruch na gościńcu hamuje. A w tyle za domem ciągnie się długie podwórko, tam, na tych podwórkach panuje prawdziwie cygańskie życie: nieład, ruch, harmider straszliwy. Bo nawet „arystokraci” cygańscy, tj. ci, którzy już porzucili swe wędrowne życie, mieszkając stale w pobliżu większych ośrodków miejskich, niezdolni są do prowadzenia swego życia w ramach czterech ścian dusznej izby. Całe życie koncentruje się więc na widoku, a tylko w wyjątkowych wypadkach (niepogoda, mrozy itp.) przenosi się czasowo do wnętrza chaty. Żywiołem Cyganów jest powietrze, dobre świeże powietrze. Tutaj, na peryferii Koszyc powietrza tego jest aż nadto – dobrze się więc tu czują przedziwni ci ludzie, tak obcy współczesnej cywilizacji europejskiej⁹.

Ostatnie zdanie korespondenta brzmiało dość przesadnie. Może w 1929 r. Katowice były bardziej cywilizowane, ale wystarczyło wybrać się do Sosnowca, Częstochowy, Radomska, by podobny slumsy, z podobnymi „luftmenschami” (ludźmi żyjącymi powietrzem) zobaczyć...

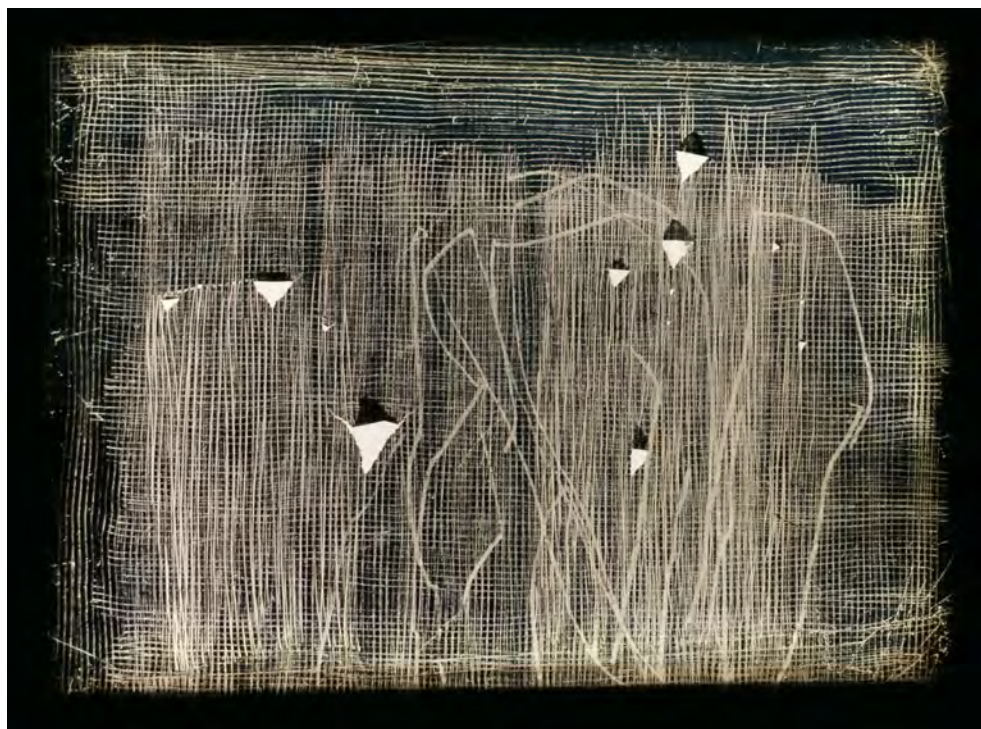
V

Proces znużył obserwatorów. Wszak przybywając tu, znali lepiej fakty, wiedzieli, jaki wyrok zapisać powinien. O zapadłym w lipcu 1929 r. werdykcie ławy przysięgłych sądu w Koszycach mieszkańcy Górnego Śląska zostali poinformowanie przedrukami z prasy austriackiej:

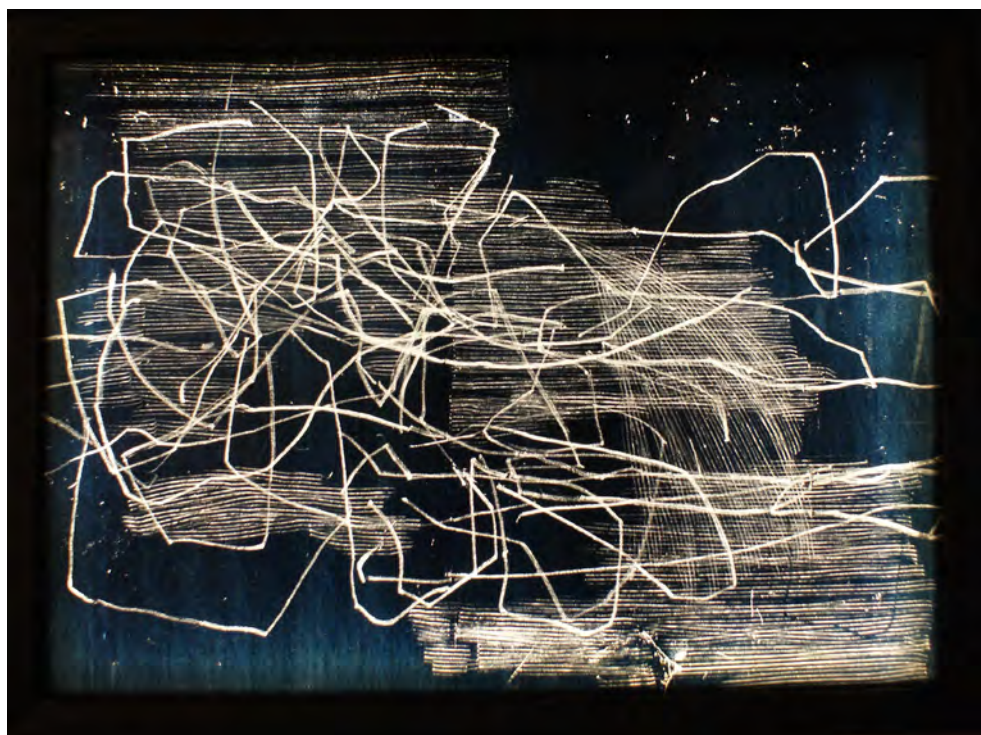
Dziś przed południem sąd karny w Koszycach wydał wyrok przeciw Cyganom mołdawskim. Sala sądowa była wypełniona publicznością do ostatniego miejsca. Dwaj główni oskarżeni Aleksander Filko i Paweł Rybar zostali skazani na dożywotnie ciężkie więzienie, 11 Cyganów zostało skazanych na więzienie od 8 do 15 lat, dwie Cyganki wprawdzie skazano, ale po zaliczeniu aresztu śledczego wypuszczono na wolność, 4 Cyganów uwolniono. Wszystkim skazanym zaliczono po 2 lata i 8 miesięcy aresztu śledczego. W motywach wyroku sąd oznajmił, że w kwalifikacji i wymiarze kary oparł się na werdykcie przysięgłych. Sąd przyjął, że wszyscy skazani byli poczytalni i prawie wszyscy byli poprzednio karani. Jako okoliczność łagodzącą sąd przyjął bardzo niski stopień umysłowy skazanych. Skazani przyjęli wyrok zupełnie spokojnie, czynili wrażenie, jak gdyby nie rozumieli, co się do nich mówi. Gdy trybunał opuścił salę, jeden ze skazanych Juliusz Czizar przyskoczył do Filki i wymierzył mu kilka policzków krzycząc, że go fałszywie oskarżył. Między obu Cyganami wywiązała się bitka, której kres położyła straż więzienna¹⁰.

9 Z wizytą u cygańskiej arystokracji, „Polonia” 1929, nr 1669 z 30 maja, s. 5-6.

10 Wyrok w procesie Cyganów ludożerców, „Gazeta Robotnicza” (Katowice) 1929, nr 167 z 23 lipca, s. 5.



Aleksandra Jakubczak, z cyklu „Początek świat[ł]a”, lightbox, 24x32x10, 2013



Aleksandra Jakubczak, z cyklu „Początek świat[ł]a”, lightbox, 33x45x10, 2014

Sylwia Oksiuta-Warmus

TEATR, KTÓREGO NIE BYŁO?...

NA POCZĄTEK PRZENIEŚMY SIĘ do czasów wyzwolonej teatralnej Polski. Gdy w mroźny lutowy ranek 1945 roku grupa ludzi przekroczyła progi budynku teatralnego w Częstochowie, oczom ich przedstawił się żaloszny widok. Gmach zionął przerażającą pustką. Korytarze, schody, foyer, widownię i obie sceny – Wielka i Kameralna – zasłane były gruzami. Uciekający hitlerowcy nie zdołali wysadzić teatru w powietrze, ale obrabowali i zdewastowali gmach doszczętnie. W takim stanie obejmowali teatr w Częstochowie polscy aktorzy, których losy wojny przygnały do Częstochowy.

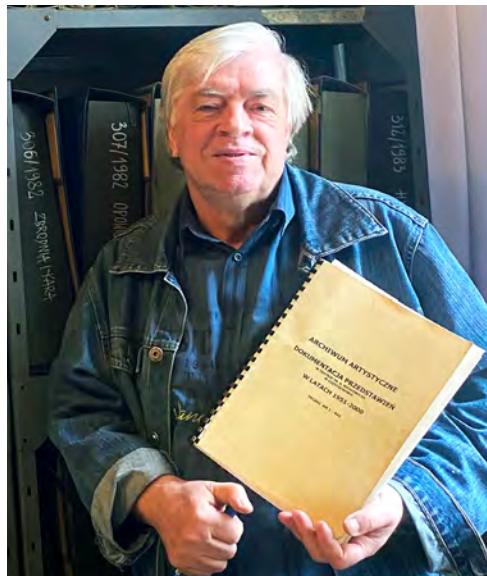
Na początku nie było nic. Pusty, zdewastowany gmach – warsztat pracy artystycznej – i grupa aktorów, którzy przekroczyli wyżębione mury, by rozpalic w nich i rozplomienić piękno żywego słowa. Jednak wcześniej trzeba było wykonać ogrom pracy. Aktorzy wraz z pierwszymi członkami zespołu technicznego własnymi rękami wynosili gruz, doprowadzając gmach do porządku.

Odczytuję z sentymentem wspomnienia zawarte w kronikach Teatru im. A. Mickiewicza w Częstochowie w przytulnym archiwum, pełnym opasłych tomów, gdzie ponownie gości mnie opiekun tego wyjątkowego miejsca, pan Mirosław Kurek.

Zgodnie z zapiskami wiele wzruszeń towarzyszyło pierwszym po wyzwoleniu wystawieniom na scenie ówczesnego Teatru Wielkiego w Częstochowie. I choć kurtyna była licha i zasoby skromne: brak reflektorów, rekwizytów, dekoracji i kostiumów, to zgodnie z relacjami nikt tych braków natenczas nie dostrzegał. Z zapiartym tchem napawano się pięknem polskiej mowy, słowa, które po mrokach okupacyjnej nocy ożyło w całej krasie i mocy. Być może z dzisiejszej perspektywy składanka programu rewiowego – na granicy skleconej naprędcie akademii – wydałaby się zbyt patetyczna czy kliwa, to wówczas, owego lutowego wieczoru 1945 roku, była pięknym świadectwem wolności wypowiedzi artystycznej.

Czy tak było zawsze, czy tak jest teraz?

Do powstania teatru w Częstochowie przyczyniło się wielu świątłych ludzi. Przez ponad wiek rozwijał się za sprawą wybitnych indywidualności, zapaleńców, którzy ze zmiennym szczęściem wciąż zachowywali ciągłość teatralnej tradycji, utrwalali potrzebę i świadomość posiadania własnej, stałej sceny. Jak pisze Marta Rudzińska w broszurze z lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, wydanej z okazji jubileuszu 120 lat teatru w Częstochowie: połączenie zasobności finansowej miasta i jego obywateli z potrzebą uczuć metafizycznych, ducha, mimo wielu trudności lat chudych spowodowało, że teatr stale znajdował wierną sobie publiczność,



M. Kurek w archiwum teatralnym

chciał, mógł i umiał adresować swą sztukę do tych właśnie ludzi: przemysłowców, handlowców, ziemian, inteligencji, pątników, młodzieży i dzieci.

Gdyby chcieć cofnąć się w czasie do początków teatralnego życia w Częstochowie, można odnaleźć w kalendarium datę 1870 roku jako rok powstania pierwszego w mieście teatru przy Al. NMP 19 pod nazwą Teatr Miejsowy. Miały tu miejsce również występy wędrownych zespołów aktorskich, na przykład „Artystów Teatru Łódzkiego” takich jak: Karol Adwentowicz, Irena Trapszo czy Gabriela Zapolska i innych.

W 1908 roku budynek Teatru Miejskiego przejął przedsiębiorca kinowy i tym samym datujemy powstanie kinoteatru „Paryskiego”. W tym czasie pojawiła się potrzeba żywego słowa i rozwoju teatrzyków przykinowych, dających spektakle (zwykle rozrywkowe) po sennych projekcjach kina niemego, szczególnie na scenach kin „Odeon”, „Corso”, „Nowości”, „Nowe”.

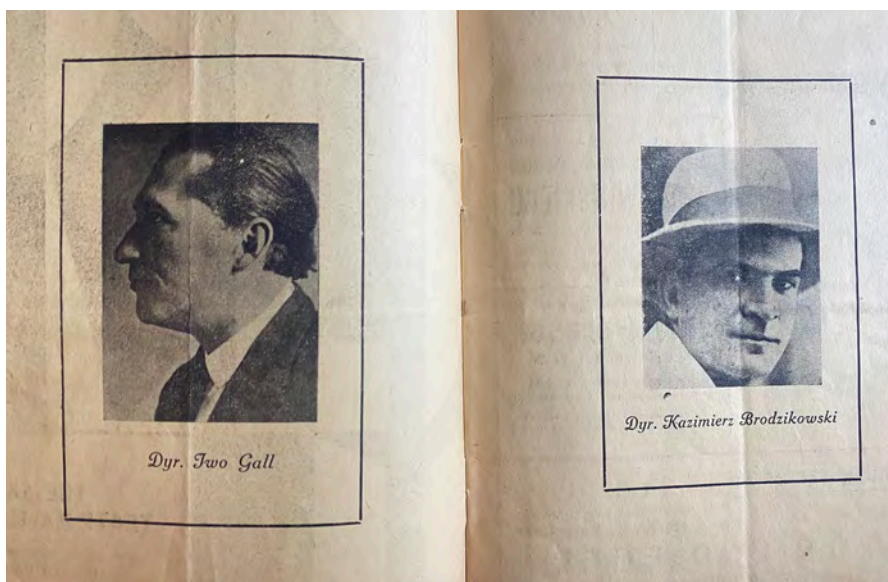
Rok później interesującym zjawiskiem była dwumiesięczna działalność Teatru Wystawowego pod kierownictwem znakomitej polskiej aktorki Marii Przybyłko-Potockiej na terenach Wielkiej Wystawy Przemysłowo-Rolniczej w parku pod Jasną Górą.

Lata 1914–1916 to działalność kinoteatru „Corso” na rogu Al. NMP i ul. Teatralnej (obecnie Al. Wolności). Zespół teatralny pod dyrekcją A. Millera, potem W. Glogera wystawiał tu dramaty, opery i operetki. Spektakle teatralne zdominowały projekcje filmowe. Filmy wyświetlano tylko wówczas, gdy zespół teatralny przygotowywał kolejną premierę. Tytułów tych nie będę przytaczać ze względu na rozległość czasową, jaką poruszam w tym artykule.

Rok 1921 przyniósł powstanie kinoteatru „Nowości” w ogrodzie Wolbergów przy Al. NMP 12 w drewnianym budynku dawnego teatrzyku „Apollo”, gdzie zespół aktorski pod kierunkiem F. Stróżewskiego prezentował programy kabaretowo-rewiowe.

Rok 1927 to przełomowa data dla częstochowskiego teatru, albowiem za zgodą władz miejskich R. Szpigelman, właściciel sali „Reduta” przy ul. Strażackiej 8 (obecnie Katedralna 13), na własny koszt adaptuje tę salę dla potrzeb teatru – częstochowianin, aktor Jan Otremski, po otrzymaniu licencji ZASP na prowadzenie teatru, kompletuje stały zespół aktorski.





Warto w tym miejscu podkreślić, iż za trzy lata będziemy (miejmy nadzieję) obchodzić stulecie istnienia stałego zespołu aktorskiego w Częstochowie. Źródła podają, iż na pokrycie kosztów zaliczek dla aktorów i udziału w adaptacji sali Otremski wydał wszystkie swoje oszczędności w wys. 6 tys. złotych. Na próżno szukać w dzisiejszych realiach takich mecenasów częstochowskiej sceny, kiedy niedofinansowany teatr rozsypuje się zarówno w swych murach, jak i kondygnacyjnych strukturach...

Na 15 marca 1927 roku przypada otwarcie stałego teatru „Rozmaitości” w dawnej sali „Reduty”, wydzierzawionej od właścicieli przez dyrektora J. Otremskiego. Inauguracją sceny była premiera „Ślubów panińskich” A. Fredry. Zagrano je 29 razy przy pełnej widowni. Kilka miesięcy później, 24 września 1927 roku, nowy teatr oficjalnie przyjął nazwę Teatr Miejski „Rozmaitości”.

Oprócz premier, również na zamówienie z okazji różnych rocznic i świąt państwowych, teatr prężnie prosperował, dając w sezonie 1927/28 aż 38 premier dla ok. 60 tys. widzów. Ulgi obowiązywały w obie strony: zarząd miejski zobowiązał się udzielić teatrowi subsydium rocznego i zwolnić tę placówkę z podatku od widowisk i bezpłatnie rozplakatować afisze teatralne. Z kolei dyrektor Otremski miał udzielić 50 % zniżki w cenach biletów na przedstawienia urzędnikom Magistratu m. Częstochowy i nauczycielom szkół miejskich, a 20% – wojskowym, urzędnikom państwowym, inwalidom wojennym i młodzieży szkolnej. Jak dzisiaj wygląda ta współpraca? Czy działa równie harmonijnie w obydwie strony?

Na scenie częstochowskiego Teatru „Rozmaitości” pojawiły się takie światłe nazwiska, jak chociażby Juliusz Osterwa z zespołem warszawskiej „Reduty” czy Stefan Jaracz z zespołem.

W listopadzie 1928 roku miała miejsce przełomowa sytuacja, albowiem z inicjatywy J. Otremskiego i starosty częstochowskiego K. Kuhna, a także wielu wpływowych osobistości miasta, powstała spółka akcyjna Towarzystwo Budowy i Eksploatacji Teatru w Częstochowie SA. Co ważne, zaistniała rzecz wyjątkowa: zakup przez wielu mieszkańców Częstochowy akcji Towarzystwa po 1000 złotych każda. Dzięki temu rozpoczęto budowę gmachu teatralnego na placu zakupionym przez Towarzystwo na rogu ulic Kilińskiego i Jasnogórskiej. Projekt gmachu przygotowali architekci warszawscy Józef Krupa i Teodor Łapiński.

Kolejne lata zapisały na kartach częstochowskiego teatru gościnne występy wielkich nazwisk polskiej sceny: Marii Malickiej, Zbigniewa Sawana, Aleksandra Węgieerki, Hanki Ordonówny, Eugeniusza Bodo, Józefa Węgrzyna, Marii Przybyłko-Potockiej, Wandy Siemaszkowej i innych znamienitych artystów znanych w całej Polsce. Niestety, już w 1930 roku zamknięto salę Teatru „Rozmianości” ze względu na zagrożenie bezpieczeństwa widzów.

Rok później, w lipcu 1931 r. nastąpiło otwarcie Teatru Miejskiego Kameralnego w sali parterowej częściowo wykończonego już gmachu przy ul. Kilińskiego 15 pod dyrekcją J. Otrembskiego i Antoniego Piekarskiego. Wydawać by się mogło, że powinien nastąpić rozkwit teatru mającego stałą, nowo wybudowaną scenę, tymczasem kroniki notują spadek frekwencji na przedstawieniach, spowodowany obniżeniem poziomu spektakli i kryzysem ekonomicznym. Co w tej sytuacji robi Zarząd Miejski? Podwyższa dotacje do 14 tys. zł. Marzenie ludzi teatru w terażniejszych realiach dofinansowań... i wysokości najniższej krajowej wynagrodzeń.

W tym czasie dyrektor J. Otrembski zrezygnował z pełnionej dotychczas funkcji, a jego stanowisko przejął wybitny reżyser i scenograf Iwo Gall, którego imię nosi obecnie scena kameralna częstochowskiego teatru.

Tymczasem losy gmachu przybytku sztuki ważyły się na szali licytacji. W 1933 r. zlikwidowano Towarzystwo Budowy i Eksploatacji Teatru w Częstochowie SA ze względu na kryzys ekonomiczny i ogromny wzrost kosztów budowy. W wyniku licytacji gmach wykupiła Komunalna Kasa Oszczędności – główny wierzyciel Towarzystwa.

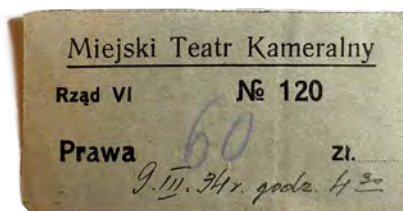
Dyrekcja Iwo Galla (1932-35) przyniosła ponad 60 premier, w tym sztuki klasyczne, współczesne, różnorodny repertuar sztuk obcych, w tym wyróżnienie dla inscenizacji „Sędziów” S. Wyspiańskiego w konkursie ogłoszonym przez Wydział Kultury i Sztuki.

Za dyrektury Iwo Galla w sezonie 1933/34 kilkanaście (prawdopodobnie 15!) premier zagrała na scenie kameralnej również ówczesna gwiazda międzywojennego kina – Ina Benita, której osobny rozdział w postaci biograficznego spektaklu chciałabym poświęcić na 20-lecie swojej pracy scenicznej w 2025 r., czyli już w następnym sezonie artystycznym.

Wracając do przedwojennych czasów – od 1935 roku teatrem zarządzał Kazimierz Brodzikowski. Wciąż miały miejsce premiery i gościnne występy wielu znanych polskich aktorów. Niestety, w 1937 roku pojawiły się groźby ruiny niewykończonej górnej części gmachu przy ul. Kilińskiego 15, dlatego w czerwcu doszło do wykupienia budynku teatru przez Zarząd Miejski m. Częstochowy. Do tego dołączyło udzielenie przez Komunalną Kasę Oszczędności pożyczki na przebudowę i wykończenie górnej części przybytku Melpomeny.

W następnym roku zawiązano spółkę K. Brodzikowskiego i Tadeusza Krotke pod nazwą Teatr Miejski w Częstochowie spółka z o.o. z obecną siedzibą przy ul. Kilińskiego 15. Umowa spółki z władzami miasta na prowadzenie teatru miała obowiązywać od 1 września 1938 r. do 31 sierpnia 1941 r. Bieg historii wkroczył i w te plany teatralne.

Tymczasem sezon przed II wojną światową może poszczycić się premierami znanych autorów, tj. A. Fredry „Damy i huzary” (inauguracja), S. Żeromskiego czy G. Zapolskiej. Gościnnie



również pojawiali się wybitni artyści znani szerszej publiczności, np. Adolf Dymsza i inni.

Niestety, kolejny sezon to już okupacja niemiecka, dewastacja i duże zniszczenia gmachu teatru. Aktorzy nie powrócili po przerwie urlopowej na scenę, wielu z nich zginęło podczas wojny, inni musieli ukrywać się, a los rzucił ich nawet poza granice Ojczyzny, tak jak zaginioną do 2019 r. Inę Benitę (wł. Inę Scudder), która ostatecznie znalazła bezpieczną przystań za wielką wodą w Stanach Zjednoczonych. Nigdy nie wyjawiała swojej amerykańskiej rodzinie, że była gwiazdą polskiej sceny, estrady, kina...

Wojna zabrała twórcom możliwość wolnej wypowiedzi, okradła z szans zawodowego rozwoju, ale z pewnością nie pozbawiła wspomnień tworzenia żywego słowa płynącego ze sceny, wzbudzającego iskrę nadziei, woli walki o lepsze jutro. Jedni grali w teatrach konspiracyjnych, inni scenicznie kolaborowali z okupantem, ale bez względu na wybory osobiste, teatr zawsze był nośną platformą wypowiedzi społecznej mówiącej o kondycji współczesności, o sile i słabości, o radościach i dramatach, obrazującą postawy, pytającą o sens istnienia...

Dzieje teatru sięgają przecież czasów pierwotnych, bo ludzie od zawsze szukali areny spotkania i środków ekspresji wypowiedzi. Teatr przetrwał wojenne zawieruchy, niefortunnych zarządzających i miejmy nadzieję, że mocą naszej dobrej woli i działania nie przestanie istnieć w przestrzeni publicznej sublimacji metafizyki i biznesu interesów: „Nie jesteśmy wolni. I niebo może nam jeszcze runąć na głowy. I teatr po to istnieje, by nas tego przede wszystkim nauczyć” (A. Artaud, *Teatr i jego sobowtór*).

(Korzystałam z archiwum Teatru im. A. Mickiewicza w Częstochowie za zgodą opiekuna pana Mirosława Kurka. W kolejnej części przedstawię losy częstochowskiego teatru po II wojnie światowej do czasów współczesnych.)



Teatr w latach okupacji hitlerowskiej udekorowany z okazji uroczystości organizowanej przez Niemców

Elżbieta Jolanta Gola

POD WŁOSKIM NIEBEM



MONOPOLI TO ZABYTKOWE MIASTECZKO, w którym z każdego zakątka snuje się historia. Jesteśmy po drugiej stronie włoskiego „buta” w regionie Apulia nad Adriatykiem. Opuncje i owoce pinii są tutaj symbolem i gwarancją szczęścia. Można je napotkać nawet na narożnikach balkonów, frontach kamienic oraz w licznych sklepikach z pamiątkami.

Biel domów odbija żar nieba, nastaje święty czas sjesty. Później nawet w markecie możesz się zaopatrzyć w specjały włoskiej kuchni. Zwłaszcza bogactwo serów i wędlin nie sprawi ci zawodu. Port i zatoczki z niewielkimi plażami zachęcają do odwiedzin. Przejrzysta woda w odcieniach turkusu budzi wyłącznie uszczęśliwiające skojarzenia.

W wąskich uliczkach Monopoli życie toczy się do późnych godzin nocy. Uliczki wiodą na wybrukowane białym kamieniem place, a dalej – wąskim labiryntem dotrzesz do następnego, który obsiadły kawiarniano-restauracyjne stoliki ze stałymi bywalcami i zachwyconymi turystami. Wędrując kamiennymi chodnikami zmywanymi wodą i każdego ranka oczyszczanymi z pozostałości minionego dnia, możesz na dobre utknąć przy lampce wina. Zatrzyma cię muzyka i odtwarzane standardy bluesa, jazzu oraz niezapomniane brzmienia głosów tych najlepszych.

Niemalże przy każdej uliczce stoliki przytulone do niewielkiego lokalu oferują smaczne przekąski i kolorowe aperityfy wzmocnione niewielką ilością alkoholu.

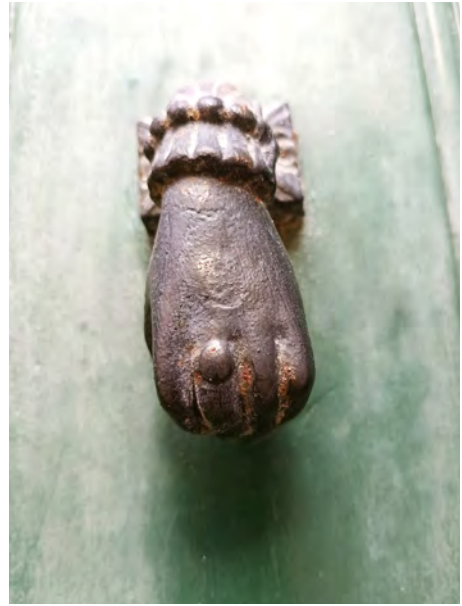
Kamienne, bielone na bieżąco fronty domów zdobią doniczkowe rośliny; ceramiczne ozdoby prześcigają się w kształtach i kolorach. Wszędzie można napotkać kapliczki różnego auroamentu, od wyklejanych portretami Madonny po rzeźbione, otoczone ozdobną ramką lub szkłem portrety Matki najważniejszego Syna.

Wzrok przykuwają oryginalne skrzynki na listy, często z herbem miasta, ale także kolorowe, wykonane techniką decoupage'u. Bramy i drzwi domów ozdobione są kołatkami, a często jest to kobieca dłoń opatrzona pierścieniem. Także główki i zwierzęce konterfekty kuszą, by uwiecznić je na fotografii.

Spacerując nocą, odkrywasz egzotyczną zieleni, dawne i współczesne ozdoby ceramiczne, a wszystko rozświetlone girlandami świateł.

Cel dzisiejszej podróży – Alberobello, z osadą domków typu *trullo* stanowiących Centrum Światowego Dziedzictwa Narodowego UNESCO. Oryginalne architektonicznie budynki wyróżniają się okrągłymi niczym czapki krasnali dachami. Budowane bez zaprawy, z suchego kamienia, miały stwarzać wrażenie tymczasowych, łatwych do rozebrania. Celem było unikanie podatków – a wydawałoby się, że nikt nie pokona w sprycie i pomysłowości Polaków... Na dachach domków widoczne są z daleka białe tajemnicze znaki, które miały zapewnić domostwu szczęście, dobrobyt i oddalić złe moce.

Całe wzgórze pokryła podzielona uliczkami osada *trulli*. Do dzisiaj niektóre z nich są zamieszkałe, ale w wielu mieszczą się sklepiki z pamiątkami i kawiarenki z lokalnymi wypiekami. Pamiątkarstwo kwitnie na każdym kroku, a tłumy zwiedzających zapełniają niewielkie kafejki oraz restauracje przy centralnym placu.



Makarony ręcznie produkowane na uliczkach Bari

Słynna nawet w Dubaju włoska rodzinna firma rzemieślników produkuje ze sklejki elementy opatrzone niezliczoną ilością lampek do konstruowania różnorodnych dekoracji. W Alberobello także fasady znaczących kamienic zdobią takie świetlne koronkowe instalacje. Oczekując na wolny stolik, obserwujemy rozbiórkę świetlnej altany przypominającej dawne karuzele. Szkoda, że nie widziałyśmy jej w aureoli świateł!

W drodze powrotnej ponownie mijamy gaje oliwne. Wiekowe kręte pnie odbijają się od czekoladowego podłoża. Domki *trullo* są tu rozsiane po całej okolicy, ale tworzą już niewielkie skupiska. Wśród mijanej roślinności dominują krzewy opuncji, ich owoce przetwarzane są na konfiturę, która posiada wiele właściwości leczniczych.

Niebo bezchmurne, tyłko bezkresny błękit dziurawią maszty żaglówek.

Ostatnie godziny spędzamy w Bari, stolicy regionu Apulia. Bagaże lądują w przechowalni, a my mamy cały dzień na wyszukiwanie smaczków miasta, słynnego z Bazyliki Świętego Mikołaja, w której, prócz relikwi świętego mieści się grób Bony Sforzy, polskiej królowej.

Wędrując uliczkami starego miasta, docieramy do Bazyliki, w której już odbywa się uroczysta msza w intencji pokoju na świecie. Przed dwoma wejściami stoją strojni w tradycyjne ubiory młodzi mężczyźni. Jest wielu wysokiej rangi żołnierzy i przedstawiciele kościelnej hierarchii. Muzyka wojskowej orkiestry płynie na zalany słońcem plac. Po chwili z wnętrza wynurza się tłum gości i liczna grupa wojskowych.



Postać Bony Sforzy w kościele św. Mikołaja w Bari

Muzycy z instrumentami pozują do zdjęcia; schody i plac pustoszeją. Zwiedzamy wnętrze, grobowiec Bony z figurą królowej, która często wspominała ukochane Bari, nastraja do rozmyślań. Mamy za mało czasu na delectowanie się okolicą, ale nasza *cicerone* – Dominika ma przemyślany plan. Udamy się w zabytkowe uliczki oraz miejsca, gdzie – na oczach przechodniów – powstają ręcznie robione makarony. W otwartym dla przechodniów wnętrzu trzy kobiety, a w zasadzie trzy pokolenia kobiet wyrabiają ciasto, z którego powstają różnokolorowe kluseczki i makarony. Zaopatrujemy się w kilka paczuszek wystawionych na ulicznym stoliku tuż przy producentkach.

Do pożegnalnego obiadu zasiadamy w przeszklonym wnętrzu restauracji. Obserwuję serwowane tu – w okazałych ceramicznych misach – owoce morza. Egzotyczne jeżowce i nieznane mi skorupiaki wysuwają swoje szczypce i odnóża. Delectujemy się

z Małgosią *gnocchi* z sosem pomidorowym i warzywami. Dominika wybiera makaron z sosem z jeżowców. Białe wino dopełnia smak potraw, a uczucie zadowolenia potęguje kelner, obdarzający nas co rusz szerokim uśmiechem.

Jest ciepło, słonecznie, a otoczenie wzywa, aby jeszcze utrwalić aparatem kolejny zachwyty. Okazały most kryje pod sobą bujną przyrodę i skaliste zbocza. Kamienista dolina prowadzi do zatoki. Turyści, omijając wypełnione wodą niewielkie zgłębienia, fotografują się na tle okazów roślin. Jeszcze kilka zdjęć, kilka olśnień i udajemy się na lotnisko. Mieszanka ras, egzotyka. Świat coraz bardziej przypomina globalną wioskę.

Airbus w krótkim czasie i na krótkim odcinku osiąga wymaganą prędkość i lekko wznosi się w górę. Można odpiąć pasy i napić się herbaty. Towarzyszki podróży zapadają w sen, a ja nie mogę oderwać się od widoków za oknem. Lecimy nocą, a świat poniżej jest niczym miniaturowa mapa, gdzie miasta i drogi wyznaczają świetlne punkciki. Zamykam oczy, a włoskie niebo, turkus morza i egzotyczna zieleń wciąż falują i przyzywają.

Barbara Strzelbicka

WSPOMINAMY ANDRZEJA



Naszego zmarłego w maju 2023 r. kolegę, Andrzeja Piechockiego, wspominaliśmy 7 stycznia 2024 r. w gościnnych progach Sali Reprezentacyjnej Ratusza, gdzie odbyła się promocja książki *Uporczywa konstatacja*, na którą złożyły się teksty Andrzeja: opowiadania, eseje i wiersze, w przeważającej części opublikowane w „Galerii”, ale też takie, których Autor przysłać do publikacji nie zdążył. Włączyliśmy też do tomu nasze wspomnienia o Andrzeju. Tytuł zbioru był pierwotnie tylko tytułem zestawu wierszy i uznaliśmy, że dobrze odda charakter tej twórczości.

Na spotkanie przybyło wielu gości, w tym najbliżsi Andrzeja: żona i dwaj synowie. Czytaliśmy fragmenty opowiadań (Elżbieta Jolanta Gola) oraz teksty kultury, do których się Andrzej odnosił, zwłaszcza w esejach. Część tę zatytułowaliśmy „Lektury Andrzeja”, podkreślając, jak bardzo czytany człowiekiem był nasz Kolega.

Andrzej zawsze stał po stronie wartości, hołdując jedenastemu przykazaniu Mariana Turkiego „Nie bądź obojętny!”. Czytał teksty prof. Tadeusza Sławka, Yuvala Noacha Harariego, Umberta Eco, Bohumila Hrabala oraz Olgi Tokarczuk. Co do opowiadań, to zawsze były starannie przygotowane, poprzedzone dokładnym zaplanowaniem elementów świata przedstawionego. Sam autor nazywał swoje opowiadania „bizarnymi”, pożyczając określenie od Olgi Tokarczuk.

Janusz Strojec w swoim wspomnieniu napisał o tym, jak Andrzej podchodził do poezji, uznając ją za twórczość szczególną, często cytował teksty poetyckie, dlatego też postanowiliśmy je przypomnieć. Był to charakterystyczny zestaw, skład którego przedstawia się następująco: Tadeusz Różewicz, *Unde malum?*, Czesław Miłosz, **** (Niestety panie Tadeuszu...)* i *Flet szczurołapa*, Zbigniew Herbert, *Tren Fortynbrasa* i *Pan Cogito opowiada o kuszeniu Spinozy*, Bob Dylan, *Odpowiedź unosi wiatr* w przekładzie Filipa Łobodzińskiego, *Mambo Spinoza* (Piosenka Kabaretu Starszych Panów), Franco Fortini, *Canto degli ultimi partigiani* (Pieśń ostatnich partyzantów) – w przekładzie samego A. Piechockiego, ponieważ wiersz nie został na język polski przetłumaczony.



Swoimi wspomnieniami podzieliła się także żona oraz jeden z synów, a my zastanawialiśmy się, który jest bardziej podobny do Ojca, oglądaliśmy zdjęcia. Nie zapomnieliśmy także o Andrzejowym poczuciu humoru, inteligentnym i subtelnym. Głos zabierali również inni zaproszeni goście, podkreślając, jak Andrzej był związany z Częstochową i jak silnie obecne było nasze miasto w Jego twórczości. Okazało się, że wielu znajomych nie wiedziało o literackiej pasji Andrzeja, znając go jako inżyniera włókiennika, męża i ojca.

Muzycznie oprawił wieczór Zdzisław Sierpiński, wykonując trzy pieśni własnej kompozycji do słów Fererica Garcii Lorki, uzupełniając recital wspomnieniem. Spotkanie prowadzili Barbara Strzelbicka i Bogdan Knop.

Jesteśmy zgodni co do tego, że przeczytane razem teksty Andrzeja Piechockiego nie tylko dają pogląd na Jego twórczość, ale także tworzą spójny przekaz, nacechowany głęboko uewnętrznionym humanizmem. Szkoda, że Andrzej nic więcej nie napisze. Dobrze się stało, że wydaliśmy tę książkę.

Paulina Wysocka-Morawiec

WITRAŻE W KALETACH

18 stycznia 2024 roku w Kaletach odbyła się promocja tomiku wierszy *Poetyckie witraże*. Antologia jest efektem pracy ośmiu autorek zrzeszonych w Grupie Poetyckiej WENA. Każda z nich spróbowała swoich sił w haiku, akrostychach, tautogramach oraz limerykach. Nie zabrakło również wierszy różnych, które choć pojawiły się mimochodem, wzbogaciły całość.

Spotkanie miało miejsce w Miejskim Domu Kultury. Poprowadził je Marian Lisiecki, dyrektor MDK, Miejskiej Biblioteki Publicznej oraz Orkiestry Dętej w Kaletach. Wieczór ubarwił



występ Grzegorza Matuszka „MatGregor”, który wykonał kilka wspaniałych utworów na harmonijce ustnej oraz taniec artystyczny Agaty Kostki, jednej z poetek.

W trakcie wieczoru autorki deklamowały wybrane wiersze z *Poetyckich witraży* oraz opowiedziały o swojej działalności twórczej. Świętowano również dwudziestą rocznicę pracy literackiej przewodniczącej oraz założycielki Grupy Poetyckiej WENA, Małgorzaty Orzechowskiej-Brol.

Poetyckie witraże powstały dzięki wsparciu finansowemu Miejskiej Biblioteki Publicznej w Kaletach. Autorkami tomiku są: Laurencja Wons, Kazimiera Kidawska-Gatys, Marta Mazur, Paulina Wysocka-Morawiec, Grażyna Kłosek, Anna Dudek, Agata Kostka oraz Małgorzata Orzechowska-Brol.

Barbara Strzelbicka

KATARZYNA MARIA NA SALONACH

Katarzyna Maria Bodziachowska, znana autorka książek, określanych jako biografie zbeletryzowane, przyjmowała gości na spotkaniu autorskim w OPK „Gaude Mater” 19 stycznia b.r. Tłum wielbicieli jej talentu ledwie się zmieścił w sali widowiskowej, a może nawet się nie zmieścił, w każdym razie przedstawicielka instytucji zmuszona została do poinformowania o drogach ewakuacji na wypadek zagrożenia. Na szczęście tylko obawy były płonne. Spotkanie prowadził kolega z pracy bohaterki, skądinąd znany poeta i nasz kolega Janusz Strojec, dzięki czemu miało niezwykłą atmosferę, skrzącą się od humoru i literackich nawiązań.

Pisarka ma na koncie biografie kilku postaci historycznych: Henryka Wieniawskiego, Jacka Malczewskiego, Fryderyka Chopina i Izabeli Czartoryskiej. Tego rodzaju pisarstwo wymaga zapoznania się z realiami epoki, poznania języka, a nade wszystko zapoznania się z biografią

bohatera i ostatecznie – wczucia się w jego postać, co także skutkuje przeżywaniem problemów opisywanej epoki. Z konieczności autorka stosuje zagęszczenie faktów, chcąc przedstawić całe życie bohatera w jednym tomie – tu wyjątkiem jest księżna Izabela Czartoryska, która miała długie, trwające 90 lat, i ciekawe życie, wymagające obszerniejszego opisu.

Prawdopodobnie za przyczyną tej bohaterki literatura wkroczyła w życie Katarzyny Marii Bodziachowskiej, albowiem niespodziewanie otrzymała telefon z propozycją napisania książki o Hannie i Adamie Czartoryskich. Wstępem do współpracy z przyszłymi bohaterami stało się zaproszenie na bal z okazji 50-lecia ślubu hrabiostwa Tyszkiewiczów, który był wydarzeniem towarzyskim. Jak wyglądała i jak się czuła nasza pisarka – widać na załączonej fotografii, a współpraca oczywiście została nawiązana.

Muzyczną oprawę spotkania zapewnili uczniowie klasy skrzypiec Blanki Bodziachowskiej (zbieżność nazwisk nieprzypadkowa) Jasnogórskiej Szkoły Muzycznej. Prowadzący spotkanie Janusz Strojec miał dla koleżanki niespodziankę: odczytał swoją literacką miniaturę *Wizyta i rewizyta*, z której można dowiedzieć się o innych niuansach życia bohaterki – prezentujemy ją w dziale *Proza*.



Barbara Strzelbicka

JOANNA OD ANIOŁÓW

Joanna Szymańska w życiu poetyckim Częstochowy obecna jest od dawna, dość powiedzieć, że w tym roku będzie obchodzić 30-lecie pracy pisarskiej, ale to dopiero później, tymczasem zaś promowała wydany w 2023 r. tomik, dwunasty już, *Anioły na każdy stan ducha*. Spotkanie autorskie miało miejsce w OPK „Gaude Mater” 16 lutego b.r., miałam przyjemność je prowadzić, a wieczór dodatkowo uświetnili: Monika Soberka i Szymon Szymański, którzy czytali



wiersze, oraz muzycy: Aleksandra Szymańska, uczennica klasy skrzypiec Jasnogórskiej Szkoły Muzycznej, a także Paweł Łowicki i Robert Gliński, znani w Częstochowie muzycy, którzy wpadli na krótki recital dosłownie między występami.

Recenzentkami tomu są: Elżbieta Hak, Ewelina Dziewońska-Chudy, która wystąpiła na spotkaniu z pochwałą wierszy i zachętą do ich czytania, i Anna Szewczykowska. Obecna była także autorka ilustracji Sylwia Skęda. Graficznie opracowała tom Urszula Szota-Kozak.

Książka została zadedykowana „Pamięci Kornela Adamusa, dziewiętnastolatka, który zginął w Tatrach 2 września 2023 r., co wstrząsnęło autorką, dlatego postanowiła wydać pisane od dawna wiersze o aniołach.

Pytania inspirowane były częściowo angelologią teologii katolickiej, a po części angelologią Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, Joanna Szymańska zaś przyznała się, że w wierszach polega raczej na własnej wyobraźni i intuicji. Opowiadała o źródłach inspiracji, o wyobrażonym odbiorcy, o tym, dlaczego czasem podmiot liryczny jej wierszy jest rodzaju męskiego. Odpowiedziała też na pytanie od Małgorzaty Franc o to, co zrobić, aby słyszeć swojego Anioła Stróża – po prostu trzeba być uważnym, co wydaje się receptą uniwersalną. Dowiedzieliśmy się, że w przygotowaniu jest książka jubileuszowa, której wydanie autorka planuje na wrzesień. Pytania od publiczności potwierdziły, że wiersze o aniołach cieszą się wielką popularnością, a ponieważ nie wszyscy zainteresowani mogli wejść na spotkanie, zostało zaplanowane kolejne (22 marca, Centrum Holistycznej Edukacji „Futura”).

Elżbieta Jolanta Gola

NA ŚCIEŻKACH ŻYCIA

Temat martwej natury jest dlatego tak trudny, ponieważ trzeba go wymyślić
Henri Cartier-Bresson

Międzynarodowy Salon „Martwa Natura w Fotografii” wpisał się na stałe do kalendarza imprez artystycznych Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie, gdzie od samego początku cieszy się zainteresowaniem pasjonatów fotografii oraz opieką dyrekcji MGS: najpierw dyrektora Czesława Tarczyńskiego, a obecnie dyrektora Anny Paleczek-Szumlas. Nie byłoby to możliwe bez przychylności władz miasta, patronatu Fotoklubu RP oraz Międzynarodowej Federacji Sztuki Fotograficznej (FIAP).

W jubileuszowej, dziesiątej edycji w jury nie zasiadali, lecz tradycyjnie wędrowali, dokonując wyboru wśród 160 nadesłanych prac (zawsze w wersji papierowej): Małgorzata Dołowska – prezes Fotoklubu RP, Komisarz Salonu – Janusz Jano Mielczarek (w 2003 roku zainicjował i prowadził ten Międzynarodowy Konkurs przez kolejne edycje, z wyjątkiem Salonu w 2021 r., gdy z powodów zdrowotnych oddał przewodniczenie Sławomirowi Jodłowskiemu), Tomasz Sikora – uznany fotograf, podróżnik, w wielu krajach promuje fotografię niezależną (w 2002 roku powołał do życia Galerię Bezdomną) oraz Krzysztof Muskalski – lekarz okulista, wielokrotnie nagradzany fotograf, podróżnik, znakomity gawędziarz, prezes i inicjator kolejnych edycji konkursu Foto Art-Medica.

Obradom jury często towarzyszą burzliwe dyskusje i gorąca atmosfera, ale tym razem zgodnie dokonano wyboru 45 prac, które upamiętniono w katalogu i przestrzeni wystawienniczej.



R. Dubiański, „Ścieżki życia”

Na wernisaż 23 lutego 2024 roku tłumnie przybyli goście na czele z prezydentem miasta Krzysztofem Matyjaszczykiem. Licznie dopisali autorzy nagrodzonych zdjęć, a w sali, gdzie do niedawna wśród obrazów unosił się duch ich autora – Zdzisława Beksińskiego – mogliśmy podziwiać nowatorskie rozwiązania, wieloznaczne podteksty i kreatywne podejście do fotografowanego tematu.

Nagrodzeni to:

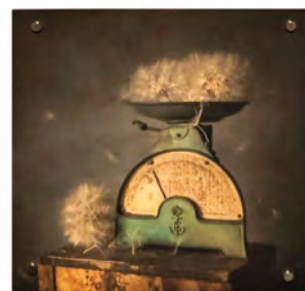
- Ryszard Dubiański – Złoty Medal FIAP za tryptyk „Ścieżki życia” oraz tytuł Best Autor;
- Małgorzata Kozakowska – Srebrny Medal FIAP za „Sceny balkonowe”;
- Elżbieta Ponińska – Brązowy Medal FIAP za „Martwą naturę na szkicowniku”.

Fotoklub RP przyznał również trzy medale:

- Iwona Czubek za „Bajki z drewna” – Złoty Medal;
- Marek Herbiak za „Caravanseraï” – Srebrny Medal;
- Davorka Tribojevic za „Pięć beztrosk” – Brązowy Medal.

Oprócz tego przyznano sześć honorowych wyróżnień.

Dziesiąta edycja konkursu, choć mniej liczna w nadesłane prace, dowodzi, że w dawnych i współczesnych technikach i tajnikach fotografowania kryją się ukryte znaczenia, magia i odrealnienie splatają ze sobą, a przemyślana kompozycja, operowanie światłem i tworzenie nastroju bywa kluczem do stworzenia wyjątkowego zdjęcia.



I. Czubek, „Bajki z drewna”

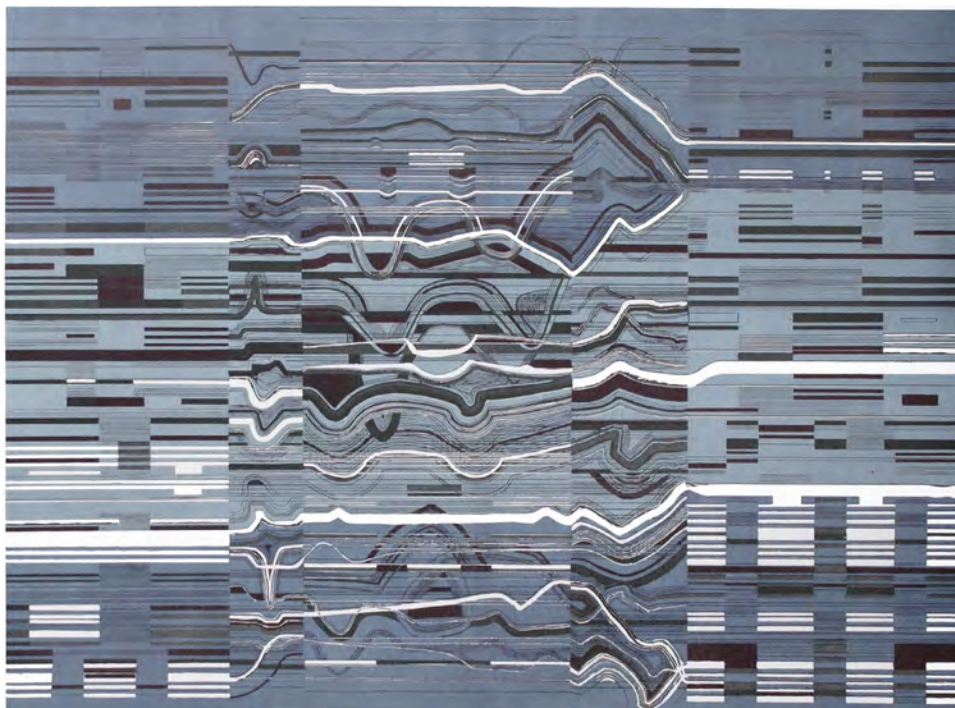
Barbara Strzelbicka

POGODNE RYMY PANA TADEUSZA

Światowy Dzień Poezji, od ćwierćwiecza obchodzony 21 marca, uczciliśmy godnie i miło, albowiem zostaliśmy obdarowani poezją właśnie. Pan Tadeusz Luterek wydał kolejny tom swoich wierszy, zatytułowany *Rymy pogodne* i zadedykował go „Członkom i sympatykom Towarzystwa Galeria Literacka w Częstochowie”. Książka zawiera ponadto wiele dedykacji szczegółowych – tym, którzy piszą wiersze, poetom wielkim i częstochowskim. Ale są tu także wiersze traktujące o sztuce poetyckiej, zatem mogliśmy poczytać sobie i innym oraz wysłuchać autorskiej interpretacji na śródowym spotkaniu w przeddzień Dnia Poezji. Część tekstów drukowana była w „Galerii”, część – będzie drukowana. Zgodnie z tytułem – wiersze są pogodne i harmonijne oraz rymowane, a o rymie (i rymach) pisze autor we wstępie, powołując się na samego Juliusza Słowackiego. Dowodem na harmonijność poezji Tadeusza Luterka jest też spis treści, zamieszczony na czterech stronach, jako że wiersze zostały umieszczone wprawdzie w pięciu rozdziałach, ale ten ostatni zawiera zaledwie dwa tytuły. Oto tytuły rozdziałów: I. *Zachowane w pamięci*, II. *Mieszkanie w słowie*, III. *Podręczne szkice i obrazki*, IV. *Lekkie strofowanie*, V. *Przekłady*.

Wszystkim tworzącym (zapisującym?) i czytającym poezję życzymy wielu owocnych poszukiwań – zgodnie ze słowami innego poety, Adama Zagajewskiego, że „Poezja jest poszukiwaniem blasku”. Panu Tadeuszowi zaś dziękujemy za blask, za rymy i rytmy!





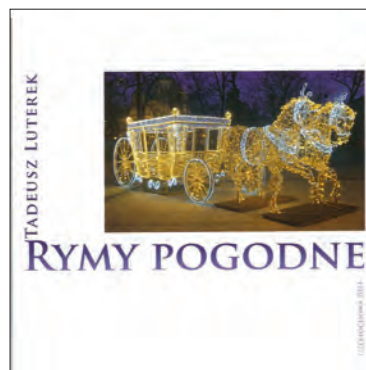
Aleksandra Jakubczak, „Kod obrazu 006[sz]”, litografia, 57x77 cm, 2017



Aleksandra Jakubczak, „Kod obrazu 005+006(c-z-sprzężenie)”, litografia, 57x77 cm, 2017

TADEUSZ LUTEREK, *Rymy pogodne*, Częstochowskie Wydawnictwo Archidiecezjalne „REGINA POLO-NIAE”, Częstochowa 2024.

Książka została zadedykowana „Członkom i sympatykom Towarzystwa Galeria Literacka w Częstochowie”, zawiera pięć rozdziałów: I. *Zachowane w pamięci*, II. *Mieszkanie w słowie*, III. *Podręczne szkice i obrazki*, IV. *Lekkie strofowanie*, V. *Przekłady*, poprzedzone autorskim wstępem traktującym o rymach i rymie. Część wierszy drukowana była w „Galerii”.



JOANNA SZYMAŃSKA, *Anioły na każdy stan ducha*, Częstochowa 2023.

Dwunasty tom autorki, dedykowany pamięci 19-letniego Kornela Adamusa, który zginął tragicznie w Tatrach 2 września 2023 r. Recenzje wierszy napisały: Elżbieta Hak, Ewelina Dziewońska-Chudy i Anna Szewczykowska, ilustracje: Sylwia Skęda, opracowanie graficzne: Urszula Szota-Kozak. Do tomu został włączony wiersz Kamili Znamiec. Tom był promowany w OPK „Gaude Mater” 16 lutego 2024 r.



POETYCKIE WITRAŻE, Miejska Biblioteka Publiczna im. prof. Henryka Borka w Kaletach, Kalety 2023.

Poetyckie witraże powstały dzięki wsparciu finansowemu Miejskiej Biblioteki Publicznej w Kaletach. Autorkami tomiku są: Laurencja Wons, Kazimiera Kidawska-Gatys, Marta Mazur, Paulina Wysocka-Morawiec, Grażyna Kłosek, Anna Dudek, Agata Kostka oraz Małgorzata Orzechowska-Brol.





O PISARZACH LUBELSKICH. SZKICOWNIK 3, red. Z. W. Fronczek, Lubelska Biblioteka Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, wydano w ramach cyklu „Książki Duma Lublina”.

Tom zawiera recenzje twórczości następujących pisarzy (zgodnie z kolejnością zamieszczenia w książce): Zbigniew Włodzimierz Fronczek, Jan Parandowski, Kazimierz Andrzej Jaworski, Stanisław Weremczuk, Marianna Bocian, Wojciech Pestka, Jadwiga Mizińska, Janusz Olczak, Andrzej Łuczeńczyk, Stanisław Rogala, Stanisław Żurek. Autorem tekstu *Literackie światy Wojciecha Pestki* jest Bogdan Knop.



Rekomendujemy specjalny numer (7/2023) **Dwutygodnika Środowisk Twórczych „Lublin. Kultura i Społeczeństwo”**, poświęcony przedwcześnie zmarłemu Wojciechowi Pestce (1951–2023), poecie, prozaikowi, publicyście i scenarzyście, członkowi redakcji „Lublina”. Zeszyt zawiera wiersze, reportaże i dokumentalne fotografie Poety, jak również recenzje Jego twórczości oraz wspomnienia przyjaciół, znajomych i współpracowników.

Wśród zamieszczonych tekstów znalazły się także napisane przez autorów związanych z „Galerią”: Olgi A. Wiewióry, Bogdana Knopa, Bożeny Gorskiej, Wasyla Słapczuka i Wojciecha Kajtocha.



Jan Ciesielski

LIMERYCZKI DAMSKIE

Dwóch młodzieńców w Krasnymstawie
zaprzagnęło śniadanie zjeść na trawie.
Jeśli już, rzecze jeden, to jak u Moneta
powinna być z nami też naga kobieta!
To ja, rzekła Ela, nago się stawię.

Opala się dziewczę w Iławie przy trasie,
leżąc na trawie w pełnej krasie.
Gdy słowo „krasa” zaczyna złościć,
powiem, że w całej okazałości –
papierosami, te wciąż na czasie.

Pewna pani, podobno z Legnicy,
lubiła uchylać rąbka swej spódnicy.
W tym uchylaniu przeszkód nie miała,
i coraz więcej uchylać jej chciała –
tak mówią obłudnicy.



GALERIA

CZĘSTOCHOWSKI MAGAZYN LITERACKI

Copyright © TOWARZYSTWO GALERIA LITERACKA

REDAKCJA:

Barbara Strzelbicka (sekretarz redakcji), Bogdan Knop (redaktor naczelny),
Ida Jadwiga Łubińska, Olga Wiewióra, Arkadiusz Frania.

STALI WSPÓŁPRACOWNICY:

Małgorzata Franc, Małgorzata Nowakowska-Karczewska, Alicja Nowak,
Elżbieta Jolanta Gola, Janusz Jano Mielczarek, Marian Panek,
Tomasz „Aztzenty” Barański, Wiesława Owczarek, Jan Ciesielski, Jarosław Kapsa,
Anna Jędryka, Maciej Rudlicki.

LAYOUT: Andrzej Chmielewski

SKŁAD: J.M. Krasucki

REDAKTOR TECHNICZNY: Jarosław Leszczuk

DRUK:

Drukarnia Usługowa „Gryf”



ul. Garibaldiiego 14 a
42-200 Częstochowa
www.gryf.czest.pl

PRINTED IN POLAND.

WYDAWCA:

Towarzystwo Galeria Literacka



ul. Metlera 4
42-224 Częstochowa
www.galerialiteracka.pl

Adresy e-mail do przesyłania materiałów w formie elektronicznej:

galeria.literacka@gmail.com

Krajowy Rejestr Sądowy nr: 0000545735 Regon: 360871693 NIP: 9492200168

Nr rachunku: mBank 06 1140 2004 0000 3302 7814 7608

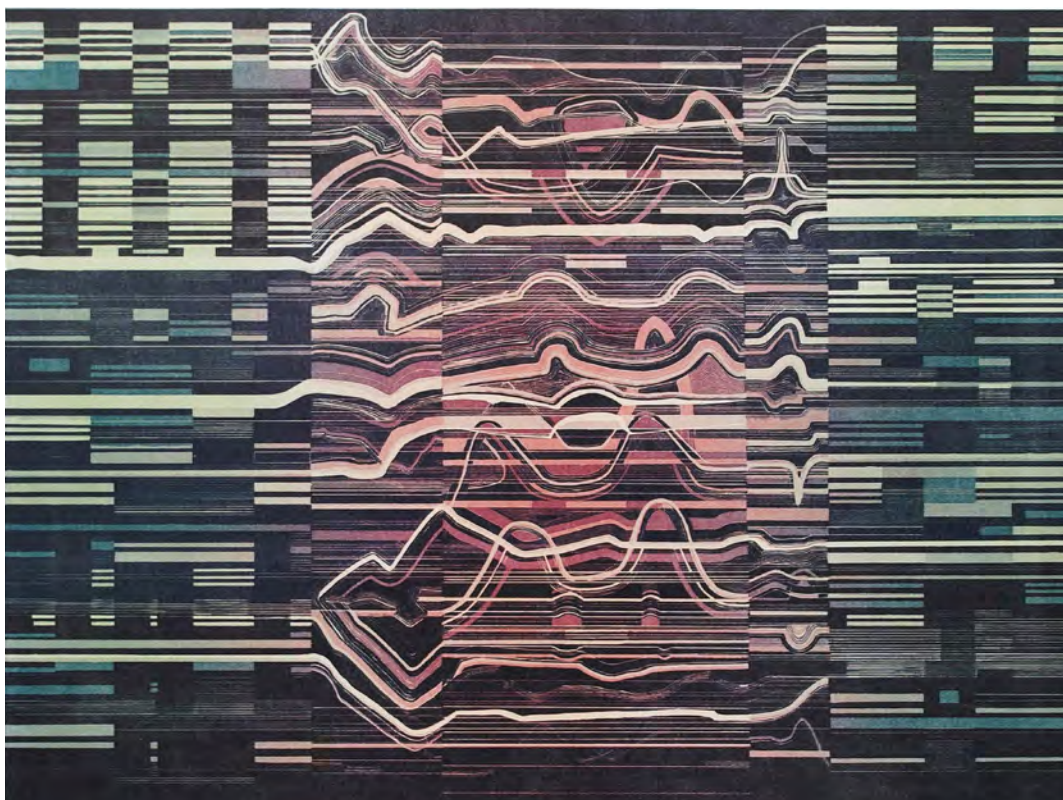
Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca i nie przechowuje.

W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo do skrótów i zmian tytułów.

ISSN 2449-5328

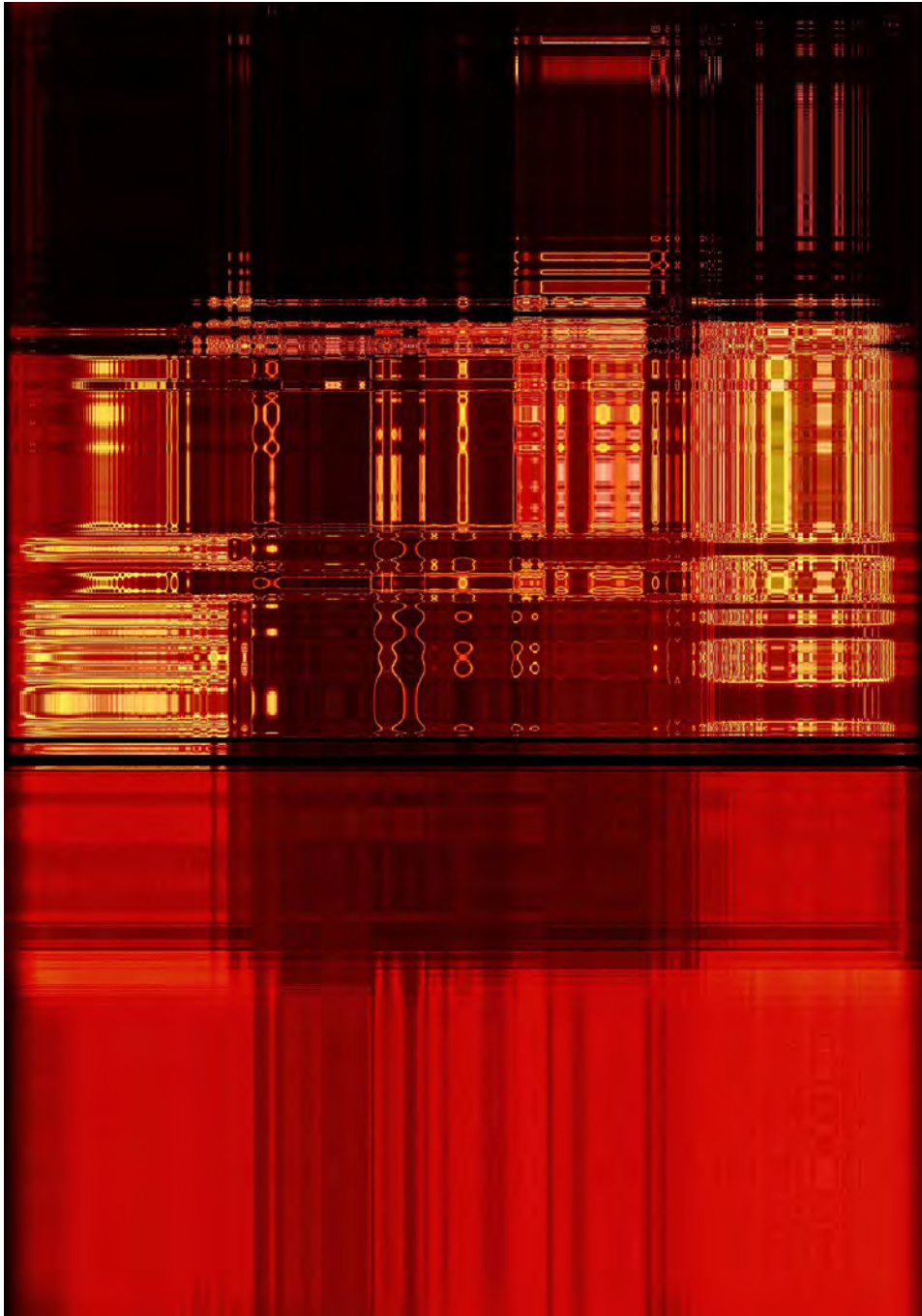


Aleksandra Jakubczak, „RBE RE +-n-z”, litografia na papierze i na folii, 57,2x77 cm, 2021



Aleksandra Jakubczak, „Kod obrazu 006 (c-z)”, litografia na papierze, 57x77 cm, 2017

mała **GALERIA**



Aleksandra Jakubczak, „Zakłócenie XXI”, grafika cyfrowa, 2019